

GRABARZE.

Józef Rogosz.

GRABARZE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

Część II.

WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

Teodora Paprockiego i S-ki.

41. Nowy-Świat 41.

<http://rcin.org.pl>

1892.



Дозволено Цензурою.
Варшава, 13 Апрѣля 1892 года.

I.

Wybory.

Pani inspektorowa wracała właśnie od rzeźnika, któremu, pomimo ostrego mrozu, całą godzinę głowę myła, bo od kilku dni przysyłał jej mięso coraz gorsze, gdy na rogu ulicy Pańskiej ktoś ją chwycił za rękaw od futra, mówiąc:

— Dzień dobry kochanej pani!

Obróciła się dość niechętnie; ujrawszy atoli przed sobą siostrę kanonika, odpowiedziała z wymuszoną uprzejmością:

— Jak się panna Kunegunda miewa? Dzień dobry pani.

— Kochana pani wraca do domu?

— Do domu... bardzo się śpieszę... u mnie jeszcze mięso nienastawione. Byłam u Chaimka, gdyż zamiast mięsa zaczął mi już dawać same flaki; powiedziałam mu tedy, że jak się nie poprawi, to mu mój mąż podwyższy z pewnością oba podatki: dochodowy i zarobkowy. Na Żydów niema innego sposobu, a najgorsi między nimi to rzeźnicy. Panna Kundzia, dzięki Bogu, doskonale wygląda.

Siostra kanonika uśmiechnęła się, skromnie oczka w dół spuszczaając.

— Pewnie się zarumieniłam... dziś mróz tak szczypie...

— Panna Kundzia ładna i bez mrozu. A z daleka też pani idzie?

— Byłam chwileczkę u aptekarzowej. Właściwie miałam interes tylko do apteki; od wczoraj czuję nieznośny ból w boku, a że na to niema nic lepszego, niż papier Rigollot (niech kochana pani pamięta, gdyby kiedy było potrzeba), więc kupiłam pięć papierków, i już byłam na wychodnem (teraźniejszy prowizor tak każdą panienkę fiksuje, że doprawdy aż wstyd zbiera), gdy nagle wpadła aptekarzowa i gwałtem do siebie mnie zaciągnęła. Może sobie kochana pani wyobrazić, jaką mi to przykreść sprawiło, zwłaszcza że wiem, dlaczego to uczyniła... Kilka razy wspominała o kanoniku, przyczem wciąż się skarżyła na ciężkie czasy. Nie ulega wątpliwości, że chciałaby od niego pieniędzy pożyczyć, bo u niej już bardzo kruczo; ale że brat nie da, za to ja ręczę... Doprawdy, ja tej kobiety nie mogę znieść! Pełna przesady, a w dodatku jaka obłudna! Teraz śpieszę się bardzo, bo chciałabym jeszcze wpaść na chwilkę do notaryuszowej, a przed jedenastą muszę być w domu, gdyż w samo południe kanonik jedzie na kolej. W dodatku i w nogi mi zimno. Przez zapomnienie wybiegłam w cienkich trzewikach, a dziś mróz siarczysty.

— Daleko też jedzie ksiądz kanonik?—podchwyciła ciekawie inspektorowa.

— Do arcybiskupa.

— Do samego arcybiskupa? Ma zapewne bardzo ważny interes... Czy nie idzie przypadkiem o jaki rozwód?

— Bynajmniej! O czémś podobnym jabym przecież pierwsza wiedziała... Kanonik ma interes czysto kościelny...

— A co też słyhać u aptekarzowej?

— Nic niema nowego, właściwie nic dobrego... Chociaż mówiła oględnie, półsłówkami... kochana pani wie, że to osoba nieszczera, skryta... otoż chociaż wyslizgiwała mi się jak wąż, przecie tyle z niej wydobyłam, że jej proces w apelacyi stoi bardzo źle... Albo go już przegrała, albo go przegra lada dzień... Napróżno robiła słodkie oczka do Turbana. Nie zobaczymy się z trzydziestu tysiącami, nie!

Inspektorowa podniosła wzrok do nieba:

— Ach! daj Boże, żeby sprawiedliwości jak najprędzej stało się zadość!—westchnęła z głębi serca.

— Kochana pani nawetby nie uwierzyła, jak aptekarzowa teraz nos na kwintę spuściła. A jak wychudła! Pół jęj niema... Już z niej nie ta dama, co dawniej... Mnsi tam być bardzo źle, o! bardzo!... Kto wie, czy lada dzień nie zabiorą jęj Żydzi nawet tego fortepianu, przy którym Turbanowa, na złość Darskiej, z Grzywą bał rozpoczęła.

— Dobrze tak Darskiej, doskonale!—potwierdziła inspektorowa.—Że ma trochę pieniędzy, więc już jęj się zdaje, że jest pierwszą w całym powiecie, że więcój znaczy, niż sama prezydentowa. Zresztą na co jęj się tam pehać?.. Kto swoją godność szanuje, ten w domu został.

— Święta prawda, kochana pani—rzekła panna Kunegunda ze słodziutkim uśmiechem i dalej mówiła:—Muszę się zapytać notaryuszowój, czy to prawda, że Goldeifer zapisał swojej żonie przed ślubem całe czterdzieści tysięcy? Wspominała mi o tём aptekarzowa, lecz mnie się to jakoś nie może w głowie pomieścić.

— Panno Kundziu, to święta prawda! Mój mąż, który wie wszystko, opowiadał mi właśnie wczoraj, że stosowny akt notaryalny znajduje się już w jego kancelaryi, bo musi od zapisu wymierzyć należytość skarbową. Mój mąż pewnie jęj nie pożałuje... Niech choć dobrze za to zapłaci, że dudka złapała.

— Widzi kochana pani, jakie to szczęście ludzie czasem mają! Z nas żadnej nie udałaby się taka sztuka... Ale owe czterdzieści tysięcy przypadną jęj zapewne dopiero w razie jego śmierci. Czy tak?

— Nietylko na przypadek śmierci męża, lecz i wtedy, gdyby z sobą żyć nie chcieli—odrzekła inspektorowa.

— Doprawdy? A to się poszyje!... Niedarmo się malowała... Teraz poda o rozwód i pieniądze zabierze.

— Tak źle nie będzie, panno Kundziu. Ma i Goldeifer swój rozum. Oświadczył w interecyzie ślubnej, że dopiero

w takim razie żona otrzyma czterdzieści tysięcy, jeżeli o rozwód poda—on, nie ona.

— A że Goldeifer bardziej kocha pieniądze, niż wszystko inne, więc jest przynajmniej nadzieja, że nie podobnego nie nastąpi—dokończyła panna Kunegunda.—Chociaż, z drugiej strony na tę rzecz patrząc, muszę kochaną panią upewnić, że i pieniędzy bym nie chciała i takiego męża! Przechrząta, nieznośny, a brzydki jak małpa!... Fe, fe, w głowie mi się nie mieści, że panna z takiej rodziny mogła wyjść za podobne indywiduum jedynie dla pieniędzy. Jeśli gdzie, to tu mamy oczywisty dowód upadku szlachty. Cóż jej przyjdzie z majątku męża, skoro ani jego, ani jej świat nie będzie miał za nic... Ja pierwsza, gdy ich zobaczę, udam, że ich nie znam. Mnie się zdaje, że Trocka nie byłaby za niego wyszła, gdyby nie to, o czém kochanej pani jużem raz wspominała.

— Panna Kundzia mówiła mi co? Doprawdy, nie przypominam sobie.

— Jak można było coś podobnego zapomnieć!—zawołała panna Kunegunda, poczem nachyliwszy się do ucha inspektorowej, zaczęła jej coś szeptać. Pani Tusowiczowa uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Niewątpliwie tak było, jak panna Kundzia mówi... potrzeba było płaszczyka... rzecz prosta. To się złapał! Ale dobrze mu tak... niechby się nie piął do szlachty. Należało wziąć jakąś Rojżę zamorusaną, nie Julię malowaną. Ale ja się bardzo śpieszę, panno Kundziu, bo już niezadługo urzędnicy wyjdą z kancelaryi, a u mnie mięso dotąd nienastawione. Do widzenia, panno Kundziu, do widzenia, i proszę o mnie nie zapominać.

— Do miłego zobaczenia, kochana pani, do miłego! Ja na chwileczkę wpadnę jeszcze do notaryuszowej, by rzucić okiem na tę sławną intercyzę ślubną... zaiste, jest to rzecz niesłychana!... i zaraz do domu wracam. A nie wie wypadkiem kochana pani, jak nowożeńcy z sobą żyją?

— Nikt o nich nic nie wie, bo nazajutrz po ślubie wyjechali z Wierzejowa.

— Daleko?

— Do Włoch.

— Do Włoch? Patrzcie państwo, czego się takiemu Żydkowi zachciało! Ale nie sztuka temu podróżować, komu lichwa majątek dała... Jednakże krzywda ludzka prędzej lub później i na nim się zemści. Do miłego zobaczenia, kochana pani.

— Do widzenia, panno Kundziu!

I rozeszły się w dwóch przeciwnych kierunkach, by nazajutrz spotkać się w innem miejscu i znów pomówić o ważnych sprawach bieżących.

Wiadomości inspektorowej co do wyjazdu właściciela Wierzejowa były prawdziwe. Pan Goldeifer w rzeczy samej udał się do Włoch, aby na lagunach, u boku pięknej żony, zacząć ów sen czarownicy, który się szczęściem małżeńskim nazywa. Zato nie domyślała się ani pani Tusowiczowa, ani jej mąż, choć ten wiedział wszystko, że nagłe zniknięcie nowożeńca w wysokim stopniu zaniepokoiło pana Lisińskiego.

Ten, jak wódz prawdziwy, którego nieba obdarzyły okiem bystrym i umysłem przytomnym, odrazu zrozumiał, że ubytek każdej jednostki, już pozyskanj dla jego planów, a za taką poczytywał właściciela Wierzejowa, był dla niego w chwili obecnej zjawiskiem wcale niewesołym.

Rada powiatowa była już wybrana i na najbliższem walnem zgromadzeniu miała przystąpić do wyboru swego prezesa, nazywanego powszechnie marszałkiem. Na głosy delegatów miejskich pan Grzywa liczył bezwarunkowo. Co do włościan, ci słuchali księdza Tymotusza Szczurkiewicza, a że układy z nim były na ukończeniu, więc i ich poparcie było prawie pewne. Że zaś mieszczanie z chłopami stanowili w radzie większość, przeto kandydatura pana Grzywy miała wszelkie widoki powodzenia. Ale panu Lisińskiemu taki tryumf nie wystarczał. Jemu szło przedewszystkiem o głosy obywatelskie; inaczj bowiem wygląda naczelnik władzy autonomicznj w powiecie, obdarzony zupełnem zaufaniem sąsiadów-szlachciców, stanowiących najwyższą warstwę społeczną, a inaczj ten, który się opiera wyłącznie na mie-

szczanach i chłopach. Tu zachodziła dotąd ta okoliczność, że na dwunastu obywateli ledwie czterech stało po stronie pana Grzywy, a i z tych pan Goldeifer na tydzień przed zebraniem się pełnej rady wyruszył w podróż poślubną. Nie dziw więc, że pan Lisiński, pragnąc swemu dziedzicowi zupełny tryumf zabezpieczyć, bardzo się tём zmartwił. Nie można wszakże powiedzieć, żeby jego zmartwienie sięgało aż tam, gdzie się rozpacz zaczyna. Tak źle jeszcze nie było. Jako mąż, umiejący przeciwnościom czoło stawić, powiedział sobie, że lubo pozyskanie głosów obywatelskich byłoby dla jego pupila rzeczą równie cenną, jak przyjemną, jednakże nie należy do tego zbyt wielkiej wagi przywiązywać, w pierwszym bowiem rządzie o to idzie, żeby pan Grzywa był wybrany, a podrzędniejszego znaczenia jest pytanie, jaka większość podniesie go na swych barkach i na świeczniku postawi.

Na tydzień przed zebraniem się pełnej rady pan Lisiński, uznawszy, że nadeszła stosowna chwila do zakończenia agitacji, wybrał się do ks. Tymoteusza Szczurkiewicza, mieszkającego w Dodniestrzanach.

Parafia ta należała do najlichszych; przywódca partii chłopskiej w powiecie, obarczony liczną rodziną, ledwie mógł z nią wyżyć. Starał się też oddawna o lepsze miejsce, lecz, jak dotąd, bezskutecznie. Szlachta, lękając się w nim zagorzałego przeciwnika, nie chciała mu dać u siebie prezenty; rząd zaś, którego własnością były Dodniestrzany, nie przenosił go na lepszą parafię, chociaż co rok miał ich kilka w swoich dobrach do rozdania, ponieważ ks. Szczurkiewicz nie umiał w wyższych urzędnikach obudzić zaufania do swojej osoby. Jako mąż polityczny, był on namiętnym przeciwnikiem wszystkiego, co szlacheckie, a to rządowi, usiłującemu godzić powaśnione stany, nie mogło się podobać; jako człowiek nie był znów tak sympatyczny, aby ktokolwiek chciał z dobrego serca troszczyć się o jego los i myśleć o przyszłości jego dzieci.

Gdy pan Lisiński przed probostwo zajeżdżał, ksiądz Szczurkiewicz znajdował się z żoną w pokoju od ogrodu

i rozmawiał z nią głośno o sługach. Lisiński cichutko, na palcach, jak to u niego było we zwyczaju, wszedł do pokoju bawialnego.

Była to izba dość obszerna i widna, o białych jak śnieg ścianach, mająca podłogę świeżo umytą, na której od drzwi do kanapy prowadziła ścieżka z płótna zgrzebnego domowej roboty. Na ścianach wisiało kilka sztychów z niemieckimi napisami, wyobrażających epizody z wojny siedmioletniej, po obu stronach zwierciadła w ramach złoconych, przybitego nad zieloną kanapą, widać było dwie fotografie, z których jedna wyobrażała metropolitę Jachimowicza, druga metropolitę Litwinowicza; dokoła stołu orzechowego przed kanapą stało sześć krzesłek, obitych także zieloną materyą; pod ścianą naprzeciw okien, niedaleko pieca, gospodarz umieścił szafę z książkami; nakoniec między oknami jego żona ustawiła dwa spore oleandry w dębowych wazonach. Korony oleandrów sięgały do sufitu.

Zaledwie pan Lisiński wszedł do tego pokoju, drzwi przeciwległego szybko się otworzyły i ukazał się w nich gospodarz.

Był to mężczyzna bardzo słuszny i bardzo chudy. Ponieważ miał głowę dużą, całkiem łysą, przytém ku ziemi pochyloną, choć zresztą jego korpus prosto się trzymał, był więc podobny do tyki, uwieńczonej u szczytu dynią połyskującą. Rysy jego twarzy były grube, wyraziste, a że się golił ledwie raz na tydzień, więc, z wyjątkiem niedziel i świąt uroczystych, wyglądał zawsze jakby nie był umyty. Usta miał wązkie, na nich uśmiech pełen złośliwości, która jednak niekiedy w gorycz się zmieniała. Siwe jego oczy rzucały spojrzenia podejrzliwe. Nieprzyjaźni nazywali go żartobliwie chłopskim Bismarck'iem. Ks. Szczurkiewicz, acz o tém wiedział, nietylko za to się nie gniewał, przeciwnie, był nawet kontent z tego przezwiska, w głębi bowiem duszy święcie wierzył, że takie porównanie słusznie mu się należy.

Chociaż pan Lisiński mówił źle po małopolsku, przywitał jednak księdza w jego mowie ojczystej.

Gospodarz domu, dłoń mu ścisnąwszy, posadził go na kanapie, a sam obok niego na krzesle zajął miejsce. Ponieważ już niejednokrotnie radzili nad kandydaturą pana Grzywy, przeto paroch nie potrzebował badać, co gościa w jego progi sprowadza. Po kilku tedy frazesach ogólnikowych, tyczących się wielkiego zimna i złej sanny, pierwszy przemówił:

— Myślałem, panie dobrodzieju, długo o naszym interesie, rozmawiałem o nim także z moimi przyjaciółmi politycznymi, widzę atoli ze wszystkiego, że rzecz się nie uda...

Pan Lisiński poruszył się niespokojnie.

— Ksiądz dziekan, chyba żartuje!—odrzekł z uśmiechem słodziutkim.

— Przepraszam... dziekanem nie jestem...

— Co dziś nie jest, łatwo będzie jutro, zwłaszcza gdy się znajdzie lepsza parafia... Ja słowa jegomości dobrodzieja uważam za przykry żart, za nic więcej... Przecie za ostatniej mojej tu bytności sprawa była prawie ubita.

— A tak, *prawie*, lecz niezupełnie... Od tego czasu badałem innych i widzę, że nie idzie... Chłopi Grzywie nie dowierzają, a dlaczego, to pan dobrodziej sam wie najlepiej; co zaś do księży, ci znów utrzymują, że powinien właściwie nazywać się Hrywa, ale się tego wstydzi i gwałtem pcha się między łacinników. Nie jest więc między nami popularnym, a że dotąd nic nam dobrego nie uczynił, więc za co właściwie mamy go popierać?

— Nie wątpię, że pan Grzywa będzie odrazu popularnym, jeśli tylko ksiądz proboszcz zechce go wziąć w opiekę.

Paroch uśmiechnął się dwuznacznie i ramiona ściągnął.

— *Nec Hercules contra plures*—odrzekł.

Ks. Szczurkiewicz z przyjemnością powtarzał łacińskie przysłowia, których się w szkołach nauczył.

Pan Lisiński nachylił się teraz ku niemu i po przyjacielsku zaczął go klepać po kolanie:

— Żartuje ksiądz proboszcz, żartuje! Czyż my nie wiemy, że cokolwiek jegomość powiedzą, wszyscy chłopi poczytują za wyrocznię?

— Ktoś pana dobrodzieja źle poinformował; ale choćby nawet i tak było, to czyż dla tego samego, że cieszą się sympatją mojego stronnictwa, miałbym, dla przypodobania się wam, jego zaufania nadużywać? Według mego przekonania, ubieganie się o większe głosy jest wam niepotrzebne, gdyż większość stanowią miasta i obywatele, a tych głosy macie już pono zapewnione. Bez chłopów możecie się tedy obejść.

— Bynajmniej, księżę dobrodzieju!—zaprotestował pan Lisiński.—Kto krajowi dobrze życzy, ten przedewszystkiem powinien dbać o lud i starać się o jego poparcie, bo tylko w ludzie leży nasza siła. Zresztą nam niezmiernie na tém zależy, by wybór wypadł *unanimiter*. Nowy marszałek, jeśli ma cokolwiek dobrego zdziałać, musi mieć za sobą wszystkie stany. Dlatego to, księżę proboszczu, apelujemy do braci kmieci, z którymi pragniemy odtąd żyć w zupełnej zgodzie.

Po wążkich ustach księdza przemknął szyderski uśmiech.

— Niezmiernie jesteście panom obowiązani za ich sympatyje, lecz mimo to dla nas, ludzi praktycznych, cześć obietnice nie mają żadnej wartości...

— Przecież księdzu dobrodziejowi dajemy parafię w Podlesiu...

Gospodarz ręką machnął. Gość musiał ten ruch zrozumieć, skoro w lot dodał:

— Ksiądz Bazyli jest umierający, słowo honoru, umierający. Na suchoty tak rozwinięte, jak u niego, niema najmniejszego ratunku... Ja mu tam pewnie śmierci nie życzę, ale ponieważ sam Pan Bóg zabiera go do swojej chwały, więc czemu nie miałby po nim objąć parafii kapłan ze wszech miar tego godny? A jaka parafia! Najlepsza z naszej okolicy. Rocznie daje najmniej cztery tysiące, jeżeli nie więcej...

— Kto tam wie, kogo panowie w danym razie za godnego jój uznacie!—odrzekł paroch, ku oknu twarzą się obracając.

— Ależ klnę się na moje sumienie, że nikt inny jęj nie dostanie, tylko ksiądz dobrodziej!

— Obiecanka cacanka, a głupiemu radość—odpowiedział paroch i na tęp uciał.

— Bardzo nam przykro, że, mimo najszczerzych cbęci, nie możemy dać innego zapewnienia; lecz czy nasza w tęp wina? Ksiądz Bazyli jeszcze żyje, więc parafia nie mogła być dotąd na konkursie; gdyby zaś pan Grzywa już teraz do czegokolwiek piśmiennie się zobowiązał, kto wie, czy konsystorz, dowiedziawszy się przypadkiem o tęp, nie wzięłby tego za niegodziwą frymarkę, może nawet za symonię. Więc, chociaż sami uznajemy niedostateczność naszego zobowiązania, radzi nieradzi, musimy na nięp poprześcić... Ksiądz dobrodziej może nam ufać z zamkniętymi oczyma. Pan Grzywa nigdy nie złamał swojego słowa.

— Dajmy temu pokój, panie dobrodzieju!—paroch odrzekł i znów ręką machnął.

— Ależ i ja przyrzeczenie moje słowem zaprzysięgnę.

— Gruszki na wierzbie, panie dobrodzieju, gruszki na wierzbie!—wołał ks. Szczurkiewicz.—Słowo jest giętkie, a człowiek, co zechce, może z nięp zrobić; więc tylko fryce dają się brać na obietnice. Jam już na to zastary, panie dobrodzieju, zastary!

— Więc co właściwie mamy uczynić?—zapytał pan Lisiński, wzrok niespokojny w gospodarza wlepiając.

— Ja o sobie nie mówię, gdyż prywatą nigdy się nie kierowałem. Gdybym był innych przekonań, nie siedziałbym w Dodniestrzanach i moje dzieci bosoby nie chodziły. Od dawna byliby się znaleźli kupcy na niezawisłość Tymoteusza Szczurkiewicza. Ja sam wychodzę tedy z rachuby; wszakże, jeśli całe moje stronnictwo ma coś dla was uczynić, to nawzajem i ono musi od was coś dostać. Tylko głupi wszystko innym daje, a sam nic nie bierze. Skoro nas potrzebujecie, więc za pomoc dobrze zapłaćcie.

— Jakto? Czyż tu idzie o pieniądze?—zapytał zdziwiony pan Lisiński.

Ksiądz rzucił nań spojrzenie lekceważące.

— Za towary i zdradę płaci się pieniędzmi, za uczciwe poparcie w polityce ustępstwami.

Po twarzy pana Lisińskiego przemknął uśmiech zadowolenia.

— Żądanie księdza dobrodzieja jest zupełnie słuszne— rzekł, ręce zacierając.—Żadne stronnictwo rozumne dopóty nie popiera swego przeciwnika, póki od niego nie otrzyma rękojmi, że i ono na tém skorzysta... Ponieważ taki jest na świecie porządek rzeczy, przeto za poparcie, jakiego nam chłopci użyczą, jesteśmy gotowi i dla nich coś uczynić.

— Cóż takiego?

— Jeśli pan Grzywa przy waszój pomocy zostanie marszałkiem, ksiądz dobrodziej będzie wybrany wice marszałkiem.

— Kto? ja?

— Tak jest.

— A czyżby mnie zatwierdzili?

— Była już o tém mowa ze starostą, ma się rozumieć poufna, we cztery oczy, i on nas upewnił, że zatwierdzenie wyboru księdza dobrodzieja nie ulegałoby najmniejszój wątpliwości, władza bowiem nie może księdzu nic zarzucić.

— A kto wpadł na tę myśl?

— Przyznam się, że ja sam, gdyż wciąż się obawiałem, by nasze układy nie rozchwiały się w ostatniej godzinie.

— Sprytnie! sprytnie!—ksiądz mówił jak do siebie.

— Myśl moja jest dlatego dobra, że stajemy wobec siebie na równi. Ile wy nam dacie, tyle nawzajem my wam ofiarowujemy.

— Niekoniecznie tyle -- odparł ksiądz, czoło marszcząc.—Marszałek jest wszystkiem, przeciwnie wice-marszałek, jako jego zastępca, jest tylko cieniem prezesa... Ale mimo to ja propozycyi nie odrzucam, bo nie wiem, co na to powiedzą moi przyjaciele polityczni. Wpierw muszę się z nimi porozumieć... Jeśli przystaną, może się zgodzę...

To rzekłszy, powstał, zbliżył się do okna i w szybę, choć ta była zamazła, wlepił wzrok badawczy. Pan Lisiński, na dawném miejscu siedząc, śledził każde drgnienie jego

twarży. Ksiądz stał tak dobrą chwilę, nareszcie zwrócił się znów do gościa i rzekł obojętnie:

— Powiem... chociaż wątpię, czy z tego co będzie. Wice prezesowstwo, to zaszczyt dobry dla szlacheica, nieumiejącego myśleć o jutrze... Nam, chłopom, nie idzie tyle o honor, co o korzyść namacalną.

Pan Lisiński opuścił kanapę, i do gospodarza przystąpiwszy, cicho zapytał:

— Mogę z księdzem dobrodziejem mówić otwarcie?

— Ależ proszę...

Stali teraz twarzami do siebie zwrócen i jeden drugiego wzrokiem świdrował. Widać było, że każdy z nich usiłował swoje myśli ukryć, a pragnął zamiary przeciwnika odgadnąć.

— Jam człowiek zwyczajny, *simplex servus Dei*, do polityki wcale się nie mieszam, bom nie tutejszy poddany— zaczął pan Lisiński głosem jak miód słodkim;—ale mimo to serce niezmiernie mnie boli, gdy patrzę na rozbrat, istniejący tu oddawna między stanami. Czyż mamy wiecznie toczyć z sobą walkę bratobójczą i krwawić się, na pociechę Niemcom? Czyż nie byłoby stokroć lepiej i piękniej, gdybyśmy sobie dłonie podali? A na kim wina ciąży za to rozdrowienie? Na jednych i na drugich, choć nie w równej mierze... Sprawiedliwość nakazuje mi wyznać, że szlachta więcej zawiniła; a że Pan Bóg taką mi już dał naturę, iż, choćbym nie chciał, muszę stawać zawsze po stronie słabszych i uciśnionych, przeto będę najszczęśliwszym, jeżeli chłopci naszego powiatu dźwigną się trochę przy mojej pomocy. Stanie się to zaś wtedy, gdy pan Grzywa zasiądzie na krześle prezesa rady powiatowej.

— Rzeczywiście?—przerwał paroch tonem ironicznym.

— Nieinaczéj, księże dobrodzieju. Mówmy tylko otwarcie, jak na ludzi rozsądnych przystało, bo przecież augurowie między sobą nie mieli tajemnic... Pan Grzywa jest mężem roztroptym i zacnym; jakie są jego cnoty, ja jeden mógłbym osądzić, bo go znam lepiej niż inni; wszelako w sprawach politycznych czy może on się mierzyć z księ-

dzem dobrodziejem? Czy ma on tę, co jegomość, bystrość umysłu, łączność sądu i stanowczość w działaniu? Kto więc stanie się powoli istotnym kierownikiem rady: on, czy też ksiądz proboszcz? Nie trzeba być prorokiem, żeby to przewidzieć... Przynajmniej co do mnie, nie mam pod tym względem żadnej wątpliwości... Osoba samego marszałka nie wchodzi tu więc w rachubę. Idźmy jednak dalej... Ksiądz proboszcz, znając szlachtę, wie, że w zbiorowisku są oni tak samo lekkomyślni, jak każdy z nich z osobna. Ilekroć ambicya każe im się starać o zwycięstwo, walczą o nie z wielką zaciekłością, często gęsto składają przy tém dowody niezwykłego bohaterstwa; zato gdy raz zwycięstwo odniosą, nie starają się go nigdy wyzyskać i spoczywają na laurach. I u nas tak będzie. Zdobywszy raz większość w radzie powiatowej, są już z tego tak zadowoleni, że o przyszłości pewnie myśleć nie będą. Dam głowę w zakład, że znaczna większość obywateli wybranych na posiedzenia wcale nie będzie przyjeżdżała, a wtedy terażniejsza mniejszość, zostająca pod rozkazami księdza dobrodzieja, stanie się prawdziwą większością. Ale i na tém nie koniec. Ksiądz proboszcz, mając ciągle stosunki z panem Grzywą, potrafi najlepiej dopilnować, żeby parafia po księdzu Bazylim nie dostała się jakiejś osobistości do tego niepowołanej...

Tu pan Lisiński przerwał i okiem bystrém badał parocha. Ten słuchał uważnie, cały w sobie skupiony. Słowa gościa snadź mu się podobały; prawdopodobnie były one także zgodne z jego własnymi zapatrywaniami, skoro uśmiech złośliwy znikł z jego oblicza, które zrobiło się poważne, prawie surowe. Gdy pan Lisiński mówić przestał, ksiądz chwilę jeszcze myślał, potem zapytał:

— A gdybyśmy na tę propozycję przystali, czy wiceprezesowstwo przyrzeklibyście nam na piśmie?

— Zdaje mi się, księżę proboszczu, że ustne zapewnienie powinno tu wystarczyć.

— *Verba volant, scripta manent.*

— Ha! jeśli bez tego obejść się nie może, to pan Grzywa przysze takie zobowiązanie jeszcze dziś.

— Jego własny podpis nie wystarczy... Prócz Grzywy musiałoby ten dokument podpisać jeszcze najmniej trzech członków rady z poza kuryi mniejszj własności; inaczej nie mielibyśmy żadnej rękoi, iż nas nie wy kierujecie na dudków. Cztery głosy wasze, dorzucone do naszych dziesięciu, dają nam większość; a dopóki tój nie będziemy mieli zapewnionj, nie zobowiązemy się do niczego.

— Chociaż warunek księdza dobrodzieja jest twardy i niespodziewany, dołożę jednak starań, by go spełnić. Gdy w grę wchodzą ważne sprawy krajowe, nie wolno myśleć o wygódkach, lecz trzeba pracować. Teraz księdza dobrodzieja pożegnaj, a jutro nad wieczorem przyjadę z rzeczą gotową.

— Daj Boże szczęście—sucho odpowiedział paroch.

Pan Lisiński podaną sobie rękę ścisnął z głębokim ukłonem i cichutko, na palcach, wyszedł z pokoju. Gospodarz wyprowadził go przed dom.

Pan Lisiński, do Strzałkowie wróciwszy, odbył dłuższą naradę we cztery oczy ze swoim dziedzicem, poczem niezwłocznie do miasta wyjechał. Szło o pozyskanie jeszcze trzech głosów dla przyszłego wice-marszałka, a tych wolał szukać między radnymi wybranymi z miast, ci bowiem byli oddawna panu Grzywie oddani, niż między obywatelami, na których bezwarunkowo nie można było liczyć. Wycieczka musiała się powieść jaknajlepij, skoro nim godzina upłynęła, pan Lisiński, wielce uradowany, znów wrócił do Strzałkowie.

Nazajutrz, zamiast polegać na listach i posłańcach, wolał dla większj pewności sam odwiedzić ks. Szczurkiewicza, z którym ułożył ostatnie warunki sojuszu zaczepno-odpornego. Po dokonaniu tego dzieła przesiedział zamknięty kilka godzin w swoim pokoju i pilnie coś pisał, a wieczorem odszukał pana Grzywę w kancelaryi; tu zamknął się z nim na dwa spusty i tak przemówił:

— Mam nadzieję, że dziedzic dobrodziój nie weźmie mi za złe, jeśli teraz, gdy nasz okręt dobija nareszcie do brzegu, ośmielę się zwrócić jego uwagę na pewną nader ważną okoliczność. Wprawdzie pan dziedzic ma ode mnie

stokroć więcej rozumu i doświadczenia, wszelako w sprawach parlamentarnych ja mam nieco wprawy, bom się o nich z dawien dawna dosyć uaczytał i nasłuchał. Zajmowały mnie one wielce...

— A mnie wcale nie!—przerwał pan Grzywa i ręką machnął.

— Wiem ja bardzo dobrze, że paplanina parlamentarna nie mogła interesować umysłu tak praktycznego, który odaje się jedynie rzeczom pożytecznym... Gdy atoli nadchodzi epoka gadulstwa, przeto, radzi nieradzi, musimy ją przyjąć jako złe konieczne, i wśród przykrości, które nas prawdopodobnie czekają, pragnę z całego serca, by moje wiadomości z dziedziny życia parlamentarnego przydały się na co memu drogiemu dziedzicowi... Bardzo być może, że w dniu wyborów, nim się zacznie głosowanie na marszałka, stronnicy dawnego prezesa wystąpią z szeregiem interpellacyj, na które dziedzie dobrodziej będzie musiał odpowiedzieć.

— Kto mnie do tego zmusi? Nie odpowiem i basta!

— To nie uchodzi... przepraszam za otwartość; złym atoli jest ten przyjacielem, kto prawdę tai. Wyborcy mają prawo żądać od kandydata wyznania jego wiary politycznej; mogą go oni również wezwać, by powiedział, jak się zapatruje na te wszystkie sprawy, które, po dokonanych wyborze, z urzędu swego będzie się musiał zajmować. Więc, lubo dziedzie dobrodziej jest przeciwnym, i to całkiem słusznie, wszelkiój gadanie, z której, prawdę powiedziawszy, ludzkość nie ma żadnego pożytku, jednakże tym razem trzeba będzie koniecznie pychę z serca zrzucić i głos zabrać.

— Co? jabym miał publicznie przemawiać. aby mnie potem pierwszy lepszy chłystek naciągał, jak szewc skórę? A niedoczekanie ich!—zawołał pan Grzywa, z krzesła się zrywając.—Jam całe życie orał, siał, zbierał, woły karmił, więc nie miałem nigdy czasu uczyć się mielenia językiem. Chcą mnie wybrać, dobrze; nie chcą, niech ich dyabli porwą! Daruję im wszystko. Ale zato tobie, Lisiński, pięknie podziękuję, żeś mnie ubrał w tę historję i wyciągnął na

wydatki! Przysięgnę, że mnie to dotąd kosztuje najmniej cztery tysiące. Toż to ze mnie osiel!—zakończył, pełną dłońią w czoło się uderzając.

Pan Lisiński wysłuchał wymówek spokojnie, choć mu przyjemności nie sprawiały, gdyż, jako dobry taktyk, chciał, by irytacya dziedzica znalazła naturalny odpływ w jego własnych słowach. Pan Grzywa chodził po kancelaryi, gniewał się na wszystkich i na siebie, wymachiwał rękoma i groził całemu światu; gdy jednak nic jego gniewu nie podsycało, więc powoli robił się cichszym, łagodniejszym, po upływie zaś kwadransa mentor osądził, że teraz może bezpiecznie przemówić. Zaczął tedy powoli a słodziutko:

— Nie wiem, zaiste, czemu właściwie dziedzic dobrodziej tak się gniewa. Jam ledwie przemówił, i planu, z którym przyszedłem, nie zacząłem jeszcze rozwijać, a pan dziedzic już się uniósł. Ależ, doprawdy, szkoda zdrowia cennego! Że podczas agitacyi wyborczej kandydat na interpelacyę milczeć nie może, to rzecz prosta; ale nie jest to niczém straszném, ponieważ zabieranie głosu odbywa się w rozmaite sposoby. Jedni mówią odrazu, bez żadnego przygotowania. Są to ludzie, którym Pan Bóg dał łatwość słowa i możność szybkiego orientowania się w każdym położeniu. Takich atoli jest bardzo mało. Drudzy, przeciwnie, a tych jest na świecie najwięcej, nad tém, co mają powiedzieć, muszą się wpierv dobrze zastanowić; inni znów układają mowy na piśmie, a potém uczą się ich na pamięć; są nareszcie i tacy, którzy, bojąc się zaufać swojej pamięci, wolą przygotowaną mowę odczytać, niż ją wygłaszać. Do tych ostatnich należą niekiedy nawet mężowie prawdziwie znakomici. Wiedząc, że dziedzic dobrodziej nie lubi przemawiać publicznie (choć nie wątpię, że gdyby to uczynił, wywarłby potężne wrażenie), ośmieliłem się ułożyć taką mówkę, w której już z góry będzie się znajdowała odpowiedź na wszelkie możliwe interpellacye.

— A jak ty możesz, Lisiński, już dziś wiedzieć, o co mnie oni pytać będą?—przerwał pan Grzywa, w wysokim stopniu zaintrygowany przemową swego mentora.

— To łatwo przewidzieć. Wszak kandydata można badać tylko w tych sprawach, które należą do władz autonomicznych, a te mamy w małym palcu. Przecie nasze rady powiatowe nie prowadzą wielkiej polityki i nie zmieniają karty europejskiej. Jeżeli pan dziedzic pozwoli, odczytam teraz mowę, którą ośmieliłem się ułożyć na własną rękę; zastanowimy się nad jej osnową, a gdyby w niej trzeba było co zmienić, chętnie to uczynię, boć za zaszczyt sobie poczytuję słuchać zawsze mądrych uwag dziedzica dobrodzieja.

— No, czytaj, czytaj. Zobaczymy, co to będzie—rzekł pan Grzywa, obok swego mentora na krześle siadając.

Pan Lisiński wyjął z kieszeni półarkusz siwego papieru, po jednej stronie dużym charakterem zapisany, rozwinął go i zaczął czytać:

„Jaśnie wielmożni! Dostojni! Przewielebni i zacni panowie!”

— Ho, ho, toś im nakadził!—przerwał pan Grzywa.

— Niech to jednak dziedzica nie dziwi... Niedarmo mówi stare przysłowie, że gdy wleziesz między wrony, musisz krakać jak i one... Skoro w Galicyi tytułomania kwitnie lepiej niż gdziekolwiek indziej, więc radzi nieradzi musimy dać w tę dudkę, która ogólowi najlepiej do gustu przypada... Wszak tu było gniazdo naszej arystokracji, którą mniejsi zaczęli małpować, bo każdy chciał być wielmożnym. Tak powoli choroba całą prowincję ogarnęła. Każdy Galicyanin już dla tego samego, że ma surdut na grzbiecie, a buty na nogach, jest herbowym szlachcicem; każdy szlachetka, choćby nawet chodaczkowy, wywodzi się w prostej linii od karmazynów i nad wszelki wyraz jest uszczęśliwiony, jeśli mu kto na adresie listu wypisze: „Jaśnie Wielmożny Pan!” Każdy pisarz biurowy żąda, by go tytułowano komisarzem. Co do mieszczan, ci obraziliby się śmiertelnie, gdyby im kto powiedział: sławetni, bo oni są: wielmożni, dostojni, zacni, nawet czcigodni! Ponieważ ten najłatwiej zjednywa sobie popularność i sławę mądrego człowieka, kto umie to powiedzieć, co słuchającemu przyjemność sprawia, więc dla

czego pan dziedzic nie miałby pójść tą drogą, zwłaszcza, że ona nic nie kosztuje! Ludzie małego serca i tępego umysłu lubią pochlebstwa, a takich, niestety! mamy tu więcej niż gdziekolwiek indziej. Trzeba im więc zakadzić, żeby potem tém łatwiej wziąć ich na wędkę.

Uśmiechnął się na to pan Grzywa i rzekł:

— Może to i dobre... ale czytaj dalej.

Pan Lisiński zaczął więc czytać:

„Wezwany przez licznych członków tej wysokiej rady do ubiegania się o zaszczytne stanowisko jęj prezesa, poczuwam się najpierw do miłego obowiązku złożenia serdecznego podziękowania tym wszystkim, którzy z własnej woli raczyli postawić moją kandydaturę. Ulegając ich życzeniu, upewniam jednocześnie wszystkich obecnych, że tylko po długim namyśle i sumiennym obrachunku z własnym sumieniem, zdecydowałem się przyjąć urząd, który nie różę, lecz ciernie w darze przynosi. Wiem, że mnie czeka praca mozolna, obawiam się także, że zamiast uznania spotkają mnie kiedyś może nawet zarzuty, ale, mimo to, pójdę drogą obroną, stara to bowiem prawda, że uznanie rzadko jest tego udziałem, kto się sprawom publicznym gorliwie oddaje. Kto krajowi bezinteresownie służy, a sumiennie dla niego pracuje, ten niejednemu musi się narazić, a ci zrażeni i obrażeni szarpną potem jego dobre imię... Mimo to, ja się ich nie ulęknę, ponieważ przeświadczenie, że sumiennie pełnił swój obowiązek, będzie dla mnie największą nagrodą. Pozwólcie, panowie, bym w słowach ile możności treściwych wskazał drogę, którą w razie wyboru iść postanawiam. Że nasz powiat należy pod wielu względami do najbardziej zaniedbanych, to dla nikogo nie jest tajemnicą. Nasze drogi są najgorsze, mostów na rzekach wcale nie mamy, a zaś te, które na potokach się znajdują, potrzebują rychlej naprawy; straż polna nie jest jeszcze zorganizowana; o sikawkach i ochotniczych strażach pożarnych w naszych wioskach nikt dotąd nie słyszał; gospodarka w kasach gminnych jest najgorsza, budownictwo wiejskie znajduje się w stanie opłakanym, a założenie szpitala powiatowego należy do spraw

najbardziej piekących. Zaradzić temu wszystkiemu, w miarę możliwości, będzie moim pierwszym obowiązkiem.”

— Oszalałeś, Lisiński, czy co?—krzyknął pan Grzywa.— Jabym miał temu odrazu podolać!

— Ależ, dziedzicu dobrodzieju, tylko *w miarę możliwości*. W tych dwóch słówkach mieści się wszystko i nic... W języku parlamentarnym, acz jest on cały bardzo giętki, nie ma wyrażenia bardziej elastycznego, więc też ministrowie rządów konstytucyjnych używają go przy każdej sposobności, a zawsze z powodzeniem. Pan minister zazwyczaj wszystko przyrzeka, a pocziwie te dwa słówka redukują każdą jego obietnicę do zera. Rząd parlamentarny obiecuje naprzykład podnieść oświatę, dobrobyt, zmniejszyć wydatki na cele wojskowe, zdobyć dla państwa większy wpływ za granicą, a wszystko to *w miarę możliwości*... I dziwić mu się ten nie będzie, kto, znając naturę ludzką, wie, że tylko ogólnik może ogół zadowolić, gdy zaś przeciwnie, wchodzenie w szczegóły jest drażliwe, niekiedy wprost niebezpieczne. Gdyby tak pan dziedzic powiedział: tę a tę drogę będę budował, ów most zamierzam postawić, a tam szpital założę, to niewątpliwie ci wszyscy, którzyby w najbliższej przyszłości nie spodziewali się u siebie ani drogi, ani mostu, ani szpitala, zaczęłoby sarkać i przesliby w opozycję. Roztropność tedy nakazuje tak obiecywać, żeby każdy mógł śmiało ludzić się nadzieją, iż on pierwszy wszystko dostanie... Idźmy jednak dalej. Ponieważ od lat dwudziestu pięciu Galicya jest pod słońcem krajem najbardziej lojalnym, przeto umieściłem i taki ustęp: „Chociaż jest wiadomą rzeczą, że uchwały rady powiatowej są trudne do wykonania, głównie zaś z tego powodu, że władze autonomiczne nie mają egzekutywy, ta bowiem w rękach c.-k. starostów spoczywa, mimo to nie tracę nadziei, że wielki cel, któryśmy sobie wytknęli, potrafimy w zupełności osiągnąć, jeśli tylko zaskarbimy sobie zupełne zaufanie jaśnie wielmożnego pana starosty, reprezentującego godnie w naszym powiecie świętą osobę miłościwie nam panującego monarchy. Kraj z rządem, rząd z krajem—oto godło naszego sztandaru,

któryśmy wysoko dźierzyć powinni, by dokoła niego mogli się zgromadzić wszyscy dobrze myślący synowie tej ziemi!" Cóż, panie dziedzicu, racya?

— Racya, zupełna racya. No, czytaj, zobaczymy, jak ci się udało dalej.

Pan Lisiński czytał dalej patetycznie:

„Nikt nie zaprzeczy, że spór, toczący się między dwiema bratnimi narodowościami, jest równie szkodliwy dla nas, jak gorszący dla świata całego. Ci, którzy, według praw bozkich i ludzkich, przykładnie obok siebie żyć powinni, aby dla wspólnego dobra pracować, marnują siły w nieustannej rozterce, i krwawiąc sobie piersi w walce bratobójczej, dają tém obraz tej nieporadności, która jeszcze dziś jest powodem, że łakome plemię teutońskie, wyparłszy nas z nad Łaby i Odry, wyciąga szpony drapieżne po odwieczne nasze siedziby nad Wartą! Oplakany tym stosunkom musimy nareszcie położyć tamę. Chociaż zakres naszego działania jest bardzo szczupły, będę się jednak starał, by w naszym powiecie zapanowały inne stosunki; a gdy to nastąpi, damy z siebie dobry przykład. Niech nikt nie sądzi, że tylko złe jest zaraźliwe. Bynajmniej! Czyny dobre znajdują także licznych naśladowców; miejmy więc nadzieję, że cokolwiek dodatniego w naszym powiecie uczynimy, udzieli się to powiatom ościennym, i powoli do tego przyjdzie, że narodowościowe stosunki w Galicyi całkiem się przekształcą. I, aby bracia kmiecie nie wątpili o naszych dobrych chęciach, ofiaruję im na początek w imieniu moich przyjaciół politycznych, wice-prezesowstwo w naszej radzie, później zaś będę usilnie o to się starał, by ich każde słuszne żądanie było załatwione ku wspólnemu pożytkowi obydwu narodowości.”

Pan Lisiński skończył głosem podniesionym i spojrzenie tryumfujące skierował na swojego dziedzica. Ten stał trochę chmurny i szcękami poruszał, jakby co przeżuwał.

— Wiesz, mój kochany—zaczął po namyśle,—że ta sprawa należy do tych, które mi oddawna kością w gardle stoją... Wolałbym o wszystkiém inném mówić, byle nie o nięj.. Ale trudna rada, skoro człowiek lezie między wrony,

musi krakać jak i one... Będę zatem i ja o niej mówił; lecz, jak widzę, mój Lisiński, przyrzeczenie zapowiedziane na początku, nie ziściło się przy końcu. Tybyś chamom dał Bóg wie co, boś nawet opuścił: *w miarę możliwości*.

— Ale zato wyraźnie zazaczyłem, że będziemy się starali, by tylko ich *sluszne* żądania były załatwione ku *wspólnemu pożytkowi* obydwu narodowości. Ach! dziedzicu dobrodzieju! ten zwrot jest jeszcze elastyczniejszy niż poprzedni. Przecież oznaczenie, co jest słusznem, a co niemożliwem do przyjęcia, co wyjść może na nasz wspólny pożytek, a co na naszą szkodę, będzie zależało od większości, a tę w radzie stanowi nasza partya. Prócz tego dziedzic z góry zapowiada, że się będzie starał, gdyby więc jego starania nie były uwieńczone pomyslnym skutkiem, nie on temu będzie winien.

— Chociaż kręcisz jak adwokat, przecież się boję, bym się na czém nie złapał.

— Moja w tём głowa, panie dziedzicu, by oni się złapali, nie my. Dam temu konia z rżędem, kto w mojej mowie znajdzie choć jedną taką rzecz, za którąby nas można złapać... Wprawdzie Szczurkiewiczowi musimy dać wice-prezesowstwo, ale dopiero wtedy, gdy przedtём wybadam, że partya obywatelska nie będzie jak jeden mąż za nami głosowała. Jeśli atoli stanie się przeciwnie, puścimy go na zieloną paszę... Pięknymi słówkami trzeba działać na wyobraźnię i uczucie mas, a gdy te są podbite, rozum ani postrzeże, kiedy się stanie ich niewolnikiem. Żal mi bardzo, że, jako nietutejszy, nie mogę do rady należeć; mam wszakże nadzieję, że dziedzic dobrodziej, marszałkiem zostawszy, nie przestanie mnie i nadal zaszczycać swoim zaufaniem; zresztą może mnie zamianuje sekretarzem rady, abym wedle sił i możliwości mógł mu dalej służyć...

Pan Grzywa wziął mowę z rąk swego mentora, i w papier się wpatrując, zaczął się za ucho skrobać.

— Więc ja mam się tego na pamięć uczyć?

— Taka jest moja rada... W ostateczności możnaby mowę odczytać; lepiej będzie, jeśli ją dziedzic z pamięci wygłosi...

— A toś mi wbił w łeb kawał ćwieka! Człowiek za młodu w szkołach niczego się nie uczył, i jakoś mu z tém dobrze, a teraz na starość każą mu kuć licho wie co!

— Proszę jednak zważyć, że trud będzie sownie wynagrodzony...

— Ha! skoro utrzymujesz, że tak być musi, więc będę próbował; zobaczymy jednak, czy podolam.

To rzekłszy, włożył na nos okulary i powoli, słowo po słowie, zaczął odczytywać koncept pana Lisińskiego.

Gdy dziedzie Strzałkowic uczył się na pamięć mowy, którą miał wkrótce wygłosić, cały powiat zajmował się żywo jego kandydaturą, poddając ją w niektórych miejscowościach, zwłaszcza tam, gdzie mieszkali zwolennicy poprzedniego prezesa, surowej krytyce. Ci nie mogli zrozumieć, jak człowiek, nieposiadający ani wykształcenia, ani zasług, ani miru, mógł się kusić o stanowisko tak wybitne. Wielce to każdego irytowało i każdy pragnął z całej duszy, by się znalazł ktoś taki, coby śmiałym wystąpieniem zagroził panu Grzywie drogę do niezasłużonych dostojęństw. Wszelako nikt, z obawy przed skandalem, nie chciał się na ten krok sam odważyć.

Chłopi wcale nie pytali, kto zostanie marszałkiem. Od ćwierci wieku było we zwyczaju, że ten lub ów ksiądz, należący do rady, obejmował nad nimi przewodnictwo i ten w każdój sprawie ważniejszej dopiero w ostatniej godzinie ich pouczał, jak lub na kogo mają głosować. Teraźniejszym ich wodzem był ks. Szczurkiewicz, w jego tedy ręce złożył losy swego stronnictwa, a czy on niemi dobrze, czy źle pokieruje, o to się już nie troszczyli.

Co do partyi miejskiej, ta jak jeden mąż stanęła po stronie pana Grzywy. Lubo każdy z tych, którzy w mieście odgrywali wybitniejszą rolę, wiedział, jaka właściwie była wartość moralna dziedzica ze Strzałkowic, mimo to każdy za nim przemawiał; jednych bowiem ujął sobie rozmaitemi przysługami, drudzy nie mieli prawdziwego poczucia honoru, więc też myśl, że człowiek bez wartości moralnej stanie na ich czele, nie oblewała ich wstydu rumieńcem; inni nako-

niec, a byli to przeważnie biurokraci, cieszyli się w głębi ducha, że szlachta będzie skompromitowana. W ich sercach tkwi z dawien dawna głęboka niechęć do tój warstwy na ziemi osiadłej, która niegdyś była wszystkiem. Pochodzi to zaś głównie ztąd, że obywatelstwo wiejskie unika biurokracyi tak samo, jak mieszczaństwa.

W Lipieńcu o kandydaturze pana Grzywy więcej mówiono, niż się tego może sąsiedzi spodziewali; lecz że ten dom należał do cichszych w okolicy, przeto nikt nie umiał powiedzieć, jaka w nim opinia przeważała. Frannś Czapiński był w tym czasie u Konrada, a gdy się coś przy obiedzie o radzie powiatowój zgadało, hrabia go zapytał:

— A pan na kogo będziesz głosował?

— Ja? hm, tak... doprawdy, sam jeszcze nie wiem...

— Spodziewam się jednak, że nie na pana Grzywę.

Przy tych słowach Zosia mocno się zarumieniła.

— Na niego? Boże broń!... Ani mi to w głowie... słowo honoru!—odparł.

Dzień, w którym nowa rada miała przystąpić do wyboru swego prezesa, pozostanie na długo w pamięci powiatu. Szczególnie miasto samo było wielce uradowane, pan Lisiński bowiem od świtu przygotowywał w apartamentach rady wspaniałe śniadanie, a na godzinę piątą w hotelu *Pod Kogutem* był zamówiony obiad na pięćdziesiąt osób. W śniadaniu mieli wziąć udział tylko członkowie rady; przeciwnie na obiad byli zaproszeni i tacy przyjaciele pana Grzywy, którzy, acz nie mieli zaszczytu należeć do reprezentacyi powiatowój, jednakże głośno podzielali jego polityczne przekonania. Od jednej do drugiej rogatki nie mówiono tedy o niczém więcej, tylko o pasztetach strasburskich i angielskim porterze, które w oryginalnych puszkach i fiaskach miały się zjawić na śniadaniu, a jeszcze więcej o indykach z trufkami, które podczas obiadu zastępca gospodarza przyrzekł skąpać w szampanie. Gdy pan Lisiński zajmował się śniadaniem, pan Trocki, przez poświęcenie dla dobra powszechnego, nie wychodził tego dnia z hotelu *Pod Kogutem*,

bo i kuchni potrzebował wciąż doglądać i w sali jadalnej pilnować, by stoły były odpowiednio ubrane.

Inspektor Tusowicz, tak samo jak inni panowie miesj y, dnia tego od rana ślinkę połykał, gotując się na libacye, które go wieczorem czekały; zato damy nie tały swego niezadowolenia, że je pominięto przy uczczeniu faktu, który tak żywo cały świat obchodził. Tylko panna Kunegunda i pani Tusowiczowa były bardzo uradowane, że ich na obiad nie zaproszono, gdyż przez wzgląd na swoją godność byłyby musiały odmówić... Zdania atoli wręcz przeciwnego była radczyni Darska. Ta koniecznie tam być powinna. Wszak jej mąż, gorliwiej niż ktokolwiek inny, przemawiał za panem Grzywą, wielką tedy niegrzecznością było z jego strony, że uświetniając dzień swego wyboru, pominął damy, a właściwie ją, radczynię, która przy obiedzie, tak samo jak ongi na balu, mogła także grać rolę gospodyni. Gdy zjawił się Frannś Czapiński, zamiast ją uspokoić, dolał jeszcze oliwy do ognia. I on był zdania, że pierwszy dygnitarz powiatowy, o damach zapominając, tém samém popełnił wielki błąd polityczny, bo przecież one znaczą nierównie więcej niż mężczyźni.

— I niech pani radczyni nie myśli, że chcę jej pochlebiać, nie, słowo honoru!—zawołał z emfazą.—To, com powiedział, wypływa z mego najgłębszego przekonania. My rządzymy światem, a nami kobiety; mąż jest głową, ale żona szyją, która głowę porusza. Dlatego pan Grzywa skompromitował się wobec całej ludzkości, że zapomniał o kwiatach, które nam życie uprzyjemniają.

— Nie może być!—krzyknęła radczyni, pełna uniesienia.—Pan to tak ślicznie powiedziałeś, że pragnę jego słowa na zawsze zapamiętać. Pan mi to musi w „sztambuchu” zapisać. Tylko prawdziwy „szykowiec” i salonowiec może tak pięknie mówić! Gdyby wszyscy czuli i myśleli jak pan, inaczéjby na świecie było—dodała, tęskne spojrzenie na Fransia rzucając.—Ale gdyby mnie mój Michał teraz usłyszał, dałby mi za to! Nie uwierzyłby pan, jaki z niego prostak... On mi nigdy nie da słowa dobrego. Doprawdy,

nieraz aż sług się wstydzę. Lecz jak się panu zdaje, dlaczego właściwie Grzywa nas nie zaprosił?

— Przez skąpstwo, słowo honoru, przez czyste skąpstwo.

— Fe, doprawdy, fe! U mnie już tyle razy jadł i pił, a teraz żałuje mi łyżki rosolu. Gdybym była przypuszczała coś podobnego, nie miałby dziś zapewnionych tyłu głosów... pan będzie za nim głosował?

— Ja? Hm, hm!... Ja się trzymam moich.

— Michała i aptekarza?

— Chciałem powiedzieć: mojej kuryi. Ponieważ jestem wybrany z kuryi większej własności, więc muszę głosować z moimi sąsiadami.

— Aha! rozumiem.. ze szlachtą. A ona za kim też będzie?

— Jeszcze nie wiem.

— Czy być może, abyś pan nie wiedział?

— Słowo honoru, nie wiem. Ludzie polityczni nie potrzebują w takich wypadkach na miesiąc naprzód głowy sobie suszyć. U nas... raz, dwa... i już jest!

— Skoro tak, więc muszę Michałowi powiedzieć, żeby i on ze szlachtą głosował. Przecież i my lada dzień wieś sobie kupimy, bo nas stać na to. Prezydentowa, gdy się o tym dowie, zje się ze złości... ale co mnie ona obchodzi! Kto pieniądze w kieszeni czuje, ten przecież może żyć, jak mu się podoba, i nie potrzebuje oglądać się na jakichś gryziorzków. Doprawdy, dziś jeszcze pomówię o tym z Michałem.

I dotrzymała przyrzeczenia. Tego samego dnia, późnym wieczorem, gdy mąż z kasyna wrócił, miała z nim długą i wcale niecichą rozmowę, której Karolcia, pod drzwiami stojąca, cierpliwie wysłuchiwała. Mąż zapewne przy tej sposobności niemało komplementów powiedział, skoro panna Kunegunda, gdy nazajutrz Karolcia wszystko jej pod pieczęcią tajemnicy powtórzyła, chwyciła się oburącz za głowę, i wzrok do góry podnosząc, jęknęła:

— Ależ to istna Sodoma i Gomora!

W dniu wyborów, nieduże podwórko, znajdujące się za domem, w którym mieściły się biura rady powiatowej,

było zatłoczone wózkami i powozami. Na pół godziny przed rozpoczęciem posiedzenia zjechali się wszyscy członkowie rady. Brakowało tylko Goldeifera, który z piękną żoną bawił dotąd za granicą, jeszcze jakiegoś właściciela dóbr, złożonego ciężką chorobą, i hrabiego Tęczyńskiego. Szlachta, obliczywszy się, spostrzegła, że znajduje się w przerażającej mniejszości. Nietylko wsie i miasta były przeciw jęj kandydatowi, lecz głośną było już tajemnicą, że nawet niektórzy z jęj grona, by się odwzajemnić za doznane grzeczności, będą głosowali za panem Grzywą. Ci ludzie nie o zwycięztwie więc już myśleli, lecz o honorowym odwrocie.

Wieśniacy stali na dworze, czekając na swojego wodza, bez którego ani kroku nie chcieli uczynić. Ks. Szczurkiewicz tymczasem naradzał się z Lisińskim u starego Mendla, który miał sklep korzenny, w mieście największy, a w nim różne delikatesy i miód w przednim gatunku. Przed samą jedenastą ksiądz wyszedł od Mendla i zwolna pociągnął do rady powiatowęj. Zbliżywszy się do włościan, odprowadził ich na bok i pod stajnię, w której stały konie przyjezdnych, zaczął się z nimi naradzać. Niezadługo po nim zjawił się także pan Lisiński.

Ten wszystko roztropnie zarządził, by tryumf jego dziedzica był zupełny.

Biura rady powiatowęj mieściły się w trzech obszernych pokojach. Prócz nich była jeszcze duża sala, przeznaczona na obrady. Na środku pierwszego pokoju stał stół podłużny, cały zimnemi przekąskami zastawiony, które atoli przed pożądliwém okiem panów rajców były dotąd białym obrusem zasłonięne. W drugim pokoju, zajęтым przez sekretarza rady, było widać dużą szafę z aktami, pod samą ścianą, która tę izbę od sali obrad oddzielała. Pan Lisiński, porozumiawszy się z sekretarzem, (ten chciał już naprzód zjednać sobie względy nowego prezesa), na kilka dni przed walném zgromadzeniem, odsunął szafę z aktami i za nią w ścianie drewnianej zrobił dość duży otwór, który od strony sali obrad zamaskował takiem samém obiciem papierowém, jakim ona była wyklejona. Otwór znajdował się tedy

tylko od strony pokoju sekretarza. Aby go i tu przed okiem ciekawych zasłonić, postawił szafę w ukos, skutkiem czego miał za nią wygodną kryjówkę i w razie potrzeby mógł, co chciał, mówić w głąb' otworu.

Szło o to, by dziedzicowi podczas egzaminu zręcznie podpowiadać. Pan Lisiński wiedział, jakie wrażenie robi na słuchających żywe słowo, a że pan Grzywa, mimo wysiłku, mowy napisanej nie mógł się dobrze na pamięć wyuczyć, mentor tedy postanowił służyć mu za suflera. I ułożył on rzeczy tak, że dziedzic miał stać tuż przy maskowanym otworze, aby przyjaciel mógł mu wpuszczać wprost do ucha zgubione wyrazy.

Nim przyszedł starosta, by jako przedstawiciel władzy wykonawczej być z urzędu obecnym przy wyborze prezesa władzy autonomicznej, pan Grzywa nie tyle sam, co przez swoich przyjaciół, Lisińskiego i radcę Darskiego, zaczął obecnym zachęcać do spożycia śniadania. Kilku obywateli, lecz nie wszyscy, wymówiwszy się brakiem apetytu, udało się do sali obrad; inni, między nimi także Franuś Czapiński, który rzucił hasło: „Głosowanie swoją drogą, a jedzenie swoją!”—zbliżyli się do stołu i wnet kieliszek ze starką litewską zaczął krążyć z rąk do rąk... Za ich dobrym przykładem poszli natychmiast inni w zwartym szeregu; tylko wieśniacy cofnęli się pod ścianę ku drugiemu stolowi, na którym było widać chleb, ser, kielbasy, pieczeń cielecą, wódkę we fiaskach i piwo w beczulce. Tych ugaszczal pisarz rady przy pomocy woźnego. Prawie przez godzinę było słyhać dźwięk szklanek i kieliszków, brzęk talerzy, pochwały, szepty i ciche życzenia. Ks. Szczurkiewicz kilka razy do chłopów podchodził i zapewne mówił im o przyszłym prezesie, skoro ci spoglądali na pana Grzywę, i głowami potrząsając, dawali tém do zrozumienia, że wszystko uczynią, czego „prowodyr” od nich żąda. Uczta byłaby dłużej trwała, zjawienie się jednak starosty, który wszedł zimny, sztywny, arcy urzędowy, musiało jój kres położyć. Wprawdzie niektórzy biesiadnicy, między nimi pan Grzywa, usiłowali i jego wciągnąć do swego koła, starosta atoli, wy-

mówiwszy się bólem głowy, udał się niezwłocznie do sali obrad, gdzie nudzący się dotąd obywatele przyjęli go jak swego zbawcę.

Teraz wypadło i innym tam pośpieszyć. Pan Lisiński rzucił się do swojej kryjówki, zostawiając resztki biesiady na łasce służby.

Pan Grzywa trzymał się dopóty dobrze, póki miał mentora przy swym boku; lecz gdy za Franusiem, który wszedł ostatni do sali obrad, drzwi się zamknęły, trochę poblądł, rzucił wkóło spojrzenie niedowierzające i ukosem zerknął ku tej stronie, gdzie w ścianie znajdował się otwór zamaskowany. W tej samej chwili dało się tam słyszeć cichutkie chrząkanie. Dodało mu to otuchy; odechrząknął więc i on, i w duchu patrona swego na pomoc wzywając, usiadł obok stołu, z kąd wkrótce miał przemawiać.

Zgromadzenie wybrało najstarszego wiekiem tymczasowym przewodniczącym, a gdy ten, na fotelu usiadłszy, jako rzecz pierwszą do załatwienia wskazał wybór marszałka, podniósł się jeden z obywateli i w krótkich słowach polecił na tę godność poprzedniego prezesa. Chwilę panowało uroczyste milczenie. Obywatele spoglądali po sobie; starosta machinalnie przerzucał papiery przed sobą; Franus głowę zwiesił i, w podłogę zapatrzony, zdawał się śledzić ruchy pajaka, który ku niemu zmierzał; radca Darski zerkał ku ks. Szczurkiewiczowi, ten zaś wyglądał jak człowiek, który nad czémś się namyśla i odwagę zbiera. Wreszcie powstał i głosem stentorowym w te słowa przemówił:

— Mnie się zdaje, że skoro mamy nową radę, więc powinniśmy mieć także nowego prezesa. Wprawdzie poprzedniemu, o którym tu wspomiano, nie mam nic do zarzucenia, lecz, Bogiem a prawdą, nie mam go też za co chwalić, zwłaszcza, że nie przyczynił się w niczém do ucieszenia sporów, które od tylu lat toczą się między nami, wszystkim na obopólną naszą szkodę, a ku uciesze Niemców i Żydów. Ponieważ sprawa ta jest ważniejsza, niż każda inna w tu-tejszym powiecie, przeto mniemam, że powinniśmy tym razem oddać nasze głosy na takiego męża, który będzie się starał

nas pogodzić. A takim mężem jest jeden tylko pan Bartłomiej Grzywa, dziedzic ze Strzałkowic. Jego kandydaturę na marszałka stawiam tedy w imieniu tych sześćdziesięciu tysięcy włościan, którzy w naszym powiecie mieszkają.

— I my go stawiamy, i my!—dały się słyszeć głosy przedstawicieli miasteczek.

I znów cisza zaległa, jak po piorunie, który drzewo roztrzaskał. Choć rzecz ta była z góry ukartowana i wszyscy jęj się spodziewali, jednakże, gdy raz stała się głośną, tych nawet przełękla, którzy byli jęj twórcami. Najbardziej przestraszonym wyglądał sam kandydat. Ten nie miał odwagi nikomu w oczy spojrzeć i wahał się, nie wiedząc, co począć. Dopiero lekkie chrząknięcie poza tapetami ocuciło go z odrętwienia. Porwał się tedy na równe nogi, odchrząknął raz i drugi, napił się nawet wody, którą sekretarz podał mu z uprzejmym uśmiechem, i oczy w dół spuściwszy, zaczął recytować swoją mowę.

Już z pierwszych słów, dobrze zestawionych, acz monotonnie wypowiedzianych, każdy się domyślił, że była wyuczona. Lecz, mimo to, słuchano go uważnie. Co też powie ten człowiek? Do jakich zasad się przyzna? Czego powiat mógłby się po nim spodziewać? Pan Grzywa pędził z początku galopem, jakby się lękał, by to, co z takim trudem w pamięć sobie wdroył, nagle z nięj nie uciekło; w miarę jednak, jak się zbliżał do połowy, wątek zaczął mu się rwać. Chwytał wszakże jeszcze pogubione wyrazy, lecz zasługa w tém była nie tyle jego własna, co pana Lisińskiego, który podpowiadał z mistrzostwem nie zrównanem. Prawdopodobnie byłby dobiegł do końca, gdyby nie fatum złośliwe, które, pozazdrościwszy mu łatwego tryumfu, niespodziewanie figla mu wypłatało. Bo oto, gdy mentor, aby być jaknajbliżej swego pupila, całą głowę wetknął w otwór ściany, w tęg samęj chwili jedna noga mu się pośliznęła, i on, równowagę chwytając, tak nieszczęśliwy ruch wykonał, że głowa jego, tapetę przebiwszy, znalazła się niespodziewanie w sali obrad, tuż za głową pana Grzywy. Wyglądała ona, jakby ją kto od tułowiu oddzielił i do ściany przylepił.

— Masz, babo, redutę!—zawołał Franuś.

Chociaż Lisiński, jak błyskawica, w tył się cofnął, znaczna część rady zobaczyła go i głośnym śmiechem parsknęła, a pan Grzywa, usłyszawszy za sobą szelest złowrogi, obrócił się przerażony.

— A bodajbyś zdechł!—krzyknął, i pięścią w stół uderzywszy, usiadł na krześle skamieniały.

W sali zrobił się gwar. Obywatele śmiali się na cały głos; starosta, chociaż się do powagi przymaszał, wesoło im wtórował; nawet chłopci byli uradowani. Tylko ks. Szczurkiewicz gryzł wargi do krwi i chmurno spoglądał. Nieszczęsny ten wypadek mógł być zabójczym dla pana Grzywy, nie bowiem mężom politycznym bardziej nie szkodzi, niż śmieśność. Zrozumiał to pierwszy radca Darski, a że obowiązek nakazywał mu bronić przyjaciela, przeto podniósł się i w te słowa przemówił:

— Od naszego kandydata nikt nie żąda, aby był krasomówcą, i aby bez przygotowania, na każde zawołanie, popisował się frazesami, w których jest wszystko, prócz treści. To, co nam dotąd powiedział, świadczy korzystnie o jego duchu pojednawczym i wzniosłych zasadach; a ponieważ nam to wystarcza, więc prosimy go usilnie, żeby głosu więcej nie zabierał. Spodziewamy się, że pan przewodniczący zarządzi teraz głosowanie.

— Tak jest, prosimy głosować!—zawołał ks. Szczurkiewicz.

Przewodniczący chciał już uczynić zadość ich życzeniu, gdy Franuś, który tymczasem do okna się zbliżył, nagle krzyknął:

— Hrabia jedzie!

— Tak jest, hrabia! Czekajmy na hrabiego!—dały się słyszeć liczne głosy.

Wszyscy się poruszyli. Nawet starosta powstał ze swego miejsca, by pośpieszyć na spotkanie dostojnego gościa. Obywatele mieli teraz twarze rozpromienione, jakby im ważny sprzymierzeniec przybywał, który ich miał z ciężkiej biedy wybawić.

Z chwilowego zamieszania skorzystał pan Lisiński, żeby dziedzica wciągnąć do pokoju sekretarza, i tam, za szafą, odbyć z nim krótką naradę. W tym czasie sekretarz naprawił otwór w ścianie.

Hrabia przeprosił obecnych, że się spóźnił, ale nie on był temu winien. W pół drogi między Lipińcem a miastem miał przykry wypadek. W pewnym miejscu, na skręcie, złamał mu się dyszel u powozu, a że w pobliżu nie było nigdzie wioski, musiał tedy w karczmie czekać prawie dwie godziny, nim stangret z domu drugi ekwipaż sprowadził. Wytlumaczywszy się w ten sposób, tak dalej mówił:

— Chociaż gorąco prosiłem moich zacnych sąsiadów, by mnie wyborem do rady nie zaszczycali,—sądzę bowiem, że łatwo znalazłaby się w powiecie siła ode mnie młodsza i lepsza, mimo to uznałem za rzecz konieczną powierzony mi mandat przyjmując, gdyż od służenia krajowi, jeśli taka jest stanowcza wola wyborców, nikt z nas nie powinien się uchylać. Dziś mamy dokonać wyboru nowego prezesa. Ponieważ późno przyjechałem, nie wiem przeto, ani kto o tę godność się ubiega, ani za kim większość się oświadcza. Co do mnie, nie stawiam także nikogo; a jeśli w tej ważnej sprawie głos zabieram, czynię to jedynie, że radbym wypowiedzieć kilka uwag ogólnych, których szanowne zgromadzenie może zechce łaskawie wysłuchać. Urzędy autonomiczne, któremi monarcha wspaniałomyślnie nas obdarzył, nie są władzą w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, nie da się atoli zaprzeczyć, że są one szkołą, w której powinniśmy pilnie i sumiennie uczyć się trudnej sztuki rządzenia. A więc tylko ten może stanąć u steru naszej autonomii, kto zna wszechstronnie ustawy krajowe, kto prócz tego jest rozumny i pełen taktu, gdyż bardzo być może, że, jak nieraz będzie współdziałał z władzami rządowymi, tak niemniej będzie się on musiał z nimi czasem ścierać. Jesliby więc nie posiadał przymiotów, którem wymienił, mógłby łatwo skompromitować siebie, a przez siebie nas! Lecz to jeszcze nie wszystko. Ponieważ członkowie rady szczytają się szacunkiem i zaufaniem swoich wyborców, słusznym tedy będzie nasze

żądanie, by w instytucyi tak, nawskróś obywatelskiej i na zaufaniu ogółu opartej, nietylko najzdolniejszy, lecz także najszlachetniejszy mąż w powiecie był jej przewodniczącym, boć jedynie takiego moglibyśmy słuchać i kochać. Mniemam również, że jeszcze jeden przymiot nasz prezes powinien posiadać, mianowicie szczere i bezinteresowne przywiązanie do ludu. Na czyjém sumieniu ciążyłaby bodaj jedna łza wieśniacza, ten niech zachwale nie sięga po wawrzyny, któreby mu czoło mogły spalić! My, więksi właściciele, a z nami i mieszkańcy miast, umiemy sobie radzić, bośmy, dzięki Bogu, otrzymali wyższe wykształcenie; ale wieśniak bez opieki nie może się obejść. Zresztą sprawy gminne należą do tych, któremi rady powiatowe, gorliwiej niż czémkolwiek inném, muszą się zajmować; a że w powiecie mamy siedmdziesiąt wiosek, więc też włóścianie w prezesie rady muszą znaleźć naturalnego opiekuna. Lubo nie stawiam żadnego kandydata, raz jeszcze powtarzam z naciskiem, że tylko takiemu możemy oddać nasze głosy, kto jest równie doświadczony i rozumny, jak pełen taktu, kto jest człowiekiem równie szlachetnym, jak szczerym przyjacielem ludu! Skończyłem.

Stronnictwo obywatelskie podniosło się jak jeden mąż, aby hrabiemu podziękować za śmiałe i uczciwe wystąpienie. Sam nawet starosta, acz lubił zachowywać się bezstronnie, nie mógł przenieść na siebie, żeby mu nie złożyć swoich gratulacyj. Komu jednak nie mogło się ono podobać, to przybocznej straży pana Grzywy, skoro jej wybitniejsi przedstawiciele, jak ks. Szczerkiewicz i radca Darski, wzięwszy swego kandydata między siebie, udali się z nim natychmiast do pokoju sekretarza, gdzie za szafą odbyła się krótka, choć niemniej ważna narada. Radca sądził, że hrabiemu należało coś odpowiedzieć; pan Lisiński, przeciwnie, zaklinał, żeby nikt nie dawał do myślenia, iż wystąpieniem hrabiego czuł się dotkniętym, gdyż w podobnych wypadkach tylko nożyce się odzywają, a ludzie polityczni nie biorą takich rzeczy do siebie... To zdanie zwyciężyło.

W pół godziny sala znów się zapełniła, a że nikt więcej nie przemawiał, więc przewodniczący, stosownie do regulaminu, zarządził głosowanie. Niebawem było ono skończone. Dawny prezes otrzymał ledwie siedm głosów. Reszta, stanowiąca znakomitą większość, padła na pana Bartłomieja Grzywę, i ten został marszałkiem powiatowym.

Wynik wyboru nikogo nie zdziwił. Każdy wiedział z góry, co nastąpi. Bardziej to uderzało, że nie ucieszył on nawet tych, którzy na to kazanie dzwonili. Pan Grzywa i jego zwolennicy siedzieli niemi. Czy ich ogrom szczęścia przytłoczył, czy też niepokoilo ich oczekiwanie tego, co jeszcze mogło nastąpić? I jakby przeczuwając, z kąd grom padnie, wpatrywali się w poważną twarz hrabiego, na której było widać gorzki uśmiech.

Siedział chwilę spokojnie, potem podniósł się i rzekł:

— Nie byłbym szczerym, panowie, gdybym nie wypowiedział otwarcie tego, co mi teraz na sercu ciąży. Ze wszystkich kandydatur, jakie mogły się tu zjawić, ta, która zwyciężyła, jest, zdaniem mojem, najmniej szczęśliwą; a że, zamiast upragnionej harmonii, przewiduję obecnie w radzie walkę gorsząca, która w następstwie pociągnie za sobą rozstrój szkodliwy dla całego powiatu, przeto, aby na to zblizka nie patrzeć, postanowiłem złożyć mandat, co też niniejszem czynię. Świetna rada zechce mi tego nie pocztywać za grzech, co ja uważam za mój obowiązek, i raczy przyjąć słowa pożegnania!

To powiedziawszy, skłonił się wszystkim głęboko i ku drzwiom ruszył. Jeszcze z sali nie wyszedł, gdy Franuś Czapiński zerwał się ze swego miejsca, i cienkimi nóżkami potrzęsając, oświadczył przewodniczącemu, że i on mandat składa. Naprózno radca Darski za surdut go ciągnął, chcąc go odwieść od powziętego zamiaru; Franuś uparł się przy swoim i z miną tryumfatora wyszedł za hrabią. Teraz, jakby na dane hasło, za przykładem tych dwóch posła reszta obywateli, i pan Lisiński, ku wielkiemu swemu przerażeniu, słyszał w drugim pokoju, że przy nowym prezecie nawet ci ze szlachty nie wytrwali, którzy mu swe głosy

oddali. I ci złożyli mandaty, poczem chyłkiem na palcach z sali się wynieśli.

Teraz dokonano wyboru wice-prezesa, którym został ks. Szczurkiewicz.

Mimo ponownego zwycięstwa, miny obecnych były pokwaszone. Nawet sam pan Lisiński, gdy przewodniczący zamknął posiedzenie, napróżno szukał trafnych argumentów, by to, co się stało, swemu dziedzicowi w dobrém świetle wystawić. Ledwie zdobył się na te słowa:

— Chwała Bogu, że poszli... Teraz zostali sami swoi, więc panu dobrodziejowi nikt nie będzie bruździł.

Pan Grzywa bardzo się zachmurzył.

— Może i dobrze się stało—odparł;—lecz wiesz co, Lisiński, mnie się tak coś zdaje, jakbym był na własnym pogrzebie...

II.

W a l k a.

Obiad był wystawny; wino lało się strumieniami; szampan dodawał humoru; wszyscy mieli miny zadowolone. Wszyscy, z wyjątkiem nowego marszałka, który wciąż był chmurny, i jego przyjaciela, którego myśl lotna biegła w przyszłość daleką, usiłując w niej tego dojrzieć, co dla oka śmiertelnego było dotąd zakryte. I dostrzegł téż wiele, krom właśnie tego, co wkrótce miało nastąpić.

Reszta biesiadników nie posiadała się z radości. Taki obiad w miasteczku to wypadek historyczny. Nie można się więc dziwić, że i inspektor Tusowicz jadł i pił, aż pot lał mu się z czoła strumieniami; że prezydent z zadowoleniem gładził sobie podbródek; że jego zięć, mecenas, ilekroć wznoszono jaki toast, zawsze pełny kielich szampana do góry podnosił, i na palcach stając, głosem piskliwym wołał: „Niech żyje!” Radca Darski rozpiął sobie koszulę pod szyją, bo go gniotła, i z okiem roziskrzonym opowiadał o polowaniu, którego niedawno był uczestnikiem. Polował on namiętnie: ilekroć mógł się z biura wyrwać, biegł w pole ze strzelbą, lub wyjeżdżał z chartami; a chociaż w towa-

rzystwie kobiet nie umiał trzech zliczyć, zato między mężczyznami robił się zawsze wielomównym i ożywiał się nadspodziewanie, ilekroć wspomniał kto o kotach, lisach, lub odyńcach. Dziś sprawił mu tę przyjemność jeden z młodszych urzędników starostwa, któremu ubiegłej jesieni powiodło się wyciągnąć z nory starego lisa. Gdy ten przestał opowiadać, radca zawołał:

— Głupstwo takie polowanie! Nosa niema tu czém obetrzeć, nie dopiero tём się chwalić! U mnie lis wtedy coś wart, gdy łotra schwyce chartami w otwartém polu, jak złodzieja na rozboju. Posłuchaj pan, jak to było ubiegłej środy—dodał z naciskiem.—Zaraz po obiedzie wyjechałem małemi saneczkami, mając pod baranicą mego Gońca. Zapewne pan go znasz: chart syberyjski, rączy jak sto dyabłów, biały jak śnieg, a szelma mądra, że tylko zagadać. Ledwie wyjechał za rogatkę, patrząc: od strony Kopania lis myszkuje. Bodaj cię szlag trafił! pomyślałem. Dam ja ci tu, łajdakul... Drab był wielki, jak pies, a kitę miał na sążeń. Może o pięćset kroków od drogi stała wysoka kupa gnoju, śniegiem przykryta. Złodziój koło nięj się kręcił. Zjechałem na pole, a zrzuciwszy baranicę, pokazałem Gońcowi lisa. Warto było widzieć, jak pies sadził. Śnieg był zmarzły, więc szedł górą. W pierwszej chwili lis łeb podniósł i stanął na tylnych łapach. Widać, szelma, był tём bardzo zaintrygowany, że na śniegu coś białego się ruszało, czego on jednak zdaleka nie mógł poznać. Pomyślałem: Czekaaj, zbójnu! porwie cię tu zaraz cholera! Gdy chart był już na jakie sto kroków, wtedy lis zadark kitę i hejże na gnój! Nie minęło pół minuty, a Gońiec był przy nim... Teraz lis, psia wiara, zeskakuje i dokoła kupy zaczyna tańcować. A bodaj cię cholera zabił! pomyślałem, widząc, że huncfot tak manewruje, iż w końcu gotów mi uciec; ale Gońiec dopadł go szczęśliwie, chwycił za kark, potrząsł, i lis złodziěj tylko język wywalił. Toż to była zabawa!

Gdy radca tak opowiadał, kilku mężczyzn wkoło go otoczyło. Wiedzieli oni, że mu to największą sprawiałą przyjemność, jeśli wtedy, gdy mówił o polowaniu, miał

licznych słuchaczy. Ledwie jedno skończył, ktoś z obecnych poprosił go, żeby znów coś opowiedział. Radca nie dał sobie tego powtarzać i słowami jeszcze dosadniejszymi odmalował kilka własnych przygód myśliwskich. Nie można było jednak powiedzieć, żeby był podobnym do innych nermrodów i kłamał. Bynajmniej! Radca mówił zawsze prawdę, ale na swój sposób, który tylko dla mężczyzn był możliwy. Sam to wiedział i dlatego wystrzegął się bacznie towarzysstwa kobiet.

Późno już było, gdy goście w humorach wysmienitych rozeszli się do domów. Ostatnimi byli nowy marszałek i jego przyjaciel, pan Lisiński. Ci dopiero przed północą przyjechali do Strzałkowic.

Przez kilka dni z rzędu nie mówiono w powiecie o niczem inném, tylko o dokonanych wyborach i wystąpieniu hr. Tęczyńskiego. Powoli miasto, łaknące wciąż świeżego pokarmu, zaczęło o tém zapominać, a gdy po upływie tygodnia zjechał cyrk, piękna wołyżerka, która w nim się popisywała, wyrugowała z pamięci tak młodych jak starych wspomnienie o nowym marszałku. Aliści zdarzył się fakt, którego nikt się nie spodziewał, a który sprawę ostatnich wyborów znów wprowadził na porządek dzienny.

W stolicy wychodziła *Armata Narodowa*, dziennik niezmiernie namiętny, lecz przez uczciwego człowieka redagowany, który bez obwijania prawdy w bawełnę tępił złe, gdziekolwiek je dojrzał. Otoż w tém piśmie ukazał się następujący artykuł:

„W mieście *.* odbył się niedawno wybór prezesa tamtejszój rady powiatowój. Chociaż między kandydatami do tój godności znajdowali się obywatele znani z rozumu i z prawości charakteru, mimo to, wskutek zabiegów zakulisowych, przyczém bale, obiadki i argumenta brzęczące niepoślednią rolę odegrały, odniósł zwycięztwo niejaki pan Bartłomiej Grzywa, właściciel dóbr, znany lichwiarz powiatowy, który wprowadziwszy u siebie osławione „porcye,” dorobił się na nich fortuny prawie milionowój. Na jego mieciu ciąży krwawy pot chłopów, łzy wdów i krzywda sierot.

Wybór takiego człowieka musiał na zgromadzonych wywrzeć przygnębiające wrażenie, więc też nie można się dziwić, że mąż tej szlachetności, co Mieczysław hr. Tęczyński, osobistość w całym kraju znana i szanowana, uznał za rzecz niezbędną z rady natychmiast wystąpić. Za jego przykładem poszli inni obywatele. Mamy nadzieję, że po tem, co zaszło, namiestnik wpierw dobrze się zastanowi, nim taki wybór złoży cesarzowi do zatwierdzenia. Aby zaś nikt nie sądził, że piórem naszym kieruje niechęć osobista, oświadczamy na tém miejscu, że gdyby p. Grzywa, jak się tego spodziewamy, za artykuł niniejszy chciał nas pociągnąć do odpowiedzialności sądowej, każdej chwili jesteśmy gotowi udowodnić mu lichwę i wyzyskiwanie ludu wiejskiego.”

Gdy *Armata* z powyższym artykułem wpadła do rąk pierwszemu panu Tusowiczowi, ten, wołając: „A to mu dojechał!” pośpieszył natychmiast do kasy, i zwoławszy tam wybitniejszych urzędników podatkowych, w głos im go odczytał. Gdy skończył i wzrokiem ciekawym powiódł dokoła, na twarzach słuchaczy ujrzał wszystko inne, tylko nie zmartwienie. Poborca, uśmiechając się, ręce zacierał; kontroler przytknął dwa palce do nosa, i usta wydawszy, mrugał niespokojnie siwemi oczkami, jakby chciał powiedzieć: „Dobrze mu tak, dobrze!” Fizyognomie niższych urzędników, na których dziedzic Strzałkowic nie raczył dotąd ani spojrzeć, były rozpromienione...

W pół godziny o tem, co się stało, dowiedział się starosta, choć ten *Armaty* nigdy nie czytał, a do południa wiadomość złowroga przeniknęła grube mury sądu obwodowego, cieńsze magistratu, dostała się do koszar wojskowych, do mieszkania kanonika i utkwiała w dziewiczym uszku panny Kunegundy. Ta, myśląc, że prócz kilku osób w mieście nikt więcej o niej nie wie, ubrała się czempredzėj, i nie przestrzegając tym razem porządku, w jakim z dawien dawna krążyła, biegła od domu do domu i każdemu pod pieczęcią tajemnicy, wśród westchnień, opowiadała, co pana Grzywę spotkało.

Wieczorem tegoż dnia pan Lisiński przyjechał do miasta.

Ten, gdy usłyszał, co się stało, chwycił nieszczęsny numer *Armaty* i co koń wyskoczy popędził do Strzałkowic.

Matadory małomiasteczkowe wcale nie ubolewały nad losem swego przyjaciela. Każdego z tych panów nierównie więcej obchodziło, kto ów artykuł napisał, niż co pan Grzywa teraz pocznie. Wpadano na różne domysły. Jedni posądzali o ten czyn zwolenników poprzedniego marszałka, drudzy hr. Tęczyńskiego, inni pana Trockiego, gdyż tego wszyscy znali z wielkiej złośliwości,—a byli i tacy, którym się zda wało, że sprawy należałoby szukać w mieście, między niższymi urzędnikami i złośliwymi kobietami, bo tak pierwsi jak i drugie nie mogli panu Grzywie przebaczyć, że na swoje fety ich nie prosił. Panna Kunegunda, która w tym dniu pamiętnym ze wszystkimi rozmawiała, zrobiła spostrzeżenie, że prócz jednego radcy Darskiego, który nad przyjacielem szczerze ubolewał, wszyscy inni w mniejszym lub większym stopniu byli zadowoleni... Nazajutrz Karolcia powiedziała jej pod sekretem, że radczyni zrobiła mężowi gwałtowną scenę, a chociaż on bił w stół pięściami i stołkami rzucał, ona wciąż mu powtarzała:

— Dobrze ci tak, Michale, dobrze! Z zacnymi obywatelami nie żyjesz, choć cię o to proszą, zato bratasz się z prostakami, którzy może jutro dostaną się do kryminału. Porządnych masz przyjaciół! Doprawdy, z takiego męża mogą być dumną!...

Pan Lisiński, aby dziedzica ratować, puścił się dyszlem rzemiennym po okolicy. Chciał zebrać od obywateli podpisy na protest. Prosił, zaklinał, obiecywał złote góry, wszystko jednak na nie. Nawet ci, którzy podczas pamiętnych wyborów głosowali na pana Grzywę, umyli teraz ręce, tém się zasłaniając, że, jako niepowołani, nie mogą stawać w niczyjój obronie. A zaś pan Trocki, bo i do niego przyjechał, wprost odpowiedział:

— Mój kochany, jam nie praczka i brudnej bielizny zawsze unikałem.

Ten, którym cały powiat żywo się teraz zajmował, siedział od początku polemiki zamknięty w Strzałkowicach,

i nie tylko sąsiedzi, ale nawet domownicy nigdy go teraz nie widywali. Czasem przyjechał do niego kto z miasta, najczęściej był to radca Darski lub inspektor Tusowicz, ale i ci długo nie bawili. Ciekawych pan Lisiński upewniał, że marszałek, widząc ludzką niegodziwość, rozchorował się na zółć i prawdopodobnie nieprędko z łóżka się podniesie.

Pewnego wieczoru zjawił się radca. Tym razem nie poszedł on do przyjaciela, lecz wzięwszy pod ramię pana Lisińskiego, udał się z nim do śpichrza, który właśnie był otwarty, i tu, na uboczu, opowiedział mu straszne historye.

Starosta, rozmawiając raz z pułkownikiem, bynajmniej przed nim nie taił, że cesarz wyboru pana Grzywy nie zatwierdzi, albowiem zarzuty, przez *Armatę* mu czynione, są tego rodzaju, że nie może on zostać prezesem, w pierw się z nich nie oczyściwszy. Człowiek, stojący na czele powiatu, jest ważną osobistością, w której monarcha pokłada zaufanie; a czy mógłby on ufać człowiekowi, na którym ciąży zarzut lichwy i wyzysku?

Pan Lisiński, usłyszawszy to, skamieniał.

Całe dwa dni się namyślał, a po upływie tego czasu przywdział suknie odświętne i koło południa ruszył do Lipińca.

Hrabia był w domu. Niespodziewanego gościa przyjął natychmiast z wymuszoną grzecznością. Był jednak przytém tak zimny, że człowiek, mający tę, co pan Lisiński, znajomość ludzi, musiał się na tém poznać. Wiedząc jednak, że stawka, którą teraz na los szczęścia rzucił, była już ostatnią, postanowił niczego się nie domyślać, niczém się nie zrażać, byle grę do końca doprowadzić. Wprawdzie nie wiedział, jaki będzie jój wynik, wszelako liczył wiele na trudne położenie hrabiego, na ludzką słabość, na swoją wymowę, wreszcie na zbieg przyjaznych okoliczności.

Zaczął od tego, że stary jego przyjaciel, pan Grzywa, przekonawszy się, iż życie publiczne, do którego go namówiono, nie jest dla niego, postanowił usunąć się z widowni, żeby nikomu nie bruździć. Czując przytém, że siły z każdym dniem go opuszczają, chce cały majątek, zapewniwszy sobie

skromne dożywocie, oddać swemu bratankowi, Antosowi, który życiem wzorowem i postępowaniem roztropnem zasługuje na jego zaufanie. Gdy jednak posiadłości przyszłego dziedzica Strzałkowic leżą w tym oto powiecie, gdzie pierwszą i najwybitniejszą osobistością jest hr. Tęczyński, przeto pan Bartłomiej Grzywa jedynie w takim razie byłby gotów wyrzec się wszystkiego, jeśliby wpierw usłyszał przyrzeczenie, że hr. Tęczyński nie odtrąci od siebie jego bratanka, a jemu samemu dawne winy przebaczy.

W tém miejscu hrabia, który słuchał ze wzrastającym zdziwieniem, chciał przerwać swemu gościowi, ten atoli, zamiar jego odgadując, szybko dodał:

— Być może, że to, z czém przyjechałem, panu hrabiemu dziwnem się wydaje; ale jam człowiek szczery: co w sercu, to i w ustach... Ponieważ pan hrabia jest w naszym powiecie owem słońcem jasnym a nieskazitelnym, od którego wszystkie gwiazdy otrzymują nietylko światło, lecz także i ciepło, przeto ten, ktoby je tu miał przeciw sobie, nie mógłby wyżyć...

— Mogę pana upewnić—przerwał gospodarz,—że ja każdego cenię według jego zasług i wartości moralnej; więc téż układy w guście tych, które mi pan proponujesz, uważam co najmniej za zbyteczne.

— Jak widzę, pan hrabia nie raczył mnie zrozumieć—gość szybko podchwycił;—rad nierad muszę tedy moję myśl jaśniej wyłożyć... Gdy bratanek mego przyjaciela obejmie całą jego fortunę, będzie kawalerem tak bogatym, jak rzadko który w kraju; lecz coby mu z tego przyszło, jeśliby jego stryj rodzony, twórca tego majątku, zostawał wciąż pod zarzutem czynów niehonorowych i gdyby pałac w Lipińcu, w którym najcudowniejsza róża rozkwita, był dla niego samego wiecznie zamknięty? Zaiste, onby w takich warunkach nie potrafił żyć...

— O jakiej róży pan mówisz?—hrabia sucho zapytał, brwi marszcząc.

Pan Lisiński nie przewidywał takiego zapytania. Zmieształ się więc bardzo i zaczął bąkać:

— Ot, powiedziałem, sam nie wiedząc co... Straszliwe zgryzoty tak mnie już przygniotły, że doprawdy boję się rozum stracić... Niestety pana Grzywy odczuwam jak własne; bo, choć to człowiek nieokrzesany, ma on przecież swoje cnoty i zalety; gdy zaś pomyślę, że w ręku pana hrabiego wszystko spoczywa, a tak trudno choć cokolwiek z tego uzyskać, zaiste, w głowie mi się mąci... A przecież nawet Pismo Święte każe bliźnich wspierać...

Hrabia powstał.

— Przepraszam pana, lecz po turecku nie rozumiem.

— Bo pan hrabia niechce rozumieć. Wszak ja mówię tak jasno! To, że pan hrabia wystąpił w radzie przeciw panu Grzywie, było dla niego zabójczem, gdyż nic innego, tylko to jedno zachęciło jego nieprzyjaciół do rozpoczęcia polemiki skandalicznój, której końca nawet przewidzieć nie można. Ale jak jednem słowem pan hrabia go zgubił, tak również jednem mógłby go pan ocalić... Ręczę, że *Armata* wszystkoby odwołała, gdyby tylko pan hrabia tego od niej zażądał. A pan Grzywa umiałby być za to wdzięcznym, o! umiałby, panie hrabio!

Hrabia dumnie się wyprostował i rzekł sucho:

— Uznając jego dobre chęci, dziękuję jednocześnie zarówno za to, coś pan tu raczył otwarcie wypowiedzieć, jak niemniej i za to, czegoś mi się pozwolił ledwie domyślać... Ale właśnie ta druga część jest tego rodzaju, że, niestety, zmusza mnie do przerwania już i tak zbyt długiej rozmowy. Dziękując panu Grzywie w mojem imieniu za jego życzliwość, na którą niczem sobie nie zasłużyłem, zechcesz mu pan przy téj sposobności także oświadczyć, że ponieważ nie działam nigdy nierozważnie, przeto gdy raz co postanowię, zawsze przy tém trwam... Nie ja spowodowałem przeciw niemu ataki dziennikarskie, więc też nie ja będę go rehabilitował. Jest to w téj sprawie ostatnie moje słowo.

Pan Lisiński drgnął i wzrok pełen gniewu bezsilnego wlepił w gospodarza. Nadzieje, z którymi przyjechał, widział rozwiane; jedyna deska ratunku z pod nóg mu się

usuwała. Pełen rozpaczy postanowił ostatni raz szczęścia próbować.

— Chociaż słowa pana hrabiego były dość jasne, mimo to ośmielę się zwrócić jeszcze jego uwagę na tę okoliczność, że człowiek, znajdujący się w tak okropnym położeniu, jak pan Grzywa, gotów chwycić się ostateczności; a że pana hrabiego poczytuje on za głównego, bo pierwszego sprawcę swojej niedoli, więc...

— Zbierze swoich ludzi i urządzi najazd na Lipiniec— dokończył gospodarz z ironicznym uśmiechem.— Wyborniel Jeżeli to uczyni, będę się bronił.. A może zechce mnie wy zwać? Ha! niech i tak będzie! I nie sądz pan, że mu odmó wię, jakby to może kto inny uczynił, tém się zastaniając, że dopóki nie oczyści się z ciężących na nim zarzutów, nie może od ludzi uczciwych żądać satysfakcyi honorowej. Jam nie taki wymagający! Według mego przekonania, każdy, kto w walce otwartej chce swe życie narażać, już za to samo powinien być poczytywany za człowieka honorowego, więc tóż, jako takiemu, nie godzi się odmawiać satysfakcyi. A te- raz daruje pan, że go pożegnam, gdyż mam kilka ważnych spraw do załatwienia...

To powiedziawszy, hrabia skłonił się głęboko i wyszedł z salonu.

Pan Lisiński stał chwilę na dawnym miejscu, spoglądał to na drzwi, które za gospodarzem się zamknęły, to na kapelusz, który miał w ręku; nareszcie odchrząknawszy raz i drugi, uznał za stosowne opuścić pałac w Lipińcu.

Jedyny to był człowiek w swoim rodzaju. Głowy, jak jego, w pomysły niewyczerpanej, trzebaby daleko szukać. Gdy jechał do Lipińca, mówił sobie w duchu, że stawia krok ostatni; w razie zaś, gdyby mu się nie powiodł, nie pozostałoby mu nic innego do czynienia, chyba się powie- sić; tymczasem jeszcze do domu nie wrócił, a już nowy plan usnuł. Ruchliwy jego umysł nigdy nie spoczywał, wrodzo- na zaś energia wśród największych przeciwności zachęcała go do oporu. Zresztą opuścić sprawę pana Grzywy znaczyło tyle, co z nim samym rozstać się na zawsze, a wtedy, do-

prawdy, musiałby się powiesić. W Strzałkowicach żył, gdzieindziej mógł z głodu umrzeć. Z taką ostatecznością człowiek praktyczny, jak pan Lisiński, żadną miarą nie mógłby się pogodzić.

W Strzałkowicach zamknął się z dzieżcem na kilka godzin; a gdy od niego wychodził, miał znów dobrą minę, jak człowiek, który nie zwątpił o przyszłości. Niezwłocznie po jego odejściu kazał pan Grzywa przywołać do siebie swojego bratanka.

Antoś był w domu, a że i on pragnął rozmówić się ze stryjaszkiem, więc mu te zaprosiny przyszły w porę.

Stryj leżał na łóżku, podparty poduszkami, jak człowiek bardzo chory. Twarz atoli miał nie tyle bladą, co zmęczoną. Ustami wciąż poruszał, jakby co przeżuwał, a oczy malutkie z pod powiek obwisłych rzucały spojrzenie przenikliwe.

— Chwała Bogu, żeś przyszedł! Jużem myślał, że się nie pokażesz—zaczął tonem pełnym wyrzutu.—A przecież godziloby się chorego stryja czasem odwiedzić.

— Nie chciałem przeszkadzać... Stryj dobrodziej, nieraz mi wspominał, żebym nie był natrętny.

— Tak jest, gdym zdrów, lecz nie w chorobie... Wezwałem cię tu, mój kochany, by nareszcie mądre słowo od ciebie usłyszeć. Powiedz mi, co myślisz o tém wszystkiém?

— O czém?

— A o czém, jeżeli nie o tém, co się u nas dzieje? Lecz prawda, tobie wszystko inne w głowie, jeno nie stryj i jego zgryzoty.

— Przeciwnie, stryju, ja o nich wciąż myślę; i gdybym ja był dawniej decydował, dziśby ich stryjaszek z pewnością nie miał; ale ponieważ stryj dobrodziej więcej ufa panu Lisińskiemu, niż mnie, przeto nie chciałem mu się narzucać, bym nie był źle rozumiany.

— Pewnie, że jego zdanie więcej u mnie warte, niż twoje, bo Lisiński to bywalec, dyplomata, *lumen*, a ty co? smyk! Ja też nie rady od ciebie potrzebuję, tylko pragnę się dowiedzieć, coś postanowił uczynić... Zdaje mi się, żeś chyba miał już dość czasu nad tém się zastanowić.

Antoś spoglądał na stryja okiem zdziwioném. Widać było, że go nie rozumiał. Pan Grzywa podniósł się wyżej na poduszkach, usiadł na łóżku i tak dalej mówił:

— Spodziewałem się, że sam do mnie przyjdiesz z jakimś projektem stanowczym a rozumnym; ale skoro nie chcesz, czy też nie umiesz na nie się zdobyć, więc ja sam ci powiem, jaki na tobie ciąży obowiązek. Prawda to, że matka twoja całą swoją egzystencję mnie zawdzięcza?

— Prawda, stryju.

— A prawda to, że, gdyby nie ja, nie byłbyś tém, czém jesteś, i możebyś teraz gdzie świnie pasał?

— Bardzo być może, choć na pewno tego nie wiem...

— O! możesz mi wierzyć na słowo, że byłoby, jak mówię. Ja was zawsze ratowałem i tylko mnie jednemu zawdzięczasz, że jesteś człowiekiem. Ja ci byłem wszystkiem: ojcem, opiekunem, dobrodziejem, a ty, przez wdzięczność, gdy nieszczęście na mnie spadło, nie chcesz ani palcem w bucie ruszyć, żeby mi pomódz!

— Ale cożem ja tu miał uczynić, stryju?—pytał zdziwiony Antoś.

— To, co każdy inny młodzieniec honorowy nie omieszkałby zrobić na twojem miejscu. Wszak widzisz, żem stary, chory, niedołężny, lada dzień zamknę powieki, więc, choć chcę, wrogów moich nie mogę tak ukarać, jak na to zasługują. Ale ty, Antoni, możesz to łatwo uczynić, boś młody, zdrowy, silny i nie od parady nosisz pałasz u boku! O! gdybyś ty był mną, a ja tobą, honor naszój rodziny byłby już dawno pomszczony!

Antoś dopiero teraz zaczął się domyślać, dokąd właściwie stryjaszek zmierzał.

— Z kim tu jednak walczyć—pytał, — skoro nie wiadomo, kto właściwie jest sprawcą téj historii?

— Początkiem i końcem wszystkiego złego jest Tęczyński!—zawołał żywo pan Grzywa.—Gdyby nie on, niktby się na mnie nie był targnął. Z nim zatém powinieneś się rozprawić, boś spadkobiercą mojego majątku i nazwiska.

W głosie mówiącego czuć było teraz łzy.

— Ależ, stryju! jam młodziak w porównaniu z nim... Gotów mnie wyśmiać.

— Nie lękaj się, nie wyśmieje! Już ja wiem, że on pojedynek przyjmie.

— Lecz kto zaręczy, czy nie powie, żeby stryjaszek bił się z nim wpierw, a ja dopiero potém?

— Ja nie mogę... jam przecież chory!

— W podobnych wypadkach, stryju, wyzwani bardzo często tak odpowiadają. Zresztą, muszę wyznać otwarcie, iż, mimo niechęci, jaką stryj dobrodziej żywi do hrabiego, ja sam mam dla niego tyle szacunku, prawie czci, że nigdy-bym się nie odważył podnieść broni na jego siwą głowę.

— Nie? A on śmie podnosić przeciw mnie swój język niepoczciwy? Pięknego mam bratanka! Ja dla niego robię wszystko, całe życie pracuję, mozolę się, oszczędzam, a on dla mnie nic! Ale omyliłeś się, paniczku! Do czasu dzban wodę nosi, moja cierpliwość także się kończy. Jeżeli nie spełnisz swego obowiązku, wydziedziczę cię, nie dam ci złamanego szeląga i ani chwili nie będę cię w domu trzymał. Wybieraj tedy! Albo starosta, albo kapucyn.

Antoś gorzko się uśmiechnął.

— Wybiore, co mi honor i uczciwość wybrać każe—odpowiedział spokojnie.

Pan Grzywa, czy z wielkiego bólu, czy też z gniewu, nie mógł teraz słowa przemówić. Pierś podnosiła mu się gwałtownie, szczęki szybko coś przeżuwały, oczy niespokojnie naokół biegały. Antoś chciał wyjść, on go jeszcze zatrzymał.

— Zostań!... może przecie przejrysz... Nie chcesz porywać się na hrabiego, niech więc i tak będzie... ale nie ci to przecie nie przeszkadza poszukać zaczepki z Palińskim i tego na drugi świat wyprawić.

— A tego za co?

— Za to, że jest zięciem Tęczyńskiego! Całe to gniazdo jest nam wrogie, więc na wszystkich trzeba nam się mścić! Ale ty się może boisz Palińskiego, bo to chłop setny, gotów cię porąbać? No, nie bój się, jest i na niego sposób.

Jak go tylko wywiesz, i to nie na szable, lecz na pistolety, żeby strach był większy, wtedy ja się o to postaram, że jego kobiety prędko się dowiedzą, co im grozi, narobią krzyku, a zaś hrabia, żeby zięcia ratować, bez którego pomocy musiałby z głodu umrzeć, zrobi wszystko, czego od niego zażądamy, poczem ty będziesz mógł cofnąć wyzwanie.

Twarz Antosia bardzo się zasepiła.

— Projekt niezły, godny swego mistrza—wyrzekł z goryczą.—We Włoszech, stryju, znajdują się ludzie, którzy za dobre pieniądze stają do pojedynku w miejsce tchórzów, aby zabijać ich przeciwników. Człowiek, należący do tego cechu, nazywa się tam *spadaccino*. Stryj dobrodziej chyba nie zaprzeczy, że jest to zawód łotrowski; lecz czy ten, któremu jabym się oddał, gdybym usłuchał rady pana Lisińskiego, nie byłby stokroć gorszy, na to niech stryjowi sumienie odpowie.

To rzekłszy, sklonił się i wyszedł. Pan Grzywa został na dawnym miejscu, nie zrozumiawszy ani słowa z tego, co mu bratanek powiedział.

Antos wpadł do swego pokoju i w nim zamknął się na dwa spusty, poczem zaczął się przechadzać dużemi krokami. Dość już miał tego życia, pełnego udręczeń i upokorzeń; gdy myślał o swojej przyszłości i o tém, co go w domu stryja tylekroć spotkało, krew napływała mu do twarzy. Wstydział się, choć go nikt nie widział. A czyż nie miał się czego wstydzić? Przecie był mężczyzną, pełnym zdrowia i sił, ukończył studia, chciał i umiał pracować, a mimo to, zamiast myśleć samodzielnie o swojej przyszłości, wisiał wciąż przy stryju, na jego łasce, żył prawie z jałmużny i z pokorą przystępował do tego, który go znieważał! Wszak takie życie to hańba!... Niegdyś siedział tu przez wzgląd na matkę, która go błagała, żeby ze stryjem nie zrywał; dziś nawet to nie mogło go wstrzymać od kroku stanowczego. Prawda, że matka jest biedna, a stryj bogaty, lecz przecie on, syn, potrafi ją utrzymać. Wszak to jego obowiązek! Miarka się przebrała, kość już rzucona, najpóźniej jutro Strzałkowiec pożegna!...

Zliczył swoją kasę: szczupła była, prawie studencka; miał w niej zaledwie kilkanaście guldenów. Ale w stajni rżał jego własny koń: ten był wart kilkaset guldenów; w ostateczności mógł go zatem sprzedać i na własną rękę coś rozpocząć.

Plan taki tkwił oddawna w jego głowie, układać go więc nie potrzebował; teraz wybiła tylko godzina jego urzędywistnienia...

A jednak, gdy, przy oknie stojąc, spoglądał w dal ku Lipincowi, łza w oku mu się zakręciła. Opuści te strony, opuści może na zawsze, a z niemi to, co nad życie ukochał. Bo, że kochał Zosię miłością młodą, gorącą, namiętą, czy mógł dłużej tacić przed sobą? Jój głos był dla jego ucha melodyą, dotąd niesłyszana; każdy jój uśmiech napelniał mu serce niewysłowioną słodyczą, każde jój spojrzenie niebo mu roztwierało! Kochał ją nie od dziś, od pierwszego widzenia; a chociaż uczucie jak wulkan w piersiach mu wzbierało, musiał tłumić je w sobie i milczeć...

Grzywa — Tęczyńska!

— Cha! cha! cha! — roześmiał się sam do siebie, ale tak gorzko, tak boleśnie, jak może śmiać się tylko ten, kto sztydzi z własnego cierpienia.

Był poprostu szaleńcem, że podniósł wzrok tak wysoko; ona może dla niego ma trochę sympatyj, może tylko współczucie i litość, — bo któraż kobieta nie domyśla się, gdy jest kochaną; wszakże po jakimś czasie, za tydzień lub dwa, za miesiąc najpóźniej, zapomni, że jakiś tam Grzywa ścigał ją pod lasem, zapomni nawet o tej stokrotce, którą mu dała na pamiątkę, i poślubi kawalera sobie równego. Ach! jakaż to niesprawiedliwość, że jedni rodzą się tak wysoko, a drudzy tak nisko!

Czy stryj przeczytał choć jedną kartę z tej tragicznej historii? Ach! gdyby to był uczynił, czy śmiałyby żądać, by Antoś z tymi zrywał, którzy razem z matką byli mu dziś wszystkim na ziemi?

Sięgnął do bocznej kieszeni, wyjął pugilares, otworzył go i wzrok smutny spuścił na kwiat zeschniętej stokrotki...

Długo na niego patrzył; głęboka żalność rozlała się po jego pięknem obliczu, łza na powiece zawisła.

— Paniczu! paniczu!—dał się za drzwiami słyszeć głos nieznany.

Ocknął się, schował pugilares i poszedł otworzyć. W sieniach stał pastuszek od bydła.

— Czego chcesz?—zapytał go Antoś.

— Proszę panicza, ja dziś pasę „towar” pod lasem, koło téj drogi, co to się nią jedzie do Lipińca. Byczek łysy, ten, proszę panicza, od „krasuli,” chciał pójść w szkodę, ja za nim, wtém słyszę, jak ktoś woła: „Hej! gamoniu, chodź-no tu!” Obróciłem się, proszę panicza, bom się bardzo przestraszył. Na drodze stanął ten długi pan z Krzywego, co to, nie przymierzając, wygląda jak tyka od grochu; siedział na takim wózku wysokim, żem go ledwie na nim dojrzał, i wciąż wołał: „Hej! gamoniul chodź no tu!”

— I cóżes zrobił?—przerwał Antoś niecierpliwie.

— Ta poszedłem, bom się bał, żeby nie zlął i batem mnie nie ściągnął; a powiadają ludzie z Krzywego, że ten pan ma rękę bardzo ciężką. Gdym przy wózku stanął, zapytał: „A wasz panicz jest w domu?”—A gdzieby był?—odpowiedziałem.—„Mów, gamoniu, wyraźnie!—krzyknął—bo jak cię skropię, to długo popamiętasz!”—I już batog podniósł, ałem krzyknął:—„Jest, proszę jaśnie pana, jest!”—Teraz uśmiechnął się i tak powiedział:—„Idź, gamoniu, zaraz do panicza i poproś go, żeby tu do mnie wyszedł. Mam mu coś ważnego powiedzieć.” I ja tu przyszedł, ale tam byczek pewnie wlaźł w szkodę.

Antoś gorzko się uśmiechnął. A więc wszyscy, nawet Franuś Czapiński unika tego dachu, pod którym jego stryj mieszkał! Cóż warte miliony bez miłości ludzkiej!

Wziął kapelusz i w pole wybiegł.

Pod lasem przechadzał się Franuś w zamyśleniu. Stan-gretowi kazał pojechać kawalek naprzód, aby w nim nie mieć niedyskretnego słuchacza. Gdy Antosia zdaleka zobaczył, pośpieszył na jego spotkanie z rozwartemi ramionami.

— Przepraszam cię, że do was nie wstąpił—rzekł, przykładając policzki do twarzy Antosia,—ale tak mi pilno do miasta, że chwili nie mogę stracić. Znowu mnie zasekwestrowali za podatki i chcą mi wyprowadzić ze stajni ostatnie ogony. Ja kiedyś temu Tusowiczowi w łeb palnę, słowo honoru! jakem Czapiński! Gdyby nie to, byłbym się dziś do was na wista zaprosił.

Antoś nie rzekł na to ani słowa.

— Nie ciekawys, jaki mam do ciebie interes?—pytał Franuś zdziwiony.

— Mam nadzieję, że mi go sam powiesz, skoroś mi kazał wyjść do siebie...

— Ależ nie bierz mi tego za złe, Antosiu! Wiele ten czyni, kto musi; a ja, dając ci na to słowo honoru, muszę być niezadługo w mieście. Ale teraz chodź—tu wziął go pod ramię,—usiądźmy sobie na tym oto pniu, który jakby umyślnie dla nas tu stworzony, i pogawędzimy o rzeczach bardzo ważnych...

Usiedli. Dłuższą chwilę nie mówili, nareszcie Franuś, jak sędzia śledczy, gdy chce złapać winnego, zapytał:

— Jakie ty masz konszachty z panną Zofią?

— Z panną Zofią?—powtórzył Antoś niby obojętnie, lecz głosem drżącym.—Ja nie znam żadnej panny Zofii...

— Nie znasz panny Zofii Tęczyńskiej?

— Ależ tylko z widzenia.

— Z widzenia? Więc nigdy z nią nie rozmawiałeś? Mów otwarcie, Antosiu, bo przecie wiesz, że ja w Lipińcu jak u siebie w domu. Tam się dziś nic beze mnie nie dzieje, a hrabia tak mnie kocha, że gdyby nie miał syna, słowo honoru, zarazby mnie adoptował. Chociaż kto wie, czy ja bym na to przystał. Czapińscy, dzięki Bogu, nie ustępują Tęczyńskim; a gdybym się dał adoptować, straciłbym widoki na olbrzymią sukcesję, która mnie po stryju czeka na Podolu... Więc ty twierdzisz, że panny Zofii nie znasz bliżej?

Antoś, ochłonawszy nieco, przemówił teraz poważnie:

— Nie wiem, Franusiu, do czego zmierza twoje śledztwo. Hrabiankę Zofię Tęczyńską widziałem raz, czy dwa

razy; być może, żem z nią także rozmawiał, choć sobie już tego nie przypominam, byłem bowiem raz w ich domu; lecz że konszachców z nią nie mam, w to możesz śmiało uwierzyć, jeśli już nie przez wzgląd na mnie, to przez wzgląd na nią...

Antoś tak zaakcentował ostatnie wyrazy, że Frannś musiał go zrozumieć.

— Ależ nie sądz, że was podejrzewam, Boże chroń! Córki takiego domu wiedzą, jak postępować. Żadna Czapińska, słowo honoru, żadna dotąd nie zapomniała, że honor domu i cześć niewieścia to skarby najwyższe. Pod tym względem jestem więc i o pannę Zofię spokojny; ale, mimo to, dostrzegłem rzeczy, które mi dają wiele do myślenia. Ilekroć o tobie czy to ja wspomnę, czy kto inny, zawsze się zarumieni po same białka oczu; jaka bestyjka wtedy ładna, to tylko ja wiem! Słowo honoru, na dziesięć mil wokół niema piękniejszej... A dziś, wyobraź sobie, co mnie spotkało. Oto siedzę u nich sam przy fortepianie i nuty przerzucam, wtém ona wbiega i szybko pyta: „Panie Czapiński, kocha mnie pan?” Możesz sobie wyobrazić, jak mnie te słowa zelektryzowały. Zerwałem się na równe nogi, spojrzałem na nią: człowiek musiałby być chyba z kamienia, żeby takiej pieszczotki nie kochał; mało brakło, a byłbym padł przed nią na kolana, lecz ona, jakby mój zamiar przewidując, szybko dodała: „Jeśli mnie pan choć troszkę kocha, to będzie się pan jaknajprędzej widział z panem Grzywą.”—„Ja panią Kocham pasyami—odpowiedziałem,—słowo honoru, pasyami; ale nie wiem, z którym mam się widzieć: z panem Grzywą starym, czy też z młodym.”—„Ależ z młodym... Daj mi pan tylko słowo honoru—dodała,—że to, o co będę prosiła, między nami zostanie.”—„Daję słowo honoru, i jeśli pani każe, pójdę nietylko do pana Antoniego Grzywy, który jest moim wielkim przyjacielem, lecz do samego Lucypera.”—„Skoro tak, więc powiedz mu pan, że radabym się od niego dowiedzieć, co się ze Stasiem dzieje, bo jestem o brata niespokojna!”—Tyle słów św. Ewangelii—kończył Frannś—i oto dłaczegom tu przyjechał.

Wielkie szczęście, że Franuś mówił tak długo, przez ten czas bowiem Antoś mógł się całkiem uspokoić i przygotować sobie odpowiedź. Jakkolwiek korespondencya, której był powiernikiem, miała zostać w tajemnicy, jednakże po jój częściowem zdradzeniu przez pannę Zofię lepiej było reszty dopowiedzieć, niż pozwolić Franusiowi wpadać na różne domysły. Nie wahając się tedy, Antoś rzekł spokojnie:

— Wiesz, że ze Stasiem Tęczyńskim łączy mnie dawna przyjaźń... Z powodów, których tu bliżej nie chcę, bo nie mogę roztrząsać, koresponduje on tylko ze swoją młodszą siostrą, panną Zofią, a listy do nięj na moje ręce przysyła. Oto cała nasza tajemnica, która, mam nadzieję, będzie odtąd także twoją...

— Ależ możesz na mnie liczyć, jak na Zawiszę, słowo honoru, Antosiu! Żaden z Czapińskich nie złamał dotąd danego słowa!... Jeśli jednak masz jaki list do panny Zofii, to możesz mi go powierzyć. Ja go jój jeszcze dziś wręczę.

— List mam, jednakże, stosownie do polecenia, otrzymanego od Stasia, nie mogę go przysłać przez nikogo innego, tylko przez tę samą osobę, która była dotąd jego pośrednikiem... Pod tym względem muszę słuchać rozkazu przyjaciela. O co jednak radbym cię, Franusiu, prosić, to o sekretne zakomunikowanie pannie Zofii, że prawdopodobnie jeszcze dziś otrzyma ważną posyłkę... Możesz to uczynić?

— Ależ najchętniej! Na chwilę wpadnę do miasta, jedną scenę zrobię Tusowiczowi, drugą staroście, pogadam ze „skobliwymi,” i hejże do Lipińca! Że prócz mnie i nięj nikt więcej o tém nie będzie wiedział, to tak pewne, jak to, że teraz słońce świeci. Cieszy mnie, Antosiu, że misję dyplomatyczną spełnił tak rychło i świetnie, a teraz, kiedy wyrozumiał, jaką macie tajemnicę, wynurzam nadzieję, że jak jedno ogniwo ciągnie za sobą drugie, tak i w tym wypadku pierwsza tajemnica będzie zwiastunką następnęj.

— Nie rozumiem cię, Franusiu.

— A ja przecie mówię jasno, tak jasno!... Zostałeś po-

średnikiem między bratem a siostrą, to zbliża cię do nich, a ze zbliżenia młodych ludzi płci odmiennéj co najczęściej wynika? małżeństwem... Kto wie, Antosiu, czy nie będę jeszcze prowadził kontredansa na twojem weselisku! Słowo honoru, toby była pyszna historia: Grzywa i Tęczyńska!

Antoś zbladł.

— Nie spodziewałem się, że umiesz być tak złośliwym.

— Ależ, Antosiu, ja mówię, co myślę... Gdybym już był dziedzicem téj fortany, która na mnie czeka na Podolu, to prawdopodobnie nie pozwoliłbym ci mieć żadnych nadziei; ale teraz nie jestem zazdrosny... Za tobą zaś wiele przemawia: młodość, uroda, zdrowie, majątek, który po kochanym stryjaszku niewątpliwie na ciebie spadnie... Jest wprawdzie jeden wielki szkopuł, mianowicie ten, że nie pochodzisz ze staréj szlachty, ale i temu poradzimy... Niech tylko stryjaszek przeniesie się *ad patres* (wierz mi, byłaby to rzecz najrozsądniejsza, jaką w chwili obecnej mógłby uczynić), a wtedy i o szlachectwie pomyślimy. Wszak Grzywa może łatwo nazwać się Grzywickim, Grzywińskim, Bóg tam wie jak jeszcze, i nikt go potem nie będzie pytał, jak Czapińskich, czy prócz dziesięciu wojewodów, piętnastu kasztelanów i dwudziestu starostów ma jeszcze jakich senatorów w swoim rodzie. Tak, tak, Antosiu, byle były pieniądze, a drobne szlachectwo łatwo się zdobędzie... Tylko niech stryjcio raz szczęśliwie pojedzie, a wszystko się zrobi. Ja sam będę twoim swatem.

— Proszę cię, dajmy pokój téj przykréj rozmowie, która ani mnie przyjemności nie sprawia, ani tobie zaszczytu nie przynosi.

— Jak chcesz, ale o tém nie zapominaj, że we Francji masz zawsze szczerego przyjaciela. Teraz bądź zdrow, gdyż nad wieczorem muszę jeszcze wpaść do Lipińca.

To powiedziawszy, wstał, podszedł do wózka, wskoczył na kozieł, zaciał konie i wyciągniętym kłusem odjechał.

Antoś wracał do domu zamyślony.

Chce go widzieć; jakże to dobrze! snadź nie jest jój obojętny. Ponieważ na jój list ostatni do Stanisława nie

mogła jeszcze przyjść odpowiedź, więc najprawdopodobniej ona chce tylko jego zobaczyć... Ale w jakim celu? Co mu pragnie powiedzieć? Antoś gubił się w najrozmaitszych domysłach, ale prawdy nie mógł zbadać. To jednak czuł, że nie musiał jęj być całkiem obojętny, skoro odważyła się zgłosić do niego przez osobę trzecią. Ach! ten Franuś!... W gruncie niezły człowiek, lecz czy można liczyć na jego słowo? O! gdyby Franuś go zawiódł, pozostałoby mu tylko wyzwać go i najkrótszą drogą na tamten świat wyprawić. Wszak skompromitowałby istotę anielską, jak iza czystą, która zawiniła chyba zbytnią ufnością, gdyż z takim moralnym bałaguną, jak Franuś Czapiński, trzeba być ostrożnym.

Tak myśląc, wrócił do domu.

Resztę dnia tego przesiedział zamknięty w swoim pokoju, a gdy się zaczęło ściemniać, wymknął się do stajni, sam sobie konia osiodłał, dosiadł go, i drogami najkrótszemi, wpoprzek pól i drobnych zarośli, wyruszył ku tej stronie, gdzie stała dobrze nam znana kantyna pani Szlifirskiej.

Zastał ją jeszcze otwartą. Robotników było w niej już niewielu, czterech czy pięciu, inni bowiem, zjadłszy w czas wieszczkę, udali się wcześniej na spoczynek, by nazajutrz z siłami odświeżonemi wziąć się wcześniej do pracy.

Co z panią Szlifirską rozmawiał, o co ją prosił i co za to obiecywał, tego nie domyśliła się żadna z dziewczek kuchennych, choć każda z nich wielce była ciekawa i każda, niby przypadkiem, przystawała pode drzwiami, za którymi piękny młodzieniec szeptał coś na ucho pani ekonomowej. Trwało to dobrą godzinę, może nawet dłużej. Nareszcie wyszedł. Twarz miał weselszą, niż w chwili przyjazdu, i na pożegnanie rękę pani Szlifirskiej czule uściśnął. Za to ona miała minę wielce zafrasowaną i wciąż w głowę się skrobała. Gdy odjechał, westchnęła głęboko, weszła do swęj izby, siadła na stolku i, ręce łamiąc, szepnęła:

— Przyrzekłam, trudno takiemu chłopcu odmówić, ale czy się to uda? Dziesięć papierków to pieniądz... człowiek ma jeszcze dzieci, powinien o nich pamiętać; ale jakby się pan hrabia dowiedział, tożby to była historia!...

Przestraszona, obejrzała się raz i drugi, ale, na jej szczęście, w izbie nikogo nie było.

— Panienka przystanie—dalej do siebie mówiła;—gdzie taka, któraby nie przystała! Ale jak to się zrobi? jak to się zrobi?

Wzięła się za głowę oburącz i zaczęła się kołysać, jak osoba bardzo zakłopotana. Pani Szliferska miała w rzeczy samej wielki kłopot na głowie; ale, ponieważ była osobą energiczną, przeto nie pasowała się długo, wychodząc ze słusznej zasady, że długi frasunek tylko myśl zaciemnia, a działać przeszkadza; że zaś w tym wypadku należało działać jaknajprędzej, przeto zamknawszy na klucz swoją izbę, oddała nadzór nad kantyną swoim dziewczkom, przyczem im surowo zapowiedziała, że gdyby z nich która do chłopów zęby szczyrzyła, toby jej uszy oberwała.

Pani Szliferska, minawszy ogród, w którym znalazła wszystkie ścieżki, nie weszła tym razem do środka pałacu, choć z dawien dawna miała do niego wstęp wolny, lecz jak lis, zakradający się do kurnika, obchodziła go wkoło, do okien zaglądając. Ale panny Zofii, z którą pragnęła widzieć się jaknajprędzej, nigdzie nie mogła dojrzieć.

Na jej szczęście, zjawił się Paszuta. Starowina dreptał ze swego mieszkania, niosąc surdut Konrada. Czyścił on go cały dzień, a teraz chciał się swoim dziełem pochwalić.

— Panie Paszuta! panie Paszuta!—szepnęła, do niego przystępując.

— Wszelki duch chwali pana Boga, a tu kto?

— To ja, Szliferska... chciałabym jedno słóweczko powiedzieć panu Paszucie.

— Pani Szliferska? Proszę, choćby nawet dwa słowa.

— Niech pan Paszuta powie cichuteńko naszej ślicznej hrabianeczce, że ja bardzo proszę, aby do mnie zbiegła na chwileczkę. Ja tu będę stała między drzwiami...

— A pani Szliferska nie może pójść sama na górę?

— Pewnie, że mogę; ale cóż, kiedy nie wypada... Wybiegłam z kantyny łapu capu, nie jestem ani ubrana, ani uczesana, a pan Paszuta przecie wie, że nasz pan hrabia

nie lubi, jak po pałacu kręcą się baby zasmarowane. Otóż nie przydziałam się politycznie, zresztą boję się, żeby mnie jaśnie pani na górze nie zatrzymała, bo mi śpieszno do kantyny. Dziewki same zostawiłam, gotowe mi tam jeszcze narobić jakich fanaberyj. Pan Paszuta wie, że dziewczynie tylko fiu fiu w głowie.

— Oj, wiem, wiem—starzec machinalnie potwierdził.

— Niech więc pan Paszuta powie naszój ślicznój hrabianeczce, że potrzebuję z nią pomówić minutkę, sekundę! Ale proszę o sekret, bo prócz nas nikt o tém nie powinien wiedzieć...

— A co pani Szlifirska sobie myśli, że Paszuta nie umie trzymać języka za zębami? Czy to ja mam gębę, jak ten zawalidroga, Dyonizy, który licho wie, po co tu wlaź? Prawda, pani Szlifirska, że jemu niedobrze z oczu patrzy? O! ja przeczuwam, że to się źle skończy.. Ale nie ja będę winien... przestrzegalem... prosiłem...

— Niech się pan Paszuta śpieszy, bo ktoś nadchodzi.

To rzekłszy, ekonomowa stanęła między drzwiami na dole, gdzie ciemno było, że choć oko wykol. Paszuta zaś, jak mógł najprędzej, poszedł po schodach na górę.

Wkrótce zjawila się Zosia.

— Pani Szlifirska! pani Szlifirska!

— Jestem tu, panno hrabianeczko—odpowiedziała ekonomowa, wychylając się ze swego ukrycia.—Mam do panny hrabianki bardzo ważny interes.

— Czy może list?

— O! jak to panna hrabianeczka zaraz się domyśliła...

— Bo był u nas wieczorem pan Czapiński i wspominał...

— Że śliczny bławatek coś napisze, czy tak? A więc jest od niego liścik—tu bilet podała;—prosił tylko o sekret i o odpowiedź, którą mu jutro rano przez zaufanego odeszłą. Ach! jak on pannę hrabianeczkę kocha, matko litościwa! aż lęk zbiera, gdy o tém mówi.

— Jakto, więc już pani Szlifirskiej mówił?

— Właściwie on mi nie powiedział, ale kiedy o pannie hrabianeczce wspominał, to tak mu się zaczął język plątać

i tak dziwnie wtedy wyglądał, że się odrazu wszystkiego domyśliła. Bo trzeba pannie hrabianeczce wiedzieć, że Szlifirska niebita w ciemną. Jak idzie o amory, to zwierzy na miłą...

— Cicho, kochana pani Szlifirska, cicho!... Proszę o tém więcej nie mówić, bo ja się boję... mnie takich rzeczy nie wolno słuchać.

— Skoro tak, więc nie powiem więcej...

— A miała pani Szlifirska jeszcze co ważnego?

— Właściwie nie... chciałam tylko zapytać, czy po odpowiedzi mam się sama zgłosić i o której godzinie? Prosiłabym jednak o nią rano, bo przed południem muszę ją odesłać.

— Niech kochana pani przyjdzie koło ósmej; siostra będzie wtedy zajęta gospodarstwem, a do tego czasu odpowiedź będzie już gotowa. Tylko ostrożnie, kochana pani Szlifirska, ostrożnie, bo ja się bardzo boję!

To powiedziawszy, chwyciła ekonomową za głowę, pocałowała ją w czoło i cwałem na górę pobiegła. Szlifirska uczuła, że hrabianka miała usta jak lód zimne.

Co to mogą amory!

Zosia ręką wieczoru siedziała w najwyższym roztrągnięciu, czego atoli nikt nie zauważył, gdyż tego dnia wszyscy mieli dużo kłopotów i zajęcia, a gdy towarzystwo się rozeszło, pobiegła do swego pokoiku i w nim się zamknęła.

O, jak gwałtownie serce jój biło, gdy kopertę rozrywała!

Pisał:

„Przebacz, pani, że jak cień złowrogi stoję między tobą a twoim spokojem i wysyłam list, którego nie pisać nie powinien. Ale nie o mnie tu idzie. Losy moje rozegrane... Za dzień, za dwa najpóźniej, pożegnają te strony i bardzo wątpię, czy kiedykolwiek tu wrócę... Życie pełne upokorzeń, przytęm bez nadziei, hańbą jest dla człowieka w moim wieku. Odjeżdżam tedy, ale ponieważ tajemnicy Stasia nie mogę powierzyć pierwszej lepszej osobie, przeto śmiem pa-

nią prosić o chwilę rozmowy, byśmy się przynajmniej co do tego porozumieli. Sądzę, że pani Szlifierskiej możemy zaufać, zwłaszcza, że jest to osoba całą duszą pani oddana. Z najwyższym niepokojem oczekuję odpowiedzi—nieszczęśliwy Antoni.”

Co się działo w sercu Zofii, gdy ten list czytała, tego nikt wyrazić nie zdoła. Nawet ona sama, ani wtedy, ani potem nie była w stanie opowiedzieć swoich uczuć z onój chwili. Gdy pierwszy raz okiem list przebiegła, nic nie rozumiała. Słowo po słowie skakało jęj przed oczyma, a wszystkie w jeden łańcuch związane zaczęły dokoła nięj wyprawiać taniec szalony. Dopiero po powtórnem przeczytaniu w jęj umyśle jaśniej się zrobiło. Jego losy są rozegrane—odjeżdża—nie ma nadziei—chce z nią pomówić, przynajmniej o Stasiu... i jest nieszczęśliwy! Ach! tego było zawiele dla serca, które już od długiego czasu tylko nim jednym było zajęte.

Mówi, że nieszczęśliwy... ach! ona stokroć od niego nieszczęśliwsza!

Na co on ją ścigał ongi pod lasem? Na co poznawał? czemu tak słodko się uśmiechał i dlaczego tak gorąco po rękę ją całował? Gdyby nie to, byłaby spokojną, jak dawniej, i najmniejsza chmurka nie zaciemniałaby widnokregu jęj życia. Ale on... ach! nie, to nie on temu winien, to Staś wszystkiemu winien, i w Brazylii dalej siedząc, ani się troszczy o swoją młodszą siostrę! Ona mu jednak napisze, jak przez niego cierpi; niech się dowie, że postąpił z nią nie jak brat, lecz jak wróg!

— Ach! Boże! mój Boże, czemuż ja taka nieszczęśliwa!

Z temi słowy upadła na fotel i gorzko się rozplakała. Łzy obfite otrzeźwiły ją zupełnie. Zaczęła myśleć spokojnie i zastanawiać się, o jęj uczynić wypada. W miłości i boleści dojrzewa kobieta.

Odpisać mu musi, bo nie odpowiedzieć na list tak uprzejmy byłoby szczytem niegrzeczności. Zobaczyć go także musi, bo kto wie, czy jęj nie zakomunikuje jakiejś nowój tajemnicy Stasia; a zresztą, czy mogłaby go nie widzieć,

skoro odjeżdża? Lecz dokąd on jedzie? po co? dlaczego? Ach! ci mężczyźni, jacy oni niestali! zawsze im się zachciewa czegoś nowego a nieznanego: dziś tu, jutro tam, wciąż w pogoni za tém, czego uchwycić nie mogą. Ale nie... ten nie taki, jak wszyscy... Wszak wyraźnie pisze, że tylko dlatego te strony opuszcza, że żyje bez nadziei... Gdyby mu więc zrobiła nadzieję, pewnieby został... Lecz czy może to uczynić? Coby na to powiedziała Alicya, co Konrad, a co ojciec!

— Ach! Boże! Boże! jam bardzo nieszczęśliwa!

I znów łzy gorzkie, z serca płynące, zaczęły toczyć się po jej jagodach.

Plakała, myśl atoli ani na chwilę nie przestawała pracować, i nim jedenasta na korytarzu wybiła, miała już plan gotowy. Odpowie mu tylko kilka słów, że chce się z nim widzieć, lecz króciutko, minutę, niech się więc zżłosi do Szlifirskiej, ta zaś tam go zaprowadzi, gdzie się z nią zobaczy.

Widzieć go w kantynie, u ekonomowój, było niepodobieństwem. W domu także nie, w ogrodzie niebezpiecznie. Schadzka mogła tedy nastąpić chyba wieczorem, gdzieś w pobliżu pałacu. Najlepiej w mieszkaniu Paszuty. Starowina będzie się wprawdzie opierał, bo to rygorzysta, ale w końcu ustąpi. Czy ośmieliliby się czegokolwiek swojej panience odmówić?

Sny miała gorączkowe. Rano jednak zbudziła się spokojna, a po widzeniu się z ekonomową i wręczeniu jej listu do Antosia szukała tylko sposobności, żehy z Paszutą na uboczu pomówić. Nie mogąc go schwycić w pałacu, pobięła do jego mieszkania, pod pretekstem, że chce zobaczyć chorą żonę kołodzieja, mieszkającego z nim w jednym domu, i tam dość długo zabawiła. Córka kołodzieja, spora już dziewczynka, widziała, że gdy gracyalista hrabiankę do sieni wyprowadzał, skrobał się w głowę i był trochę zafrasowany, ale mimo to uśmiechał się i raz po raz w rękę ją całował. Hrabianka rzekła mu na odchodnem:

— Paszuta może być pewny, że jeszcze wróca dawne, lepsze czasy.

— Daj Boże! daj Boże!—odrzekł i znów ją w rękę pocałował.

Ciemno było, gdy jakiś człowiek schylony, z twarzą na pół zasłonią, w towarzystwie pani Szlifierskiej, którą psy miejscowe dobrze znały, zbliżał się od strony ogrodu do dworskich oficyn. Przede drzwiami ekonomowa stanęła. Z sieni wychylił się Paszuta i, ująwszy obcego za rękę, wprowadził go do izby na lewo, której okna były szczelnie zasłonięne. Na stole paliła się świeca łojowa.

Paszuta drzwi zamknął za sobą i, do przybyłego się zwróciwszy, rzekł dobitnie, acz głosem drżącym:

— Mnie się tam do tego nie mieszać, co moi państwo robią: ja mam tylko słuchać, nie więcej; ale gdyby pan, broń Boże.. chciałem powiedzieć... no tak... gdyby się pan przypadkiem wygadał, to jakim Paszuta, będzie źle!

Chociaż Antoś był pomieszany i serce naksztalił młota, bijącego w kowadło, o pierś mu uderzało,—na widok tego starca, usiłującego być wielce surowym i poważnym, a bojącego się to powiedzieć, co miał na myśli, nie mógł się wstrzymać od uśmiechu.

— Pan Paszuta może być spokojny—odpowiedział.— Jestem wojskowym, więc wiem, co to honor.

— To dobrze... Prawdziwym bo panom wiele wolno, ale ludziom...

Chciał już dodać: „lichój kondycyi,” wszelako, na jego szczęście drzwi się rozwarły, i Zofia wbiegła do pokoju.

Stanęła na środku i śmiało, bez zakłopotania przemówiła:

— Przepraszam pana, jeśli mu kazała zadługo na siebie czekać...

— To ja raczej muszę panią przeprosić za moją niegrzeczność... okoliczności jednak były ode mnie silniejsze..

Zosia spojrzała na Paszutę. Ten, zrozumiawszy ją, rzekł:

— Ja, proszę panny hrabianki, będę stał pode drzwiami; ale gdyby mnie panienka potrzebowała, proszę tylko zawołać... Paszuta przyjdzie, zaraz przyjdzie!

Wymawiając patetycznie słowa ostatnie, mierzył wzro-

kiem młodzieńca, jakby mu chciał powiedzieć: „Miěj się na bacznosci!” Gdy starzec wyszedł do sieni, Antoś przystąpił do Zosi i wziął ją za rękę. Nie bronila. Spuściła tylko oczy nieśmiało, a oblok różowy twarzyczkę jěj przysłonił.

— Jeślim cię chciał zobaczyć, panno Zofio—przemówił cicho a słodko,—to dlatego, że jadę w świat, zkad może nigdy nie wrócę; odjechać zaś, a ciebie nie pożegnać, było nad moje siły... Jestem jako skazaniec, który za godzinę wstąpi na rusztowanie; czyż więc takiemu można się dziwić, że nim ten świat opuści, chce raz jeszcze tych zobaczyć, którzy mu tu byli najdrożsi?

— Co pan mówi, panie Antoni, co pan mówi!—przerwała niespokojnie.—Dla czego pan właściwie odjeżdża? czego pan chce szukać? czy nie żal panu krewnych, rodziców?

Gorzko się uśmiechnął.

— Odjadę, choćby mi miało serce pęknąć! Położenie jest tego rodzaju, że dalszy pobyt w tych stronach byłby dla mnie hańbą!... O więcej nie pytaj, panno Zofio; sądzę bowiem, że mnie rozumiesz.. Jadę za Atlantyck, tam, gdzie jest Staś.

— Boże! aż tam?!—zawołała.

— Tak jest, tam... postanowienie moje nieodwołalne; jutro wieczorem nikt mnie już w Strzałkowicach nie ujrzy. Nim atoli strony te opuszczę, radbym usłyszeć, czy znajduje się tu choć jedna istota, pragnąca się doczekać mego powrotu. Jeżeli jest taka, pokonam największe trudności i wrócę choćby tylko po to, żeby ją jeszcze zobaczyć!

Gdy to mówił, jěj rękę, którą dotąd trzymał, przycisnął do swęj piersi, i Zosia sama tak blisko niego się znalazła, że wyraźnie słyszała każde uderzenie jego serca. Mieszła się bardzo, sama nie wiedząc czemu, ale o przywołaniu Paszuty jakoś nie myślała.

— Powiedz, panno Zofio, czy znajduje się tu taka istota?

— Cóż ja mam powiedzieć... albo ja wiem...

— Powiedz, czy chcesz, bym powrócił, a przysięgam ci

na wszystko, na zbawienie mojej duszy, na tę szaloną miłość dla ciebie, którą dotąd tłumilem w swoim sercu, a którą przyszedłem nareszcie wyznać, że jeśli chcesz mnie zobaczyć, wróć choćby z krańca świata!

— Ależ chcę... czyż pan o tym wątpisz?

— Więc mnie kochasz?—zawołał tak głośno, że aż Paszuta w sieniach przestraszony machinalnie chwycił za klamkę od drzwi i byłby wszedł, gdyby nie ich anioł stróż, który go za rękę przytrzymał.

— Nie pytaj mnie pan o to, nie pytaj! Mnie o tym mówić nie wolno!

— Zosiu! czarodziejskie ty moje zjawisko, piękne jak zorza poranna, uludne jak tęcza, która się w przestworzu rozplywa, ty moją nigdy być nie możesz... zawiłka przepaść nas dzieli; ale choć losy zawistne nie pozwalają mi pić z pełnej czary szczęścia, pozwól, bym przynajmniej odszedł ztąd z wiarą w serce szlachetne, skoro nie wolno mi mieć nadziei lepszego jutra... Powiedz, że ci nie był obojętny, powiedz, że mnie kochasz, a już to samo wystarczy mi na cały bieg mojego żywota!

— Boże! Boże! na cóż ja mam to powtarzać, o czym pan i tak dawno wiesz?!—jęknęła, łzami się zalewając, i sama nie wiedziała, jak to się stało, że jej śliczna twarzyczka oparła się o jego pierś szeroką.

— Więc mnie kochasz? kochasz?—zawołał, tuląc ją do siebie.—O! teraz odjadę nie z sercem złamanym, lecz na duchu pokrzepiony, bo miłość, jak twoja, jest gwiazdą przewodnią, która przez wichry i fale wiedzie marynarza do cichej przystani!... Co będzie, nie wiem, to jednak czuję, że dzisiejsze nasze spotkanie nie pozwoli mi utonąć wśród życia odmętów!...

— Czy koniecznie musisz pan jechać? koniecznie?

— Nieodwołalnie! Pojadę jednak do Stasia: chcę nad nim czuwać, być mu opieką i pomocą, chcę bodaj w ten sposób sprawić ci przyjemność. .

— Ach! jabym wolała, żebyś pan jaknajprędzej z nim powrócił.

— Wrócę, pewnie wrócę!

To rzekłszy, podniósł jęj główkę, spojrział w oczy za-
łzawione i na jęj nstach wycisnął płomienny pocałunek.

Przymknęła oczy, była blizką omdlenia...

W sieni dało się słyszeć głośnie chrząkanie, poczem
wszedł Paszuta.

— Proszę panny hrabianki, w pałacu panienki szukają.

Oprzytomniała, jedną ręką zarzuciła chustkę na głowę,
drugą Antosiewi podała.

— Bądź pan zdrow i wracaj!

Chciał jeszcze jęj rękę ucałować, lecz już nie miał na
to czasu. Jak spłoszona sarenka, do sieni wybiegła, on zaś
w pokoju sam na sam z Paszutą pozostał.

— Proszę pana, pójdziemy chyba razem za bramę—
rzekł stary sługa,—bo ekonomowa dawno już machnęła,
a panu gotoweby psy dobrać się do łydek.

— Dziękuję panu Paszucie—odpowiedział, przyczem coś
mu w rękę wsunął.

Paszuta postąpił do światła, aby zobaczyć, co dostał.
Był to banknot dziesięcioguldenowy. Bardzo się na to za-
chmurzył.

— Proszę pana nie ubliżać Paszucie... Paszuta, dzięki
Bogu, jest dotąd wiernym sługą swoich państwa, więc co-
kolwiek czyni, robi to dla nich, nie dla kogoś tam, i pie-
niędzy za to od obcych nie potrzebuje... Proszę to sobie
schować!

Wypowiedział to tonem tak stanowczym, że Antoś za-
stosował się do jego woli, poczem obadwaj wyszli.

Zosia téj nocy długo usnąć nie mogła, a gdy nareszcie
znużenie zwarło jęj powieki, widziała znów w łodzi, na peł-
ném morzu, młodziana cudnej urody, jak masztu się trzy-
mając, płynął prosto do nięj i głosem słodszy od słowi-
czego nucił pieśń miłości...

III.

Katastrofa.

Pan Olski bardzo był uradowany, ilekroć mógł na wieś wyjechać, największą atoli przyjemność sprawiał mu pobyt w Lipińcu, gdzie mleczko było doskonałe, wino czyste a nie mocne, prócz tego wszyscy mieszkańcy dworu byli tam nad wyraz uprzejmi. Nigdzie mu lepiej nie szła pogawędka, nigdzie nie słuchano w większém skupieniu ducha jego szerokich planów politycznych, i nigdzie tak hojnie, jak tam, nie płacono za nastrojenie fortepianu. Wielce tedy był szczęśliwym ów dzień, w którym Konrad przysłał po niego konie z prośbą, żeby jaknajprędzj do Lipińca przyjechał, ponieważ tym razem oba fortepiany domagały się jego ręki troskliwej. Czémprędzj ucałował żonę i córkę, i marząc o tój chwili słodkiej, gdy z dziesiątką reńskich w kieszeni będzie wracał do domu, siadł na wózek i do Lipińca wyjechał.

Tam przez kilka godzin z rzędu był pracą zajęty; dopiero wieczorem, przy herbacie, mógł swobodniej odetchnąć. Jeden fortepian był już doskonale nastrojony, z drugim miał to samo uczynić nazajutrz.

Towarzystwo przy herbacie było, jak zwykle, ani mało-mówne, ani zbyt ożywione. Rozmowa toczyła się swobodnie.

Jedna pani Zielińska, która do herbaty rzadko przychodziła, była bardzo niespokojna, co wszystkich uderzyło. Kilkakrotnie wszczyniała rozmowę, a dokończyć jej nie mogła; oglądała się poza siebie, spojrzenia pełne podejrzliwości rzucała na drzwi wchodowe, potem kierowała wzrok na siedzących dokoła stołu i kolejno każdą osobę uważnie badała.

Zaledwie pan Olski, według zwyczaju, zaczął mówić o potrzebie połączenia się z Żydami przeciwko Bismarck'owi, pani Zielińska powstała, i pożegnawszy się z towarzystwem, odeszła do swego pokoju. Odprowadziła ją panna służąca.

W kwadrans dziewczyna wróciła, i zbliżywszy się do hrabiego, coś mu cicho powiedziała. Hrabia powstał i szybko się oddalił. Ponieważ wszyscy byli rozmową zajęci, nikt więc na to uwagi nie zwrócił. Jedna Zosia ojca wzrokiem do drzwi odprowadziła. Ta, chociaż od pewnego czasu zmieniła się do niepoznania, bo spoważniała, nie przestała być ciekawą.

— To ciocia po tatka przysłała, ale dlaczego? po co?— raz po raz w duchu sobie powtarzała.

Hrabia tymczasem, przeszedłszy korytarz, na którego końcu znajdował się mały pokoik gościnny (w nim zwykle stawał pan Olski), otworzył obok niego pierwsze drzwi i wszedł do apartamentu pani Zielińskiej. Składał się on z dwóch pokojów: mniejszy służył za sypialnię, większy za salonik. Staruszkę zastał na fotelu, obok łóżka. Była jeszcze bardziej zmieszana niż przy herbacie, i ledwie wszedł, kazała dziewczynie się oddalić, poczem wstała, i nim hrabia mógł się domyśleć, co chce uczynić, drzwi na klucz zamknęła.

— Przepraszam pana, żem go trudziła, ale chciałabym mu coś powierzyć. Dziś w nocy miałam zły sen... widziałam słońce, jakby we krwi skąpane... To zła wróżba, bardzo zła...

— Sen mara, Bóg wiara!— odrzekł hrabia.

— Ja w Boga wierzę, ale wierzę i w to, że On sam w snach ostrzega przed grożącymi nam niebezpieczeństwami. Młoda już nie jestem, kto tam wie, czyje jutro... Mam ja

tu trochę oszczędności, którem przez całe życie zbierała' a że nie mam kasy ogniotrwałej, więc chcę hrabiego prosić, byś to do swojej schował. Jak się uspokoję, to mi zwrócisz.

To powiedziawszy, wyjęła z pod poduszki spory worek z grubego płótna, mocno związany i opieczętowany.

Hrabia się zawahał.

— Na co ja mam to brać?—przemówił.—Już tyle lat miałaś pani te pieniądze u siebie, trzymaj je więc i nadal.

— Ale ja cię proszę, kochany hrabio, bardzo cię proszę! Komuż zaufam, jeśli nie tobie?

— W takim razie, pozwól pani, bym ci przynajmniej wystawił kwit depozytowy.

Staruszka chciała już odpowiedzieć: „Dobrze,”—ale jęj na myśl przyszło, że w kwocie musiałaby być wyszczególniona kwota, którą hrabia wziął na przechowanie, ona zaś żadną miarą nie mogła dopuścić, by ktokolwiek wiedział, ile miała pieniędzy.

— Nie potrzeba kwitu—odrzekła.—W ręku hrabiego tak samo one bezpieczne, jak w moich; zresztą mam nadzieję, że nie będę długo korzystala z pańskiej grzeczności; da Bóg, że wkrótce znów będę spokojną.

Hrabia jeszcze się upierał, w końcu jednak uległ gorącym prośbom, wziął pieniądze, udał się do swego pokoju i do kasy je włożył.

Gdy wrócił do sali jadalnej, towarzystwo już się rozchodziło. Udał się więc i on do swojej sypialni.

Konrad podprowadził pana Olskiego do jego pokoju, a stając pod drzwiami, rzekł:

— Niech kochany pan śpi smacznie, proszę tylko nie politykować przez sen, ani chrapać, bo ciocia Zielińska gotowaby się zbudzić.

— Ja śpię cicho, panie dobrodzieju, cichuteńko. Biednemu nie wolno ludzi po nocach niepokoić. Zresztą ja o polityce lubię rozmawiać tylko z ludźmi światłymi, a nie przez sen z marami. I cóż pan dobrodziej myśli o moim planie?

— Czy o tym, który zmierza do pokonania Bismarck'a przy pomocy Żydów?

— Aha, o tym.

— Wyśmienity, wielki! Jutro przy obiedzie o nim pomówimy, teraz zaś życzę panu dobrej nocy, bo już późno.

— Dobranoc, panie dobrodzieju, dobranoc!

I starowina znikł za drzwiami.

Było już dobrze po północy, gdy na dziedzińcu przed pałacem ozwały się, jak na komendę, wszystkie brytany, bo przy bramie ktoś dzwonił. Poszedł stróż nocny, i rozmówił się z człowiekiem, który tam stał, wziął od niego jakiś papier i z nim do pałacu się udał.

Niezadługo potem Dyonizy wszedł do sypialni pana domu. Hrabia miał sen nadzwyczaj lekki. Ledwie usłyszał skrzypnięcie drzwi, zbudził się i siadł na łóżku.

— Kto to?—zawołał.

— To ja, proszę jaśnie pana. Właśnie przyszedł z miasta posłaniec z depeszą.

— Z depeszą?—powtórzył hrabia machinalnie.

Zaniepokoił się bardzo, bo nuż pochodziła od Stasia, a w takim razie mogła być tylko zwiastunem nowego nieszcześcia.

Gdy Dyonizy świecę zapalił, hrabia spojrział najpierw na podpis i wolniej odetchnął. Pod depeszą znajdowało się nazwisko Hieronima ks. Montpellier'a. Był on w Wiedniu i telegrafował co następuje:

„Jechałem do ciebie, mój stary przyjacielu, lecz nagle choroba żony przykuła mnie do Wiednia. Jeśli możesz, przyjedź do nas jaknajprędzej, bo chciałbym z tobą o czémś bardzo ważném pomówić.”

Hrabia się zamyślił. Za trzy godziny odchodził z najbliższej stacyi pociąg pośpieszny, a że z Lipińca jechało się tam najwyżej dwie godziny, więc na czas mógł zdążyć. Wprawdzie depesza nie zapowiadała nic nadzwyczajnego, ale ponieważ hrabia wybił się już ze snu i nie miał nadziei drugi raz zasnąć, przeto postanowił zaraz wyjechać. Skłaniało go do tego także przypuszczenie, że ksiązę prawdopodobnie chciał mu coś o Stasiu powiedzieć, innych bowiem interesów nie mieli.

Ubrał się prędko, Dyonizemu kazał spakować niezbędne rzeczy, zbudził Konrada, by mu powieścić co zaszło, i za godzinę był już w drodze.

Brytany uspokoiły się na podwórzu i nad pałacem w Lipieńcu znowu cisza zalegała.

Noc przeszła prędko, a o wczesnej godzinie wszyscy się zbudzili.

Ruch zrobił się zwyczajny, każdy przed śniadaniem oddawał się swemu zajęciu i nikt uwagi na to nie zwrócił, że pani Zielińska, acz zawsze pierwsza wstawiała, tego ranka wcale się nie pokazywała. Pokojowa była kilka razy pod jej drzwiami, ale ponieważ pani Zielińska raz na zawsze surowo jej wzbronila wchodzić, dopóki na nią nie zadzwoniła, dziewczyna zatem oddalała się, czekając na głos dzwonka.

Dopiero przy śniadaniu pani Alicya pierwsza na jej nieobecność uwagę zwróciła.

— Czy starsza pani będzie dziś piła kawę w swoim pokoju?—zapytała pokojowój.

— Nie wiem; starsza pani jeszcze nie dzwoniła.

— To idź i zapytaj przeze drzwi. Wszak już kwadrans na dziewiątą.

Pokojowa pobiegła. Za chwilę wróciła pomieszana.

— Proszę jasnój pani, pukałam, ale nikt się nie odzywa.

— Nikt?—Konrad powtórzył i niemilém przecuciem tknięty z krzesła się zerwał.

Pani Zielińska miała lat 80; u takiej staruszki nie było trudno o atak niebezpieczny. Konrad wyszedł na korytarz, za nim Zofia i pokojowa. W sali jadalnej została tylko pani Alicya z dziećmi i panem Olskim, który wypiwszy szklanekę kawy z bułeczką, zabierał się właśnie do mleka słodkiego i sporój kromki chleba z masłem.

Konrad, stanąwszy przy drzwiach pani Zielińskiej, raz i drugi silnie zapukał. Nikt nie odpowiadał. Zaczął wołać:

— Dzień dobry cioci! Czy ciocia jeszcze śpi?

Cicho, jak przedtém. Obrócił się, kierując na Zosię wzrok pytający.

— Trzeba będzie chyba drzwi wyważyć—rzekł,—bo ciocia zawsze się zamyka.

— Zaraz, Konradzie—odpowiedziała Zosia,—wpierw jeszcze zajrzę przez dziurkę od klucza.

Schyliła się, ale w téjże chwili odskoczyła wielce przerażona.

— Konradzie! Ciocia leży na ziemi!

Konrad klamkę silnie pocisnął, myśląc, że będzie musiał drzwi wysadzić, tymczasem rozwarły się one naościę, gdyż nie były zamknięte.

Przed obecnymi okropny roztoczył się widok.

Na podłodze, twarzą do góry zwrócona, leżała staruszka w koszuli tylko i ciepłym kaftaniku, który pod suknią nosiła tak zimą, jak latem. Kaftanik i koszula były na pierśsiach rozerwane. Jęj twarz sina i ręce kureczowo zaciśnięte zdawały się wskazywać, że zginęła śmiercią gwałtowną. Jeśli Konrad w pierwszej chwili przypuszczał, że pani Zielińska, rażona atakiem apoplektycznym, sama powietrze chwytając, rozerwała odzienie na sobie, to niebawem nieład w całym pokoju panujący musiał go z błędu wyprowadzić. Pościel była porozrzucana, poduszka rozdarta, pierze dokoła rozsypane wskazywało, że w poduszce ktoś szukał; materace leżały pod piecem, słoma zaś w sienniku była do spodu poruszona. Co do sprzętów, te wprawdzie stały na dawném miejscu, lecz i w nich ktoś szukał. Szuflady w komodzie były wyciągnięte i wszystko w nich poprzewracane do góry nogami; w biurku pod oknem mniejsze szufladki, widocznie dobrze na klucz zamknięte, były nawet połupane ostrém narzędziem.

Nikt więc nie mógł wątpić, że tu była czynna ręka zbrodniarza.

Przerażenie wszystkich ogarnęło. Na głos Konrada przybiegła pani Alicya, pan Olski, cała służba; wkrótce zjawili się także oficyaliści. W osłupieniu spoglądał każdy na te zwłoki zasuszone, sine, które jeszcze wczoraj czuły i myślały, a które teraz były już tylko ciekawym okazem dla lekarza sądowego i sędziego śledczego.

Chociaż pani Zielińska tyle lat pod tym dachem spędziła, nikt z obecnych jej straty nie opłakiwał. Pani Alicya i Zosia miały wprawdzie łzy w oczach, te jednak wycisnęło im więcej przerażenie niż żal; inni zaś, a między tymi Konrad, spoglądali na zabita okiem suchym, myśląc stokroć więcej o zbrodniarzu, niż o jego ofierze.

Pani Zielińska żyła rozumem, nie sercem, więc kto jej miał żałować?

— Ja natychmiast jadę do sądu—przemówił Konrad,— a pan—dodał do ekonoma—postawisz tu kogo pode drzwiami na straży.

— Jak jaśnie pan pozwoli, ja będę pilnował—rzekł Paszuta.

— Niech pilnuje Paszuta, ale niech i więcej kto będzie—odrzekł Konrad.

Za chwilę pędził do miasta. Zdarzenie było okropne! Pod ich dachem, a pod nieobecność samego gospodarza, popełniono zbrodnię, widocznie dla rabunku, i nikt się nie domyślał, ktoby był jej sprawcą. W każdym razie był to człowiek z miejscowemi stosunkami dobrze obznajmiony, powszechnie bowiem utrzymywano, że pani Zielińska nosiła zawsze pieniądze na piersiach, rozerwana zaś koszula w tém miejscu wskazywała, że morderca tam ich szukał. Niezadowolony tą jedną zdobyczą, plondrował w całym pokoju.

Kto to był? kto to był?

Takimi myślami zajęty, Konrad wpadł do miasta i kazał się prosto wieźć do sądu. Nie wiedząc, do kogo właściwie takie sprawy należą, do prezydenta, czy też do prokuratora, udał się do biura pana Turbana.

Prezydent przyjął go bardzo chłodno, prawie rubasznie. W pierwszej chwili zaczął się nawet wymawiać brakiem czasu, dopiero gdy usłyszał, z jak ważną rzeczą Konrad przyjechał, raczył go wysłuchać. Już to od awantur z panem Grzywą mieszkańcy Lipińca w opinii sądu i wielu innych matadorów byli jaknajgorzej zapisani i prawie żadne nie łączyły ich teraz z nimi stosunki.

Prezydent, opowiadania wysłuchawszy, nie powiedział, co sam o tym wypadku myśli; odesłał gościa najpierw do prokuratora, z kąd następnie miał się udać do radcy Darskiego.

— Fakt doniosły, bardzo doniosły—mówił Turban jakby do siebie.—Takięj sprawy nie można powierzyć pierwszemu lepszemu młodzikowi, trzeba ją oddać doświadczonemu w rzeczach kryminalnych. Darski to głowa!

Nasz przyjaciel uczynił, co mu polecono. Był u prokuratora, potem u Darskiego. Radca chciał być czulszym od prezydenta, na widok wchodzącego usiłował nawet uśmiechnąć się i coś serdecznego przemówić, jednakże nie poszło mu to gładko i uśmiech zrobił się prostém skrzywieniem.

Uprzedzony przez prezydenta, Darski wiedział już, co się w Lipińcu stało. Mimo to opowiadania Palińskiego wysłuchał z wielką uwagą, w kilku zaś miejscach przerywał mu zapytaniami krótkimi a doniosłemi, na które Konrad niezawsze mógł zadawalająco odpowiedzieć.

Gdy Paliński skończył, radca pożegnał go jeszcze zimińj, niż witał, i przyrzekł za kilka godzin być w Lipińcu z komisją lekarsko-sądową.

Konrad wyszedł i zaraz do domu odjechał.

Darski odprowadzał wzrokiem Palińskiego, a gdy drzwi za nim się zamknęły, zatarł ręce, przyczém uśmiech szatańskiego zadowolenia na twarz mu wystąpił.

— Gratka! gratka!—mówił do siebie.

Na to wszedł do jego biura radca Życzyński, człowiek bardzo zacny, ale wielki weredyk i charakter niepodległy, za co go wielu nie lubiło.

— A kolegę co tak raduje?—zapytał, do Darskiego podchodząc.

— Mam coś doskonałego w ręku.

— Czy sprawę zamordowanej Zielińskiej?

— Kolega już wie?

— A wszak cały sąd w tęg chwili tylko o tęg mówi.

— Skoro kolega słyszał już o tęg historii, więc mu powiem, że stokroć prędzej, niżlim się spodziewałem, dostałem do rąk istotnego sprawę zbrodni.

— Rzeczywiście?

— Jestem tego pewien.

— Któż to taki?

— Nikt inny, tylko sam Paliński.

Radca Życzyński cofnął się przerażony.

— Kolega chyba żartuje!—zawołał.—Taki człowiek? z takiej rodziny? Czyż można przypuścić coś podobnego!

— W kryminalistyce, kolego, niema niepodobieństw... Wszak rzecz to wiadoma, że najwięksi panowie często gęsto dopuszczają się zbrodni najohydniejszych, a zawsze dla pieniędzy. Gdy ten jegomość siedział tu, przy mnie, i opowiadał, co się w Lipińcu stało, jedna rzecz zaraz mnie uderzyła: Czemuś ty, mój kochany, pomyślałem—nie został w domu, z kobietami, które po wyjeździe ojca, same z trupem zostawione, muszą być bardzo niespokojne? Czemuś tu się zjawił osobiście, skoro z doniesieniem o wypadku mogłeś przysłać pierwszego lepszego sługę? Czyś tylko taką gorliwością i natychmiastowem zjawieniem się w sądzie nie chciał nas zmylić? A kiedym tak myślał, w oczy mu patrząc, przypomniałem sobie, jak temu lat dwadzieścia, o czém wówczas mówił kraj cały, syn pewnej arystokratycznej rodziny zamordował staruszkę, u jego rodziców mieszkającą, zabrał jej pieniądze i natychmiast po czynie spełnionym udał się najpierw na bal, aby mieć *alibi*, potem poszedł sam do policyi i uwiadomił ją o morderstwie. A mimo to wykryło się, że to on był sprawcą zbrodni. Tak, kolego—kończył radca Darski,—w kryminalistyce niema niepodobieństw.

— Kto jedzie z komisją do Lipińca?—zapytał pan Życzyński.

— Ja.

— Kolega?

— Tak jest, prezydent oddał mi tę sprawę, bojąc się słusznie, by który z naszych sędziów śledczych, a mamy samych młodzików, nie popsuł jej z braku doświadczenia.

Radca Życzyński czoło zasępił.

— Ja, będąc na miejscu kolegi, nie przyjąłbym tego śledztwa—rzekł sucho.

— Czemu?

— Bo kolega jesteś już z góry do tego człowieka uprzedzony, a to może wpłynąć fatalnie na cały tok śledztwa. Sędzia nie powinien mieć żadnych uprzedzeń, żadnych podejrzeń; inaczej, choćby najmocniej tego pragnął, nie potrafi być ściśle przedmiotowym. Żadnemu człowiekowi nie należy z góry zarzucać winy; przeciwnie, każdego powinniśmy tak długo poczytywać za niewinnego, dopóki sam nie runie pod ciężarem oskarżających go dowodów. Źle ten sędzia czyni, który woła: Wykaż, żeś niewinny! Prawdziwie sprawiedliwym jest ten, który mówi: Oto dowody twojej winy! Wychodząc z tej zasady, a znalazłszy się na miejscu kolegi, poszedłbym zaraz do prezydenta i usilniebym go prosił, żeby kogo innego wysłał do Lipińca.

. Darski roześmiał się na cały głos.

— Gdyby tak wszyscy sędziowie postępowali, jak tego chcesz, kolego, każdy złodziej i rozbójnik z rąkby nam się wymknął. W sprawach kryminalnych trzeba mieć węż i za nim iść. Kolega, jako cywilista, niewiele miał do czynienia z rozbójnikami, ale gdybyś ich był tyłu poznał, co ja w moim życiu, romanse byłyby ci już dawno z głowy wywie-trzały. Zresztą w kodeksie niema paragrafu, któryby kazał tak postępować, jak kolega radzi, a u mnie paragraf wszystkim!

— U mnie zaś sprawiedliwość—odparł spokojnie radca Życzyński.

Darski ręką machnął i zaczął sobie fajkę nakładać.

— E! co tam sobie będziemy temi głupstwami głowy zawracali!—zawołał swobodnie.—Skoro tylko złapiemy winnego, to go powiesimy, i będzie spokój; a jeśli ucieknie, to pal go dyabli! Kiedyś on tam zawsze dostanie się na hak! Powiedz mi lepiej, kolego, co słyhać w mieście? Prawda to, że w apelacji aptekarzowa proces przegrała? Ktoś mi dziś mówił, że Ochsenberg dostał już depeszę, zawiadamiającą go o tym smutnym wypadku.

— Dlaczego smutnym?

— Bo ma u Przymkiewiczowej całych sześć tysięcy, których może teraz nie odebrać... A z Grzywą co słyhać? Zrehabilituje się, czy nie? Da Bóg, że jeszcze dostanę w ręce tych łotrów, którzy mu tak niesłusznie dokuczają!

— Ja tam o niczem nie wiem, mnie te rzeczy wcale nie obchodzą—odpowiedział radca Życzyński, i zabrawszy jakieś akta, po które przyszedł, udał się do swego biura.

Darski pozalatywał sprawy najważniejsze, które zwłoki nie cierpiały, i uwiadomiwszy tak lekarza, jak protokółanta, że za godzinę wyjedzie, udał się na chwilę do domu. Gdy szedł przez miasto, bardzo wiele osób go pytało, czy to prawda, że w Lipíncu popełniono morderstwo, a panna Kunegunda, którą zastał w sieniach swego domu (właśnie od jego żony wychodziła), chwyciła go aż za rękaw od surduta, tak gorąco pragnęła z niego coś wydobyć.

— Prawda to, że panią Zielińską zabito? A miała ona dużo pieniędzy? Czy nosiła je przy sobie? Czy zrobiła testament i może go w sądzie deponowała? Kto mógł dopuścić się tój zbrodni? Czy przypadkiem nie domownik jaki? Czy sąd ma jakie poszlaki? Czy morderca w razie pojmania pójdzie na szubienicę, czy tylko na dwadzieścia lat do więzienia? A jeżeli nie wszystkie pieniądze zrabował, co się z resztą stanie? Czy rząd je zabierze, czy może nieboszczka zostawiła jakich krewnych?

Tyle pytań z błyskawiczną szybkością wystosowała w sieni do radcy, a chociaż on ledwie na dwa czy trzy stanowczo odpowiedział, resztę zbywając ogólnikami, mimo to siostra kanonika miała dosyć materiału, by nim w tym dniu zająć uwagę całego miasta. Ledwie też rozstała się z panem Darskim, pośpieszyła prościuteńko do pani inspektorowej.

Radczyńni, ujrawszy męża wchodzącego, była niemniej ciekawą od panny Kunegundy—mąż atoli niewiele jęj powiedział. Zjadł prędko drugie śniadanie, zrobił sobie kilka nabołów do strzelby, bo nuż po drodze uda mu się co upolować, i dopiero na odjezdnem rzekł do żony:

— Zobaczymy niezadługo, co będzie z tymi panami, między których ty się pchasz!

— O kim myślisz, Michale? o Tęczyńskim?

— Posłyszysz coś i o nim, posłyszysz!

— Michale! Ależ to nie może być! Co ty mówisz? Przecie to ludzie tacy zaccni!

— Każdy zaccny, dopóki nie ukradnie, lub nie zabije!

To powiedziawszy, wyszedł z pokoju. Żona osłupiała. Chociaż jeszcze nie wiedziała, co mąż chciał powiedzieć, czuła jednak, że nad Lipińcem gromadziły się chmury.

Prócz tego zmroziła ją brutalność, z jaką mąż wyrażał się o wszystkich ludziach. Czyżby świat istotnie składał się z opryszków i złodziejów?

Radca, przyjechawszy do Lipińca, z Konradem i jego paniami przywitał się zimno i niezwłocznie zarządził oględziny tak zwłok, jak pokoju, w którym zbrodnia była spełniona, poczem nastąpiła sekcya. Lekarz stwierdził, protokółant zaś zapisał, że nieboszczka zginęła śmiercią gwałtowną, przez uduszenie, czego dowodziły ślady palców na szyi: cztery po jej lewej stronie, jeden po prawej. Walka nie była ciężka, staruszka, acz się broniła, co było widać z pozycyi rąk, nie mogła stawić silnego oporu. Śmierć nastąpiła nad ranem.

Z kolei zaczął radca przesłuchiwać domowników, kładąc główny nacisk na zeznania tych, którzy w pałacu mieszkali. Przedewszystkiém pragnął się dowiedzieć: czy kto wieczorem lub w nocy nie widział w ogrodzie lub gdzieindziej jakiej osoby podejrzanej? czy pani Zielińska miała pieniądze? ile i gdzie je ukrywała? nareszcie, czy badany nie domyśla się, ktoby téj zbrodni mógł być sprawcą? Z większą niż innych drobiazgowością wypytywał Konrada i jego żonę, a tylko dla Zosi był względniejszy. Do téj zwrócił się ledwie z kilku pytaniami ogólnikowemi.

W największych opalach znajdował się pan Olski. Radca żadną miarą nie mógł pojąć, jak to się stać mogło, by człowiek, śpiący tuż obok pokoju zamordowanej, w nocy nie nie słyszał. Wciąż tedy powtarzał:

— Proszę skupić swoją uwagę i pomyśleć. Czy nie sły-
szał pan jakich głosów, krzyków, wołania?

Starowina podnosił zawsze głowę do góry i brwi ścia-
gał na znak, że się namyśla, ale po chwili odpowiadał:

— Nie, panie sędzio, nic nie słyszałem...

— Ale jak to być może, by stroiciel fortepianów,
mający ucho czułe, nie słyszał, jak obok niego człowieka
mordują?

Umysł pana Olskiego znów chwilę pracował, ale na-
próżno.

— Nie, panie sędzio, jak mi Bóg miły, nic nie słyszałem.
Tu lekarz zbliżył się do radcy.

— Ten człowiek cierpi już na uwiad starczy—rzekł
cicho,—więc choćby nawet był co słyszał, może nie pamię-
tać...

Radca zmierzył stroiciela od stóp do głowy. Być może,
iż była chwila, że i tego podejrzewał, człowiek ten bowiem
znajdował się całą noc w najbliższym sąsiedztwie zamordo-
wanój; wszelako, gdy się bliżej przypatrzył tej figurze niki-
łej, suchój, wątłej, a z siebie zadowolonej, słodko uśmiechniętój,
musiał sobie w duchu powiedzieć, że tacy mogą popełniać
tylko niedorzeczności, ale nigdy zbrodnie.

Z kolei stawił się Paszuta. Ten wprawdzie odpowiadał,
o co go pytano, lecz tak był zirytowany, że się cały trząsł.

— Proszę pana sędziego—rzekł przy końcu,—pan nas
ciągnie za język, jakby między nami zbój się ukrywał,
a u Tęczyńskich z dziada pradziada sami ludzie uczciwi!

— Ja czynię, co mi mój obowiązek czynić nakazuje,
a o co nie pytam, na to proszę nie odpowiadać—odrzekł
sucho radca.

Paszuta oddalił się, pod nosem mruczając.

Śledztwo dotąd toczyło się monotennie. Nikt nikogo
obcego nie widział, nikt nikogo nie podejrzewał, nikt dokła-
dnie nie umiał powiedzieć, ani gdzie pani Zielińska pienia-
dze chowała, ani ile ich miała. Co do radcy, ten czuł, że
zaczyna trop gubić, podejrzenie bowiem jego pierwotne,
skierowane przeciw panu Palińskiemu, nie było dotąd żadnym

szczególmem potwierdzone. Wszelako postać rzeczy wielce się zmieniła, gdy pokojowa zaczęła opowiadać o spóźnionej wizycie hrabiego w mieszkaniu pani Zielińskiej.

Teraz radca wy tężył całą uwagę, by jednego słowa nie stracić.

Pokojowa, badana, jak tego żąda ustawa, na osobności, opowiadała wiernie wszystko, co widziała i słyszała. Dyonizy zaś uzupełnił jej zeznanie szczegółami o posłańcu z urzędu telegraficznego, o depeszy i wyjeździe hrabiego.

— A kiedy to się działo?—zapytał radca.

— Już nad ranem, koło trzeciej.

— A pan hrabia przed wyjazdem wychodził dokąd ze swego pokoju?

— Był u młodego pana, lecz czy potem jeszcze wychodził, tego już nie wiem, bo mnie kazał pójść zbudzić stangreta.

— A nie mógł on przez okno zawołać na stróża nocnego, by ten poszedł zbudzić stangreta?

— Pewnie, że mógł. U księcia Czartoryskiego, u którego służył, nimem tu przyszedł, nigdy kamerdyner nie chodził do stajni ludzi budzić. Dopiero w Lipińcu zszedłem na taką poniewierkę.

Radca spojrział na protokółanta okiem wiele znaczącem, ten zaś odpowiedział mu uśmiechem.

Po zamknięciu protokółów radca udał się do ogrodu. Długo chodził po jego alejach cienistych, myśląc o zbrodni, którą badał, i domniemywanych jej sprawcach. Podejrzanie, że nie dopuścił się jej nikt inny, tylko ktoś z najbliższego otoczenia nieboszczki, na chwilę go nie opuszczało. Kto pragnął śmierci tej kobiety? Jużci nikt inny, tylko ten, kto z niej mógł wyciągnąć dla siebie największe korzyści. Hrabia znajdował się w położeniu krytycznem. Długi miał wielkie, dochody niewystarczające. Wiedzieli o tém wszyscy, najlepij zaś sąd. Pani Zielińska, umierając, byłaby prawdopodobnie cały majątek jemu zostawiła, zwłaszcza że krewnych nie miała, ale widocznie hrabia nie chciał tak długo czekać. Wolał tedy, bądź sam, bądź w porozumieniu

z Konradem, przeciąć nić jej marnego żywota. To było więcej niż prawdopodobne. Żeby zaś tém łatwiej dzieła dokonać i ślady po sobie zatrzeć, zamówił sobie umyślnie depezę z Wiednia... Rano Darski przypuszczał, że sprawcą zbrodni był Paliński; teraz, po wysłuchaniu pokojowej i innych domowników, byłby przysiągł, że morderstwa dokonał Tęczyński. A co było motorem tego czynu? Mimo całej niechęci, jaką radca żywił dla ludzi wyższych sfer w ogólności, a dla hrabiego w szczególności, za to, że nie unosił się nad jego przyjacielem, panem Grzywą, nie śmiał nawet przed sobą wyznać, że ręką Tęczyńskiego, gdy ośmdziesięcioletnią staruszkę dusił, kierowała jedynie pozioma chęć zysku. Nie, powiedział on sobie, hrabia nie jest tak podły! Ten człowiek, jeśli mordował, czynił to tylko przez zbytnią miłość dla dzieci, którym chciał majątku przysporzyć i przyszłość im zabezpieczyć.

Stanąwszy na tym punkcie, radca osądził, że znaleźli psychologiczne rozwiązanie pouurój tragedyi, i odtąd tak głęboko w to wierzył, co z początku sam sobie w głowie ułożył, że żadna moc ludzka nie byłaby już jego myśli w inną stronę skierowała.

Ale rozumiał on i to, że na pana, jak Tęczyński, niełatwo się porwać. Można go podejrzewać, można mieć nawet poszlaki, a mimo to trzeba być ostrożnym, gdyż przeciw takiej osobistości mogą świadczyć tylko dowody. A więc o te trzeba się było jaknajprędzej postarać, by potem tém śmieliej w winnego uderzyć.

Radca bał się zaufać własnemu rozmowi. Jeśli w jakim wypadku, to właśnie w tym, należało wezwać ludzi innych, sprytnych, by ci go wsparli. Ażeby ich znaleźć, nie potrzebował długo szukać. W mieście był rewizorem policyi niejaki Kruegler, kolega Darskiego od ław szkolnych, serdeczny jego przyjaciel.

Obadwaj pochodzili z najniższych warstw społecznych i obadwaj własną pracą przez świat się przebijali, ale nie jednakowy los był obu udziałem. Darski ukończył szkoły i został człowiekiem; przeciwnie, Kruegler utknął w wyższym

gimnazyum i po długich staraniach ledwo mu się powiodło zdobyć posadę rewizora policyi. A i tę zawdzięczał tylko Darskiemu, który go gorliwie protegował.

Gdy się obadwaj w jedném mieście znaleźli, dawne węzły przyjaźni bardziéj się zacieśniły. Nie było dnia, żeby się nie widzieli. Kruegler jednak, dobrze to rozumiejąc, że figura, jak on, podrzędna, nie może wciskać się między wyższych urzędników, sam do Darskiego nigdy nie przychodził; zato radca wpadał chętnie do niego, bo tak dobrze, jak u przyjaciela, nigdzie się nie czuł. Ledwie wszedł, zrzucał surdut lub kożuszek, który miał na sobie, kładł się bądź na sofę, bądź na łóżko (Kruegler był kawalerem), jeśli było lato, zdejmował także buty, i w téj pozycyi arcywygodnéj, przypominającéj mu przeszłość szczęśliwą, bo bez przymusu, gawędził z przyjacielem o dawnych lepszych czasach.

A jaka to była rozkosz dla Darskiego, że w rozmowie z tym człowiekiem nie potrzebował krępować się żadnemi względami! Prostackie wyrazy i porównania rubaszne—oto co radca lubił i co za prawdziwe przysmaki poczytywał, których nie wszędzie mógł używać.

Na téj więc osobistości myśl pana Darskiego w téj chwili spoczęła. Jak ogar, gdy wpadnie na trop zwierzyny, pędzi naprzód zacierzewiony, nikogo nie widząc i nie słysząc, tak i radca miał teraz jeden tylko cel przed sobą, a tym było namiętne pragnienie zdemaskowania hrabiego. Lekkomysłnością tedy najwyższą byłoby z jego strony, jeśliby z Lipińca wyjechał, nie zarządzwszy tu nic takiego, coby mogło przyczynić się do odkrycia sprawców zbrodni. Zresztą po jego odjeździe winni mogli łatwo zatrzeć ślady swego czynu. Należało zatem mieć ich wciąż na oku.

Powiedziawszy to sobie, posłał natychmiast konnego posłańca do Krueglera i kazał mu niezwłocznie przybyć do Lipińca. Przed samym wieczorem agent stawił się na jego rozkazy.

Obeszli obadwaj cały dom, badając szczegółowo wszystkie jego wejścia, okna, korytarze i zakątki; pode drzwia-

mi do apartamentu hrabiego stali tak długo, póki ktoś nadchodzący ich nie spłoszył; wymierzyli przestrzeń, dzielącą pokój gościnny od pokoju nieboszczki, słowem uczynili wszystko, cokolwiek wydawało im się ważnem i pożytecznem. A gdy pracy dokonali, poszli do ogrodu.

Tu, pod cienistemi lipami, które od tyłu wieków patrzyły na czystość imienia Tęczyńskich, radca, myśli swoich nie tając przed przyjacielem, powiedział mu otwarcie, kogo podejrzewał. Mówił tak jasno, tak przekonywająco, że w końcu agent wykrzyknął:

— Ależ to on, nikt inny!

— Że on to zrobił, za to ja dam moje gardło; żeby nam zaś nie umknął, ciebie tu sprowadziłem. Będziesz dalej śledził, badał, podsłuchiwał, a gdy hrabia wróci, co za kilka dni nastąpi, wtedy ja znów przyjadę, by go przesłuchać, i kto wie, czy go zaraz nie weźmiemy jak swego. Miej tylko w ten jeden punkt oczy skierowane i nie daj się przez nikogo zbałamucić, a dorobisz się chleba i order dostaniesz.

Właśnie gdy radca tych słów domawiał, na końcu alei ukazał się Konrad. Poznali go mimo oddalenia i zmroku. Umilkli. Tymczasem młody człowiek zbliżył się i zapytał:

— Czy panu radcy będę jeszcze dziś potrzebny, gdyż chciałbym w ważnym interesie pojechać do Krzywego?

— Nie, dziś mi pan nie jesteś potrzebny—odpowiedział szorstko radca.

Chociaż Konrad został tém niemile dotknięty, mówił dalej uprzejmie:

— Mam nadzieję, że pan radca zostanie u nas na noc.

— O nie, nie mogę; ja muszę do domu wracać, jutro mam ważną sesyę w sądzie, ale na mojem miejscu zostawię tu pana Krueglera, który nam pomoże wykryć łotra. Spodziewam się, że mu nie odmówicie dachu i łyżki rosółu.

— Czyż mógłby pan radca coś podobnego przypuszczać?—zapytał Konrad, i zamieniwszy jeszcze z sędzią kilka słów objętych, szybko się oddalił.

Radca mówił teraz jakby do siebie:

— Czy taki grzeczny z niego gospodarz, czy też umyślnie chciał mnie wy badać, azali go zaaresztuję? Na złodzieju czapka gore...

— Sądzisz, że i ten należał do spółki?—podchwycił agent.

— Prawdopodobnie.. W każdym razie trzeba obu mieć na oku.

Wkrótce po tej rozmowie radca wrócił do miasta, nie pożegnawszy się ani z gospodynią domu, ani z jej siostrą.

Mimo to, czy przeczuwał kto w tym dworze, jak straszliwe podejrzenie zrodziło się w duszy radcy i jak tragiczne następstwa miało ono za sobą pociągnać?

Hrabia tymczasem pędził do Wiednia na powitanie starego przyjaciela, z którym stosunki zrobiły się jeszcze serdeczniejsze, odkąd Staś tyle zgryzoty w Nicei im narobił. Niedola łatwiej i ściślej łączy niż szczęście.

Księżę uściskał hrabiego jak brata i nie mógł się nim dość nacieszyć.

— Nie uwierzysz, jak mnie to zmartwiło—mówił,—że musiałem po ciebie telegrafować. Żona mi się rozchorowała na te nerwy nieszczęśliwe, o których my, mężczyźni, nie mamy wyobrażenia. Bóg tam wie, kiedy się to skończy. Ale jak tylko jej się polepszy, zaraz wszyscy do ciebie zjedziemy, bo chcemy raz zblizka zobaczyć, jak wasz kraj wygląda. Tymczasem sprowadziłem cię, mój kochany, gdyż chciałbym się koniecznie od ciebie dowiedzieć, gdzie się twój Staś obraca i jak mu się powodzi.

— Nie pytaj lepiej o niego—odpowiedział hrabia.—Wykoleił się i wątpię, czy z niego jeszcze co będzie.

— Nie bądź zbyt surowym dla niego. Każdy z nas przeszedł w życiu swoje, a jednak jesteśmy dziś ludźmi porządnymi. Szlachcic to nie episyer, wiecznie rachujący a zimny jak woda; szlachcic to wino, które dopiero wtedy dobre, gdy wyfermentuje. Dlatego przestań wątpić o swoim jedynaku, bo zawsze pięknie z jego strony, że czuje skruchę i chce się zrehabilitować.

Słowa księcia były kojącym balsamem dla zboląłego serca ojcowskiego. To samo i on sobie zawsze w duchu powtarzał; jeżeli zaś inaczej mówił, czynił to jedynie z obawy, by mu kto słabości nie zarzucił.

— A teraz pozwól, mój kochany—mówił dalej książę,—bym ci się wytłumaczył z mego postępowania. Człowieka, jak ciebie, najbliższy nawet przyjaciel nie może wzywać telegraficznie, nie mając do tego arcy ważnych powodów. Wrodzona twoja delikatność nie pozwoliła ci o nie dotąd zapytać; ja jednak powiem, nawet niepytany, co właściwie kazało mi być niegrzecznym. Z listów moich, acz w nich otwarcie tego nie pisałem, zapewne musiałeś się domyślić, że moja córka zakochała się na śmierć w twoim chłopaku. Mniemałem, że to przejdzie, ale nie!... Im dalej w las, tym więcej drzew; im dłużej trwa ich rozdzielanie, tym gwałtowniejszą staje się jej miłość. I nie dziwię jej się wcale. Twój Stanisław to kawaler, jakich mało; na świecie niema kobiety, którejby głowy nie zawrócił, gdyby tylko zechciał; a że mojej córce chciał zawrócić, o to nawet pytać nie trzeba... Matka jest za nim, ja także, więc czemu nie mają się pobrać? Rozhulał się, prawda, lecz na wszystko są sposoby. Przez jakiś czas nie damy mu majątku, tylko rentę.

— Mój syn nic już nie ma—wtrącił hrabia.

— Nic nie szkodzi! Za to moja córka będzie miała tyle, że wystarczy nietylko dla niej, lecz i dla męża. Teraz idzie o to, żeby go jaknajprędzej z Ameryki sprowadzić, aby się tam dłużej nie marnował, bo nim sam się namyśli i przyjedzie, moja córka gotowa mi tu w pierw umrzeć z desperacyi.

— Szlachetny jesteś, Hieronimie, bardzo szlachetny!—zawołał hrabia ze łzami w oczach, dłoń przyjaciela ściskając,—nim jednak przyjmę twoją propozycję, zostawię ci jeszcze czas jakiś do namysłu. Łączyć się z bankrutami, mój drogi, to rzecz ślizka, niebezpieczna... Bankrut, tak samo jak tonący, może najsilniejszego człowieka w głąb' pociągnąć i zgubić. Dlatego zastanów się spokojnie, Hieronimie,

nad t \acute{e} m, co chcesz uczyni \acute{c} , bo gdy raz klamka zapadnie, b \acute{e} dzie zap \acute{o} zno...

— B \acute{a} d \acute{z} spokojny, m \acute{o} j stary! Ju \acute{z} ja z nim sobie dam rad \acute{e} , a reszt \acute{e} c \acute{o} rce zostawi \acute{e} !—odrzekł Francuz wesoło.— Rodzice w stosunkach z dzieciami b \acute{l} ad \acute{z} \acute{a} zwykle w spos \acute{o} b dwojaki: albo zbyt \acute{n} \acute{a} ufno \acute{s} ci \acute{a} , b \acute{a} d \acute{z} t \acute{e} ż zupeł \acute{n} em zw \acute{a} tpie \acute{n} iem. Ty \acute{s} popadł w t \acute{e} drug \acute{a} ostateczno \acute{s} ć, kt \acute{o} ra niekiedy bywa gorsz \acute{a} od pierwsz \acute{e} j. Zato ludzie na uboczu stoj \acute{a} cj mają zwykle s \acute{a} d trze $\acute{z$ wy, gdy \acute{z} go \acute{z} adna s \acute{l} abo \acute{s} ć nie zaciemnia. Ja wi \acute{e} c mog \acute{e} łatwi \acute{e} j ni \acute{z} ty twego ch \acute{l} opca os \acute{a} dzić i dlatego, cho \acute{c} by \acute{s} si \acute{e} miał gniewa \acute{c} , powiem, \acute{z} e ci nie pozwol \acute{e} miesza \acute{c} si \acute{e} wi \acute{e} c \acute{e} j do niego. Ale nie!... wida \acute{c} , \acute{z} em si \acute{e} ju \acute{z} zestarzał, bo nie wiem, co plot \acute{e} ... Przecie ja po niego do Ameryki nie poszł \acute{e} , boby to znaczyło, \acute{z} e sam si \acute{e} staram o jego r \acute{e} k \acute{e} dla mo \acute{e} j c \acute{o} rki... Ty zat \acute{e} m, m \acute{o} j kochany, musisz go sprowadzi \acute{c} , a reszt \acute{e} mnie zostawisz.

Wobec tego, \acute{z} e ksi \acute{a} ż \acute{e} m \acute{o} wił zupełnie jasno, dalszy op \acute{o} r hrabiego był niemo \acute{z} liwy. Przystał tedy z rado \acute{s} ci \acute{a} , niecałkiem dobrze utajoną, na propozycy \acute{e} przyjaciela; teraz nale \acute{z} ażało tylko kogo \acute{s} takiego poszukać, ktoby nietylko był got \acute{o} w pojechać do Ameryki, lecz ktoby miał tak \acute{z} e do \acute{s} ć w \acute{p} ływu na Stasia, by go do kraju sprowadzi \acute{c} . W pierwsz \acute{e} j chwili my \acute{s} l hrabiego spocz \acute{e} ła na Antosiu, wszak \acute{z} e niebawem musiał ją porzucić. Wielkie pytanie, czy ten m \acute{o} glby pojechać a \acute{z} tak daleko, zreszt \acute{a} czy chciałby dzi \acute{s} cokolwiek uczyni \acute{c} dla tych T \acute{e} czyńskich, kt $\acute{o$ rych jego stryj poczytywał za najzaci \acute{e} tszych swoich wrog \acute{o} w?

Nim hrabia m \acute{o} gl znaleźć odpowiedni \acute{a} osob \acute{e} , spiorunowała go depesza od zięcia.

Konrad uwiadamał go w s \acute{l} owach tre \acute{s} ciwych, acz kr \acute{o} tkich, jak straszliwy wypadek wydarzył si \acute{e} w Lipi \acute{n} cu, i zaklinał go na wszystko, by skrócił swój pobyt w Wiedniu. Hrabia nie m \acute{o} gl sobie d \acute{l} ugo zdać z tego sprawy, co si \acute{e} stało. Dopiero gdy sobie przypomniał ostatni \acute{a} swoj \acute{e} rozmow \acute{e} z pani \acute{a} Zielińską, j \acute{e} j niepok \acute{o} j i z \acute{l} e przeczucia, musiał uwierzy \acute{c} w smutn \acute{a} prawd \acute{e} , bo widocznie sam B \acute{o} g ostrzeg \acute{a} ł ją przed gro \acute{z} ąc \acute{e} m j \acute{e} j niebezpiecz \acute{n} stwem.

Z depeszą poszedł do księcia. Przyjaciel zmartwił się nie mniej od niego, gdyż pojmował, jaką przykrość ta katastrofa musiała sprawiać ludziom zacnym i powszechnie szanowanym, pod których dachem zamordowana tyle lat przeżyła.

Wyjazd hrabiego do domu był nieodzowny. Przy pożegnaniu z księciem ten rzekł:

— Bądź zdrów, mój stary, i donieś mi jaknajprędzej, czy złoczyńcę pojmano, bo ja tu będę bardzo niespokojny. Gdy się opamiętasz, poszukaj zaraz człowieka, którego pchniemy za Atlantyka, i nie wyjeżdżaj z Lipińca, bo ja tam lada dzień się zjawię. Jak tylko mojej paui się polepszy, zaraz spakuję tłumoki.

Ucałowali się i rozłączyli.

Hrabia, idąc pieszo do swego hotelu, uważał, że jakiś jegomość krok w krok za nim postępuje. Zdawało mu się, że tego człowieka już przedtém gdzieś widział, a tylko nie mógł sobie przypomnieć, gdzieby to było. Mimo to żadne podejrzenie w nim się nie zbudziło. Dopiero gdy nieznanego zobaczył znów na kolei, i to przy kasie, w której bilet kupował, mimowoli w duchu się zapytał: „Czy ten człowiek mnie śledzi?” Wkrótce jednak o nim zapomniał, wsiadłszy bowiem do wagonu, z oczu go stracił.

Jechał, niespokojnie chwili wyglądając, kiedy w domu stanie. Kruegler zaś przez cały czas jego nieobecności zbierał poszlaki, by, gdy przyjedzie, winę mu udowodnić. Na co ten człowiek miał szukać innego zbrodniarza, skoro tak radca jak i on głęboko już wierzyli, że nie mógł nim być nikt inny, tylko hrabia?

Wreszcie dziedzic Lipińca zjawił się w starém gnieździe swoich ojców.

W ślad zanim, jakby przez kogo o tym powrocie wiadomiony, przyjechał radca Darski.

Wysiadł on przed pałacem i pieszo, jak człowiek idący na przechadzkę, minął podwórze. W furcie ogrodowej czekał Kruegler. Radca coś mu szepnął i obadwaj ruszyli w aleję grabową.

— Więc już jest?

— Jest.

— A bardzo był zmieszany, gdy przyjechał?—pytał radca.

— Dosyć. Wprawdzie obserwowałem go zdaleka, bom nie chciał cisnąć się między nich, lecz widziałem, że wypił dwie szklanki wody jedną po drugiej.

— Dwie? Widać, że był wzruszony... A nie słyszałeś, co mówił?

— Rozmawiali po franczku.

— Po franczku? To ważne... Niewątpliwie bał się, że go służba usłyszy i zdradzi.

— A tyś tu zebrał jakie poszlaki?

— Mnóstwo.

— Rzeczywiście? Mów!

— Zaraz, tylko dojdziemy do ławeczki.

Na końcu alei grabowej znajdowało się rondo, oparte o krzewy gęsto rosnące, pośród którego stał stół kamienny, a przy nim ławki. Siedzący za stołem widział aleję od początku do końca, mógł zatem w razie, gdy kto nadchodził, wstać i w bok odejść. Agent policyjny wybrał to ustronie za miejsce swoich zwierzeń.

Gdy przyjaciele za stołem usiedli, Kruegler pochylił się nad uchem radcy i zaczął cicho opowiadać:

— Ze wszystkiego, com dotąd zebrał, jasno wypływa, że zbrodni nie popełnił nikt obcy, tylko ktoś taki, kto z wewnętrznym układem domu był doskonale obeznany. Ślady zbrodni zostały wewnątrz, gdy przeciwnie nazewnątrz wszystkie się urywają.

— Jakież są te ślady?—podchwycił radca.

— Najpierw w piecu, stojącym w pokoju zamordowanej, znalazłem ten oto spis listów zastawnych, do połowy spalony i szczątki zapalek.

Radca wziął kawałek papieru nadpalonego i uważnie zaczął badać znajdujące się na nim słowa i cyfry, spisane widocznie ręką kobiecą.

— Więc co o tém sądzisz?—zapytał.

— Sądzę, że morderca, znalazłszy tę konsygnację, usiłował ją spalić, by nikt nie wiedział, jakie papiery są zrabowane.

— Trafna uwaga!... Bardzo trafna... Cóż więcój?

— W korytarzu, na ścianie, przy drzwiach, prowadzących do sypialni nieboszczki, widać wyraźnie ślad pięciu palców.

— I cóż ztąd?

— Widocznie ktoś, co pociemku wychodził, oparł się o mur i ślad po sobie zostawił, bo palce miał brudne.

— Ale hrabia ma przecie czyste—zauważył radca.

— Zobaczymy—odparł agent.—Zresztą, gdy przerzucił papiery zakurzone, mógł je sobie łatwo powalać.

— A jak wysoko znajduje się ten ślad?

— Na wysokość słusznego mężczyzny.

Radca chwilę podumał, potem zapytał:

— Masz co jeszcze?

— Wszystko, co tu się działo przez czas mojego pobytu, utwierdziło mnie w tém przekonaniu, że ci ludzie coś podejrzewają, a bardzo się boją. I tak od rana do ciemnej nocy byłem podpatrywany, a już najbardziej dręczył mnie stary Paszuta. Ten nie odstępował mnie na krok, a spoglądał na mnie jak na zbója. Pokój mam w oficynie, obok jego izby, więc nawet wieczorami jakieś figury przez okno do mnie zaglądały. Widocznie mnie śledzą. Paliński jakiś czas starannie mnie unikał, dopiero wczoraj przyszedł ni ztąd ni zowąd do mego pokoju i zaczął mnie badać. Pytał, czym żonaty, czy mam dzieci, jakie jest moje położenie materialne. Umyślnie mu powiedziałem, że mam żonę chorowitą, dzieci siedmioro, a dochody bardzo szczupłe.

Radca podniósł głowę i z wielkiem zaciekawieniem wpatrywał się w chytrą fizyognomię swego przyjaciela. W tém miejscu przerwał, pytając:

— I cóż on na to?

— Zaczął nade mną ubolewać i przyrzekł mi przysłać dziesięć korcy ziemniaków.

— Ależ to niezmiernie ważne! Widocznie chciał cię przekupić.

— I ja tak sędzę—odpowiedział agent.—Niemniej ważne jest i to—mówił dalej,—że, według zeznań wszystkich Żydów, mieszkających w dobrach hrabiego, jego stosunki materyalne są złe, prawie rozpaczliwe. Syn narobił kolosalnych długów, które on musiał popłacić, dziś brakuje mu nieraz na opędzenie potrzeb codziennych. Skutkiem tego tak Palińska jak jej siostra chwyciły się handlu, sprzedają masło, założyły kantynę dla robotników kolejowych. Zdaje mi się, że kto z arystokracji na takie bierze się sposoby, ten ma niewiele ambicyi...

Radca słuchał, tarł czoło, rozważał. Pragnął zebrać jeszcze więcej poszlak, obciążających hrabiego, ale Kruegler nie mógł mu ich dostarczyć. Mimo to, po dłuższej naradzie, obadwaj osądzili, że mają ich dosyć.

— Teraz ptaszka przesłuchamy!—rzekł radca, powstając.

Wkrótce po tém, w tym samym pokoju gościnnym, w którym stał Frannś Czapiński, gdy z Konradem pierwszy raz do Lipińca przyjechał, siedział za stołem radca Darski, obok niego protokółista, a naprzeciw nich hr. Tęczyński. W pokoju nie było nikogo więcej. Drzwi były zamknięte. W sieni stał Kruegler.

Badanie odbywało się z wielką systematycznością. Radca pytał powoli, przyczém hrabiemu bystro w oczy patrzył. Hrabia odpowiadał na każde pytanie bez namysłu, krótko i jasno. Przesłuchiwanie poczytywał za rzecz naturalną, bo skoro pani Zielińska tyle lat w jego domu spędziła i w nim zginęła śmiercią gwałtowną, słuszną więc było rzeczą, by on, gospodarz, sądowi to wszystko opowiedział, co o niej bądź wiedział, bądź słyszał. Dziwnemi jednak wydały mu się pytania rady: dla czego owęj nocy, zamiast na stróża przez okno zawołać, aby stangreta zbudził, czynność tę powierzył Dyonizemu? dlaczego właśnie wtedy do Wiednia wyjechał? czemu dziś po powrocie wypił dwie szklanki wody i dlaczego z rodziną po francuzku rozmawiał? Hrabia, trochę zniecierpliwiony, odrzekł sucho:

— Na to trzymam lokajów, bym ich posyłał, zwłaszcza w nocy, gdy tego potrzebuję. Do Wiednia jeżdżę dość czę-

sto, a tym razem wezwał mnie tam do siebie jeden ze starych przyjaciół. Wodę piję, ilekroć mam pragnienie, a po francuzku zwykłem mówić wtedy, gdy nie chcę, by mnie służba rozumiała.

— Tak?—zapytał radca przeciągle i uciął.

Hrabia już się zirytował. Mimo to daleki był jeszcze od przypuszczenia, że go radca podejrzewa. Nie otrzymawszy długo zapytania, powstał i sam zapytał:

— Czy panu radcy będę jeszcze potrzebny?

— W téj chwili nie, ale proszę, aby pan hrabia z domu się nie wydałał, bo może niezadługo będzie mi pan bardzo, bardzo potrzebny.

Słowa ostatnie tak były zaakcentowane, że hrabia wpa-trzył się w niego, myśląc:

— Co to znaczy?

Sklonił się i już wychodził, gdy przy samych drzwiach stanął, i w czoło się uderzywszy, zawołał:

— A to pyszna historia! Wśród tych zmartwień i tego chaosu omal całkiem nie zapomniałem... Pani Zielińska owéj nocy fatalnéj, na kilka godzin przed moim wyjazdem do Wiednia, wręczyła mi cały swój majątek, prosząc, bym go schował do kasy ogniotrwałéj. Zaraz go tu przyniosę!

To rzekłszy, wybiegł do sieni. Radca uśmiechnął się szatańsko, zatarł ręce, i na protokółanta patrząc, szepnął:

— Przycisnąłem go do muru, więc chce się ratować, bo wie, że jeszcze dziś byłbym u niego zarządził rewizyę... A to się złapał!..

Ledwie to wymówił, hrabia znów się zjawił. Biegł szybko, rozpromieniony, i opieczętowany woreczek pani Zielińskiej na stół kładąc, rzekł:

— Chciałem jéj wtedy wystawić kwit depozytowy, lecz ona się temu sprzeciwiała. Chwała Bogu, żem sobie przypomniał, bo doprawdy, to rzecz najważniejsza.

— Pewnie, że najważniejsza—powtórzył radca ze szczególniejszym naciskiem.—Teraz pana hrabiego pożegnám, ale raz jeszcze proszę, byś się pan bez mojej wiedzy nigdzie z Lipińca nie wydałał.

Hrabia, drugi raz to usłyszawszy, poblądł. Zauważył on już przedtém dwuznaczny uśmiech na twarzy radcy, gdy pieniądze odbierał, a to, że młody protokółant wzroku jego unikał, dało mu także dużo do myślenia.

Mimo to krokiem jeszcze spokojnym i pewnym wyszedł do sieni.

Radca przywołał Krueglera.

— Słuchaj—rzekł do niego,—ja natychmiast jadę do sądu na sesyę. W każdym razie okoliczność, że pieniądze wypluł, jest rozstrzygająca... Jutro rano przyjadę tu z prokuratorem, przedtém jednak, a więc w nocy, przyszlę ci dwóch żandarmów. Zatrzymają się oni u wójta, ty zaś sam do nich wyjdiesz i zarządzisz, co należy, by nam ptaszek z klatki nie uciekł. Proszę cię tylko, rób wszystko ostrożnie, żeby się nikt przed czasem nie domyślił, co się święci.

Za chwilę radca był już w drodze.

Tego wieczoru cała rodzina Tęczyńskich była zwarzona. Kobiety czuły, że je oblewała atmosfera duszna, a chociaż nie przypuszczały, by im zkądkolwiek niebezpieczeństwo groziło, nie mogły się zdobyć na swobodniejszą rozmowę. Hrabia trzymał się, usiłował nawet być wesołym i żartować, lecz mimo to często się wzdrygał, jak człowiek, który nagle przypomniał sobie coś niemilego. Nie taił on już przed sobą, że radca go podejrzewał...

Co do Konrada, ten od kilku dni wiedział, że wzrok agenta był skierowany tylko na niego i na jego teścia. Służba, którą Kruegler badał, nie ukrywała przed swoim panem, co ten człowiek pragnął z niej wydobyć.

A więc sąd przypuszczał, że któryś z nich, albo może obaj do spółki, zamordowali panią Zielińską...

Rano przyjechał prokurator w uniformie, z miną wielce urzędową. Ledwie wieść o tēm rozbiegła się po dworze, wszyscy, z wyjątkiem pani Alicyi, Zosi i Paszuty, który z tego, co się działo, sprawy sobie jeszcze nie zdawał, zrozumieli, że nadeszła chwila stanowcza.

Hrabia, ujrzawszy nowego gościa, uprzejmie go powitał. Prokurator zbył go kilku słowy, poczem zamknął się z sę-

dział w pokoju. Hrabia wrócił do siebie. Był bardzo blady, ale nie zmieszany.

Nie upłynęło pół godziny, a zjawił się u niego Kruegler z uwiadomieniem, że sąd wzywa go do siebie. Hrabia gorzko się uśmiechnął, jakby chciał powiedzieć: „Wiem, po co”—i wolnym krokiem zeszedł po schodach.

Gdy przed radcą stanął, ten nie spojrzał na niego, tylko powstał, i wzięwszy ze stołu arkusz zapisany, przeczytał głosem monotonnym, że, na wniosek prokuratora, hrabia jest uwięziony, ponieważ sąd ma podstawę do przypuszczenia, że to on zamordował panią Zielińską.

— Spodziewałem się tego!—jęknął hrabia i bezwładnie padł na krzesło, najbliżej stojące.

— Spodziewałeś się pan?—pochwycił radca.—Więc zapewne czujesz się pan winnym?

— Nie ja się nim czuję, lecz wy mnie za takiego poczytujecie; trzeba zaś było być ślepym, żeby nie zrozumieć, do czego wasze śledztwo zmierzało.

— My spełniamy nasz obowiązek—wtrącił sucho prokurator.

— Więc ten obowiązuje, panowie, więzić człowieka niewinnego? Zważcie, że Tęczyńskich mordowano na ulicach, ale jeszcze z nich żaden dla marnego zysku na nikogo ręki nie podniósł!

Radca uśmiechnął się ironicznie.

— Pozwól, szanowny hrabio—przemówił,—bym tę sprawę w innem świetle wystawił. Jeśli u chłopą znajdą koźuch jego zamordowanego sąsiada, czyż nie padnie na niego podejrzenie, że on się tój zbrodni dopuścił? U hrabiego znalazły się pieniądze pani Zielińskiej, u niój zaś w piecu wyszperaliśmy resztki konsygnacyi jój kapitałów, którą zbrodniarz usiłował spalić, a na której, dziwnym zbiegiem okoliczności, znajdują się wyszczególnione wszystkie te papiery, które były w pańskich ręku. Czyż wobec tego mamy wątpić o pańskiej winie? Nie przypuszczam—kończył radca ze wzrastającym sarkazmem,—byś, panie hrabio, żądał innój sprawiedliwości dla chłopą, a innój dla siebie.

Hrabia słów tych wysłuchał na krześle, mając twarz w dłoniach ukrytą. Gdy radca przestał mówić, czas jeszcze jakiś siedział bez ruchu, nareszcie odetchnął głęboko i, powstając, rzekł:

— Jestem na twoje rozkazy, panie sędzio!

Radca doznał niemilego wrażenia. Myślał, że ten człowiek będzie się szamotał, gniewał, on zaś nad nim się zęcał,—tymczasem hrabia stał spokojny, poważny i majestatem rezygnacyi tak go do ziemi przytłaczał, że radca nie miał odwagi w oczy mu spojrzeć.

— W takim razie pozostaje tylko do sądu jechać—odezwał się prokurator.

Hrabia chciał przemówić, ale wtém drzwi rozwarły się z łoskotem i do pokoju wpadł Konrad. Spojrzał na teścia, na sędziów i wszystko zrozumiał.

— Ojciec!—krzyknął, na piersi mu się rzucając.

— Synu! bądź mężny... widzisz, jam spokojny...

Konrad zwrócił się do radcy i prokuratora:

— Panowie, tu zaszła straszliwa pomyłka! Człowieka niewinnego porywacie, a istotnego zbrodniarza nikt nie śledził! Ja już od dłuższego czasu widzę, że ów agent, którego pan radca tu zostawił, zamiast szukać mordercy, nas podejrzał...

— Jeśli hrabia jest niewinny, natenczas będzie na wolność puszczony—rzekł prokurator poważnie.

— A zwróćcież mi panowie tę cześć, którą człowiek ucziwy już dla tego samego traci, że ręka wasza na nim spoczęła? Nam nie idzie o naszą wolność, lecz o nasz honor!

— Cześć, honor, to romanse, a sąd jest na to, żeby sądził, nie żeby romansował—odparł radca sucho.

— Uspokój się, Konradzie, i bądź pewien, że Bóg nad nami czuwa! On będzie stróżem naszej czci! Teraz chciałbym pana sędziego tylko o jedną grzeźność poprosić. Pozwól mi odjechać do sądu samemu, bez asystencyi, a ja daję ci słowo honoru, że się tam zaraz stawię.

Radca wzruszył ramionami.

— Nie mogę... wszak już raz powiedziałem, że honor to romans, a my nie romansujemy...

— Niech i tak bądźcie! Spełnię więc i ten kielich go-ryczy, bo snadź Bóg żąda, bym pokutował za winy, jeśli nie własne, to cudze!... Ty, synu—dodał do Konrada,—wracaj do kobiet i ani słowem dziś im nie wspominaj, co tu się stało. Na wstyd mają jeszcze dosyć czasu... Zresztą jutro, pojutrze, gdzieindziej się zobaczymy... Bądź zdrow, synu, i ufaj, że Bóg nad nami czuwa!

Z temi słowy objął Konrada za szyję, a gdy w głowę go całował, spadły na nią dwie łzy gorzkie, palące...

— Jestem na pańskie rozkazy!—rzekł, do radcy się zwracając.

Przed pałacem stała karetka. Na koźle, obok stangreta, siedział żandarm; drugi miał zająć miejsce wewnątrz, na-przeciw hrabiego, a Kruegler obok niego.

Gdy hrabia wsiadł do karety, a tuż zanim wsunęli się żandarmi i agent, od oficyn, z rękoma rozwartemi, bez pe-ruki, z głową lysą jak kolano, biegł stary Paszuta i gło-sem ochrypłym wołał:

— Jaśnie panie! Jaśnie panie!

Widoczném było, że chciał koniom drogę zabiedz i na ziemię się rzucić. Starowina dopiero teraz pojął, co jego panu zarzucali i dokąd go wieźli. Radca, domyślając się, co ten człowiek chce uczynić, dał znak stangretowi, żeby ruszył. Paszuta wyteżył resztę sił, ale przed konie nie zdą-żył. Nie mógł także ująć ręką za klamkę od drzwiczek. Chwycił się tylko rozpaczliwie szprychy u koła i krzyczał dalej:

— Jaśnie panie! Jaśnie panie!

Konie ruszyły, starowina padł na ziemię.

IV.

Grabarze.

Nigdy jeszcze miasto obwodowe nie było tak poruszone, jak w owym dniu, w którym radca Darski pod strażą żandarmów przywiózł Mieczysława hr. Tęczyńskiego i osadził go w więzieniu śledczém. W mgnieniu oka, od drzwi do drzwi, od ust do ust przebiegła jakby iskra elektryczna, przeleciał głos po mieście: „Hr. Tęczyński zamordował panią Zielińską.” W pierwszej chwili nikt się nie pytał, czy to możliwe, bo nikt nie przypuszczał, aby błąd popełnił radca Darski, zażywający reputacyi doskonałego sędziego, i żeby prokurator mógł się porwać bez namacalnych dowodów na człowieka, stojącego tak wysoko w hierarchii społecznej, a dotąd nieposzlakowanego. Ludzie stawali na ulicach, fakt ten w najrozmaitsze sposoby tłumacząc. Prostackowie żegnali się, grozą zdjęci, bo kto słyszał, żeby nawet panowie dla marnego grosza ludzi mordowali! Panna Kune-gunda i pani inspektorowa, pierwsza jak wrzecziono, druga nakształt koła młyńskiego, kręciły się po mieście i opowiadały najbardziej drobiazgowo a fantastyczne szczegóły popelnionej zbrodni. Biurokraci, wierzący w paragrafy i swoje nieomylność, robili miny arcy poważne; przed lepszymi

znajomymi ubolewali nad społeczeństwem, które już tak nisko upadło, że najcelniejsi jego członkowie dla zysku nie cofają się przed zbrodnią. Pierwszego dnia byli wprowadzili i tacy, którzy zdania swego całkiem nie objawiali, ale tych nikt nie widział, gdyż ginęli niepostrzeżeni wśród tłumów, oburzających się na zbrodniarza.

W tym dniu urząd telegraficzny był obleżony. Ze wszystkich stron pytano o szczegóły morderstwa, dzienniki zaś domagały się potwierdzenia rozbiegającej się szeroko wiadomości o uwięzieniu Mieczysława hr. Tęczyńskiego.

Ledwie doba upłynęła, a miasto i kraj cały podzielił się na dwa obozy. Jedni nie wątpili, że karzące ramię sprawiedliwości dosięgnęło już winowajcę i niebawem surowy wyrok nad nim spełni; przeciwnie drudzy żadną miarą nie mogli w to uwierzyć, aby potomek znakomitego rodu, zażywający dotąd sławy najlepszej, aby mąż, który wszystkim przyświecał, mógł się dopuścić pospolitej zbrodni. Widocznie zaszła tu jakaś fatalna omyłka, której ofiarą padł hrabia.

W kraju tak argumentowała szlachta i ci wszyscy, którzy bądź pokrewieństwem, bądź sympatjami byli z nim złączeni. W mieście zajęli to stanowisko: starosta, pułkownik, wyżsi oficerowie, radca Życzyński i kanonik. Odkąd ostatni głośno oświadczył, że w winę hrabiego nigdy nie uwierzy, panna Kunegunda stanęła także po stronie obwionego, skutkiem czego znalazła się wobec pani inspektorowej na biegunie przeciwnym, ta bowiem, tak samo jak jej mąż, jak cały urząd podatkowy i bardzo wiele innych osób, pragnących między szlachtą widzieć samych opryszków, była przekonana o winie hrabiego Tęczyńskiego i z upragnieniem wyglądała chwili, kiedy wyrok śmierci na nim spełnią.

Dziennikarstwo rozpadło się także na dwa obozy. Jedne gazety wzywały publiczność, żeby zbyt porywczo wyroków nie wydawała, przeciwnie drugie wystawiały sprawę w takim oświeteniu, jak gdyby uwięzionemu winę już udowodniono.

Z dzienników krajowych wiadomość o zbrodni w Lipíncu i domniemanym jêj sprawcy dostała się do pism zagranicznych, a że był to fakt niezwykły, przeto zainteresował koła najszersze.

We dwa dni po uwięzieniu hrabiego Konrad wynajął w mieście skromne mieszkanie, składające się z trzech pokojów i kuchenki, poczem zjechały do niego pani Alicya z dziećmi i siostrą, mając do gotowania dziewczynę, a do posług Paszutę. Starowina, upadłszy obok powozu, nie poniósł żadnego szwanku na ciele, a gdy usłyszał, że młoda pani wybiera się z panną Zofią do miasta, ażeby być bliżej ojca, tak długo prosił i zaklinał, żeby go zabrały, aż w końcu ulitowały się nad nim i uczyniły, czego pragnął. Zniosły one cios mężniej, niż się tego można było spodziewać. Wiedząc, że ojciec jest niewinny, przyjęły to wielkie nieszczęście jako dopust boży i z wiarą chrześcijańską czekały bożego zmiłowania.

Nikt jednak, ani w mieście, ani w powiecie, nie był tak uszczęśliwiony z tego, co się stało, jak pan Grzywa i jego nieodstępny przyjaciel, pan Lisiński. Ci widzieli w tém karę nieba za krzywdę, jaką hrabia wrzekomo dziedzicowi Strzałkowie wyrządził; a że każde oskarżenie ma dopiero wtedy wartość istotną, jeżeli je podnosi człowiek nieskazitelny, przeto obadwaj ci panowie głośno teraz powtarzali:

— Psie głosy nie idą w niebiosy! Hrabia dlatego wystąpił w radzie przeciw panu Grzywie, że, mając sam serce pełne chuci zbrodniczych, nie mógł znieść człowieka uczciwego na czele powiatu.

Jedni wzruszali na to ramionami, drudzy śmieli się po cichu, wszakże byli i tacy, którzy bądź szczerze wierzyli, bądź tylko udawali, że wierzą...

Pan Grzywa przyjeżdżał teraz codzień do miasta, chodził z urzędnikami na śniadania i wódeczkę przedobiednią, a ilekroć ujrzał radcę Darskiego, unosił się nad jego bezstronnością, wiedzą jurydyczną i odwagą cywilną.

Nazajutrz po uwięzieniu hrabiego zjawił się w Lipíncu o wczesnej godzinie rannej pan Ochsenberg.

Konrad znał go tylko z opinii. Ta zaś mówiła, że Ochsenberg jeszcze do niedawna był głośnym lichwiarzem, wszakże, odkąd wydano ustawę o lichwie, zrobił się uczciwym bankierem, pożyczającym na 12 od sta, czasem także na wyższy procent, ale tylko wtedy, gdy wiedział, że mu się nic złego nie stanie. Konrad słyszał i to, że Ochsenberg był prawą ręką bardzo wielu urzędników sądowych i że sam prezydent Turban zaszczycał go swoim zaufaniem. Człowiek ten wiedział tedy lepiej, niż ktokolwiek inny, co się w sądzie dzieje. Jeśli z sądem łączyły go stosunki poufałej zażyłości, to z zięciem prezydenta Turbana związał się był oddawna węzłami serdecznej przyjaźni. Mówiono powszechnie, tak w mieście, jak w obwodzie, nawet poza jego granicami, że prezydent, wydając córkę za adwokata, zamiast posagu przyrzekł mu swoją protekcję i z przyrzeczenia sumiennie się wywiązał. Nie było prawie wypadku, aby dr. Hocheisen przegrał jaką sprawę; a że każdy woli zwyciężyć, niż zginąć, więc téż coraz więcej klientów cisnęło się do jego kancelaryi, dzięki czemu dochody młodego adwokata szybko się pomnażały. Mówiono także,—lecz kto tam zbadał, ile w tém było prawdy?—że dr. Hocheisen miał nawet wolny wstęp do więzień, i tam, o której chciał godzinie, porozumiewał się ze swymi klientami. We wszystkich tych czynnościach za narzędzie wielce pomocne służył mu Ochsenberg.

Mimo to, gdy Konrad ujrzał go wysiadającego przed pałacem, wcale się nie domyślał, co właściwie tę figurę do jego domu sprowadza.

Żyd, przedstawivszy się, prosił o chwilę rozmowy. Konrad wprowadził go do swego pokoju. Tu Ochsenberg zaczął najpierw biadać nad wielkiem nieszczęściem, które spotkało hrabiego i całą jego rodzinę, a gdy pokilkakroć z rzędu zapewnił Konrada, że tylko przyjaźń bezinteresowna, którą z dawien dawna żywi w swoim sercu dla sławnej rodziny Tęczyńskich, do Lipińca go sprowadziła, przystąpił do interesu i zdaleka, ogródkami, zaczął badać, jakiego właściwie adwokata hrabia chce sobie wziąć do po-

mocy. Konrad na to odpowiedział, że rzecz ta nie jest jeszcze zdecydowana. Chwilowo teść jego prosił o pomoc prawną d-ra Zwierzynieckiego, lecz czy ten nadal zostanie jego obrońcą, jeszcze nie jest postanowione.

— Adwokat Zwierzyniecki nie należy do najgorszych—Ochsenberg na to odrzekł,—ale on już bardzo stary, rozum ma trochę tępy i w sprawach kryminalnych nie ma praktyki. To cywilista... tu zaś trzeba nietylko tęgiej głowy, ale także człowieka bardzo obrotnego, żeby czego nie popsuł... Czy jaśnie pan jest może innego zdania?

— I owszem, zdanie to podzielam w zupełności, choć doprawdy nie wiem, czémeśmy sobie na tyle względów z pańskiej strony zasłużyli, żeś się aż tu trudził, żeby nam je zakomunikować.

— Ja to z czystej przyjaźni robię, słowo honoru, z czystej przyjaźni!—uroczyście zapewnił.—Jaśnie pan aniby uwierzył, jak mnie serce boli, że pan hrabia niewinnie cierpi. Ale co robić? Nieszczęście człowieka nieraz spotyka, człowiek jednak powinien mieć rozum i ratować się, póki czas. Dlatego i panowie niech myślą dobrze o ratunku, bo każdy krok fałszywy może tu bardzo zaszkodzić. Pan hrabia powinien wziąć sobie adwokata z takim rozumem delikatnym, jak dr. Hocheisen.

— Zdaje mi się, że to zięć prezydenta?—przerwał Konrad.

— To najmniejsza... Prezydent jest bardzo honorowy i sprawiedliwy: zięć czy nie zięć, jemu wszystko jedno. Ale dr. Hocheisen to głowa! Jeśli ten sprawę weźmie w swoje ręce, jestem pewien, że pan hrabia wyjdzie z procesu czysty jak złoto... Ja nie wiem, czy dr. Hocheisen choć jeden proces przegrał. On, gdy się czego podejmie, ani śpi, ani je, tylko pracuje. Strach, jaki on ma rozum!

— Nie wątpię, czy jednak mój teść zechce go sobie wziąć za obrońcę, tego nie mogę przewidzieć. W każdym razie zależy to od niego, nie ode mnie.

— Niech jaśnie pan tak nie mówi, bo toby było bardzo źle!—Żyd protestował, rękę do góry podnosząc.—Człó-

wiek, gdy raz w wielkie nieszczęście popadnie, jest jak chory, który nie może się sam leczyć... Jak mu dobry doktor nie pomoże, to on się pewnie sam nie poratuje. Pan hrabia jest bardzo zgryziony, więc czy może on wiedzieć, co dla niego teraz dobre, a co złe? Tylko jaśnie pan potrafi to osądzić swoim delikatnym rozumem.

Konrad się zamyślił. W tém, co Ochsenberg mówił, było dużo racyi.

— Możeby to i nieźle było—rzekł po chwili.—Jutro będę się widział z teściem, a jeżeli on przystanie, pójdę zaraz do d-ra Hocheisena.

— Czemuby nie miał przystać! Jak mu tylko jaśnie pan wytłómaczy, że to będzie dla jego dobra, z pewnością nie będzie się wahał... Ale czemu pan hrabia ma się o tém dowiedzieć dopiero jutro? czemu nie dziś?

— Bo nie wiem, czy mnie dziś do niego puszczą.

— Jak jaśnie pan pomówi wpierw mądre słowo z Hocheisenem, to pewnie puszczą. Sąd wie, że to adwokat bardzo honorowy, więc jak ten czego zażąda od swego klienta, nikt mu nie może odmówić... Gdyby tu szło o jakie szachrajstwo, to co innego, ale my przecie mamy do czynienia z taką czystą sprawą!...

— Skoro pan tak sądzisz, więc jeszcze dziś będę w mieście.

Ochsenberg umiał nad sobą panować. Chociaż te słowa mocno go rozradowały, niczém tego nie okazał. Był jak przedtém spokojny, zimny i tylko uśmiech, który od przyjazdu do téj chwili ozdabiał mu oblicze, świadczył o jego głębokiej życzliwości dla rodziny Tęczyńskich.

— Skoro jaśnie pan chce pomówić z adwokatem Hocheisenem, więc jużem spokojny. Trzeba jednak zrobić to jaknajprędzej, nim sąd weźmie pod rozwagę podanie Zwierzynieckiego, w którym ten żąda, by pan hrabia odpowiadał z wolnej stopy.

— A pan już wiesz o tém podaniu?—zapytał Konrad zdziwiony.

— Przypadkiem się dowiedziałem; a ponieważ Zwierzyniecki nie jest tęgim „kryminalista,” więc prawdopodobnie podanie tak wystylizował, że sąd będzie je musiał odrzucić. Zato jak Hocheisen napisze, warto będzie przeczytać. Strach, jaka to głowa!

Mylił się Ochsenberg, jeśli sądził, że Konrad dotąd nie przejrzał tajnych zamiarów, które go do Lipińca sprowadziły. Ale ponieważ było jego obowiązkiem wszystko uczynić, co teścia mogło wybawić z bolesnego położenia, przeto dalej udawał, że się niczego nie domyśla, i obojętnie zapytał:

-- A nie wie też pan przypadkiem, ileby doktor Hocheisen żądał za obronę?

Ochsenberg wzruszył ramionami.

— Kto to może wiedzieć!... Sprawa bardzo ważna i niesłychanie trudna... Nietylko trzeba bronić, ale należy także szukać istotnego sprawcy zbrodni, bo sąd, jak raz kogo złapie, to się więcej o nic nie troszczy. On mówi: hrabia winien, więc niech hrabia wisi.

— Zapominasz się pan!—przerwał Konrad surowo.

— Przepraszam jaśnie pana, bardzo przepraszam... Ja przez to nie chciałem powiedzieć, żeby jaśnie pan hrabia był winien, Boże uchowaj! przecie ja wiem, że pan hrabia czysty jak złoto; ale nasz sąd na to niebardzo uważa i jemu głowę uciąć tak samo łatwo, jak komu innemu zjeść kromkę chleba z masłem. Gdybym miał tyle tysięcy, ilu niewinnych oni już zasądzi! zarazbym pojechał do Wiednia i kupił sobie pałac na Ringstrasse.

— Piękna historia!—przerwał Konrad.—Pan sądzisz zatem, że adwokat Hocheisen będzie żądał za obronę...

— Mnie się zdaje, że najlepiejby było zgodzić się z nim ryczałtowo. Najgorsi są ci adwokaci, którzy z początku mówią, że zrobią tanio, bo oni smarują potem takie rachunki, że aż człowiekowi robi się ciemno w oczach, i w dodatku jeszcze sprawy przegrywają. Sto razy lepszy taki, który każe sobie dobrze płacić, ale przynajmniej robi, czego się podejmie.

— Więc ileż będzie żądał?—napierał Konrad.

— Sądzę, że jeśli weźmie na początek dziesięć tysięcy, a po wygraniu procesu drugie dziesięć, to powinienby być kontent.

Żyd, mówiąc to, wpatrywał się bystro w twarz Konradowi. Nie dostrzegłszy na niej żadnego wrażenia, zaczął żalować, że zamało powiedział. Czémprędzej poprawił się, mówiąc:

— Mnie się zdaje, że powinienby tyle przyjąć, ale choćby troszkę więcej zażądał, trudnoby się z nim targować.. Przecie to sprawa taka ważna!

— A więc dobrze. Za godzinę pojedę do miasta i zgłoszę się zaraz do sądu z prośbą, bym się mógł z teściem widzieć. Jeśli mnie do niego wpuszczą, a on na moję propozycję przystanie, udam się niezwłocznie do pana Hocheisena.

— Więc jasnie pan nie będzie przedtém u niego?

— Przecie nie mogę przyjmować zobowiązań, którychbym może potém nie mógł dotrzymać.

— Niech i tak będzie... Ja myślę, że jasnie pana puszcza... Ja zaraz jadę, bo mi do domu śpieszno, ale w mieście niech jasnie pan nikomu nie wspomina, żeśmy się widzieli, bo źli ludzie gotowiby sobie Bóg wie co pomyśleć, a ja robię wszystko z przyjaźni, słowo honoru, tylko z przyjaźni! Za same konie, jadąc do Lipińca, zapłaciłem cztery guldeny, a nawet nie chcę, żeby mi jasnie pan zwracał te pieniądze.

— Ależ ja to uczynię z wielką przyjemnością!...—zapewnił Konrad.

— Uchowaj Boże, jabym nigdy nie przyjął! Później, rzecz inna... Jak się wszystko dobrze skończy, wtedy jasnie pan pewnie nie będzie chciał moję krzywdy; ale dziś jabym nie przyjął, bo ja wszystko robię z czystej przyjaźni...

Konrad był wciąż poważny i myśli swoich niczém nie zdradził. Żyd, zadowolony z wyniku tajnej misyi, pożegnał się i odjechał.

W godzinę po nim Konrad do miasta wyruszył.

Wielkie było jego zdziwienie, gdy prezydent Turban, do którego zaraz się zgłosił, nie tylko przyjął go nierównie grzeczniej, niż dawniej, lecz zdobył się nawet na kilka słów współczucia i pytał o zdrowie tak pani Alicyi, jak i panny Zofii. Gdy mu Konrad powiedział, z czem przyjechał, zamyślił się, a po chwili odrzekł:

— Darski to wielki rygorysta; on pod pretekstem, że śledztwo przedwstępne nie jest dotąd ukończone, gotów pana nie wpuścić do hrabiego, ale proszę wnieść podanie na piśmie, ja *ad hoc* zwołam sesję i na niej coś postanowimy.

W pół godziny Konrad wrócił z podaniem, a za godzinę znajdował się już w celi więziennój, dokąd mu towarzyszył radca Darski. Ten, drzwi otwierając, rzekł:

— Proszę tylko panów, byście nie rozmawiali po francuzku z sobą, bo ja nie umiem pańskiego języka.

— Pan radca może być spokojny... Nieprzyzwoitym żaden z nas nie będzie.

Izdebka, w której hrabia siedział, była to zwykła cela więzienna, ciasna, napół ciemna i wilgotna. W każdym atoli razie należała do najlepszych, i hrabia otrzymał ją na wyraźny rozkaz prezydenta, radca bowiem byłby go chętnie umieścił pospołu z innymi więźniami, między którymi było niemało złodziejów i podpalaczy.

Hrabia, acz na widok zięcia doznał gwałtownego wzruszenia, trzymał się mężnie, i lzy, które mu się do oczu gwałtownie cisnęły, skrycie połykał. Uściskawszy Konrada, zapytał o córki i wnuki. Gdy go zięć co do nich uspokoił, zaczęli z sobą rozmawiać o rzeczy w tej chwili najważniejszej, mianowicie o wyborze obrońcy. Konrad zaproponował teściowi adwokata Hocheisena, i, o ile na to obecność radcy pozwalała, starał się jego współdziałanie wystawić w świetle jaknajbardziej korzystném. Hrabia wysłuchał, a gdy zięć skończył, spokojnie odpowiedział:

— Wiesz, Konradzie, jaka jest sprawa... Gdybym w tej chwili wziął adwokata nadzwyczajnego, o którym wieść

niesie, że wszystkie procesy wygrywa, mógłby ktoś powiedzieć, że ja jemu, nie zaś własnej niewinności zawdzięcza moje uwolnienie. Ty mnie, Konradzie, rozumiesz, więc nie będziesz się dziwił, jeśli ci powiem, że zostanę przy adwokacie Zwierzynieckim.

Konrad w istocie go zrozumiał. Nie należał też więcej, a pomówiwszy z nim jeszcze o sprawach majątkowych, pożegnał go i wyszedł z kaźni.

Kiedy to się działo w więzieniu, adwokat Hocheisen w prywatnym mieszkaniu prezydenta przechadzał się po jego gabinecie i rozmawiał z nim żywo, ale lubo niekiedy używał tylko półsłówek, teść musiał go doskonale rozumieć, skoro ani razu nie zażądał bliższego wyjaśnienia.

— Nic nie spuszczyć, nie!—mówił adwokat jakby do siebie.—Sprawa w swoim rodzaju jedyna; druga taka w życiu mojem pewnie mi się już nie zdarzy... Kiedyż więc pociągnę, jeśli nie teraz?

— Trzymaj się, trzymaj!—prezydent z uśmiechem potwierdził.

— O! będę!... Ale jeżeli mnie nie weźmie?

— W takim razie będę sam przewodniczył i podanie odrzucimy; wtedy już z pewnością przyjdzie koza do woza.

— A jeżeli się zgodzi?

— Natenczas dam w senacie przewodnictwo Anlaufowi.

— Ale gdyby mnie wziął, to Życzyński gotówby ojcu bruździć na sesyi. Wszak ten głośno mówił, że Darski bezpodstawnie go uwięził.

— Niech bruździ, już ja mu dam radę, a jego „Qualifikationsliste” tak mu zasmaruję, że jej do dnia sądowego niczem nie obmyje. A to zuchwalec! Ten porwałby się z motyką na samo słońce!

W tém miejscu obadwaj umilkli.

Żli ludzie utrzymywali, że ilekroć adwokat Hocheisen wnosił w sądzie jaką sprawę, prezydent Turban, dla okazania swojej bezstronności, usuwał się zawsze od przewodnictwa w senacie, wszakże równocześnie tak senat składał, że znajdowały się w nim tylko te osobistości, na które

mógł liczyć bezwarunkowo. Wszystkich tych radców nazywano „sztromanami” prezydenta, i tu też leżała tajemnica powodzenia Hocheisena. Chociaż ten człowiek nie odznaczał się wielką wiedzą jurydyczną, ani długoletniem doświadczeniem, był w obwodzie adwokatem najbardziej poszukiwanym, dzięki czemu z pomiędzy swych kolegów miał największe dochody i znaczenie.

Gdy teść i zięć głęboko o czémś myśleli, weszła do gabinetu pokojowa.

— Jest tu Ochsenberg i prosi na chwilę pana mecenas—rzekła do adwokata.

Hocheisen drgnął.

— Pewnie przynosi wiadomości!—szepnął do siebie i krokiem przyspieszonym wybiegł do przedpokoju.

Prezydent przechadzał się dalej po gabinecie i wzrokiem badawczym mierzył drzwi, przez które zięć się oddalił.

W kilka minut adwokat wrócił zaperzony.

— Nie chce!... Powiedział, że mu Zwierzyniecki wystarczy! Skoro tak, niech go więc dyabli biorą!—zawołał pełen oburzenia.

— Hm! hm!—prezydent mruknął pod nosem, i na zięcia nie patrząc, dalej się przechadzał.

Adwokat wziął kapelusz.

— Ojciec idzie wnet do kancelaryi?—zapytał.

— Za kwadrans.

— A sesya kiedy się odbędzie?

— Jeszcze dziś...

Po wązkich ustach Hocheisena przebiegł uśmiech napół gorzki, napół szyderski.

— Niech siedzi, a po kilku miesiącach może zmięknie.

— Hm, hm!—prezydent znów odpowiedział.

— Spodziewam się, że ojciec będzie przewodniczył.

Na tém skończyła się ich rozmowa. Podali sobie ręce. Zięć wybiegł, teść został w gabinecie.

Pokojowa znów weszła.

— Proszę pana prezydenta, Ochsenberg pyta, czy może wejść.

— On jeszcze tu?

— Dotąd nie odszedł.

— Wpuść go, ale jakby się kto o mnie teraz pytał, powiedz, że mnie niema w domu.

To rzekłszy, usiadł na sofie, i wzięwszy książkę ze stołu, zaczął machinalnie kartki w niej przerzucać.

Drzwi się rozchyliły i do pokoju wsunął się Ochsenberg, skulony, uśmiechnięty.

— Jak się masz, panie Ochsenberg?—zapytał prezydent, i rzuciwszy na Żyda tylko jedno spojrzenie, znów dalej książkę przeglądał.

— Ot, mam się, proszę jaśnie pana prezydenta, zwyżajnie jak biedny Żydek. I zarobić dziś trudno, i to, co człowiek dawniej ucziwie zapracował, także niełatwo ocalić.

Z tych słów pan Turban zaraz się domyślił, że Ochsenberg ma interes własny i skarg swoich na upór hr. Tęczyńskiego nie myśli przed nim rozwodzić. Prezydentowi podobała się ta delikatność. Chociaż Ochsenberg był ich obu faktorem, jednakże pan Turban nigdy z nim nie mówił o interesach swego zięcia, nawet udawał, że go one nic nie obchodzą. Żyd nawzajem tak samo przed nim się zachowywał. Grali więc z sobą w ślepią babkę i dobrze im z tém było.

— Cóż pana do mnie sprowadza?—zapytał prezydent łaskawie.

— Nic więcéj, proszę jaśnie pana prezydenta, tylko ta nieszczęśliwa sprawa z aptekarzową. Ja się tak gryzę, że nie mogę ani jeść, ani spać, a żona o mało mi głowy nie urwie. Sześć tysięcy, jaśnie panie, to majątek, to wielki majątek!...

Pan Turban wzruszył ramionami.

— Cóż ja tu mogę poradzić... U nas wygrała.

— Prawda, ale w apelacyi przegrała.

— Może jeszcze pójść do najwyższego trybunału.

— Żeby i tam przegrać!—dokończył, robiąc obiema rękami ruch desperacki.

— Czemu ma koniecznie przegrać?—zapytał zdziwiony prezydent.—Ileż to już razy najwyższy trybunał zatwierdził wyrok pierwszój instancyi, a obalił drugiój? Ci panowie z apelacyi pozwalają sobie rozmaitych sztuczek... Mnie się nawet zdaje, że w tym wypadku Przymkiewiczowa z pewnością wygra w Wiedniu. Jam się jēj sprawą osobiście zajmował i sądziłem ją sprawiedliwie.

— Ja wiem, że jaśnie pan prezydent wydał wyrok i sprawiedliwy i delikatny!—Żyd potwierdził, ustami cmokając.—Ale co ja temu winien—mówił dalej,—że referent w apelacyi tak obalenie wyroku umotywował, że teraz nie pomoże! Czytałem to wczoraj, czytałem, i aż mi włosy na głowie stawały! Ona, jaśnie panie prezydencie, nie wygra, ja wiem, że ona nie wygra!

— Skoro pan wiesz o tém, więc po co właściwie przyszedłeś do mnie?—zapytał zniecierpliwiony prezydent.

— Jabym chciał rady, pomocy, żeby nie stracić sześć tysięcy. Jaśnie panie prezydencie, sześć tysięcy to majątek, to bardzo wielki majątek!..

— A czemu pan się tak boisz?

— Jak tu się nie bać, skoro z całą moją pretensją wiszę w powietrzu? Jam jēj pożyczał głównie na tych trzydzieści tysięcy, które miała dostać, a teraz te pieniądze tyle warte, co śnieg zeszłoroczny. Na aptece jēj męża tyle długów, że nie można już na niěj ani krajcara pomieścić, a innego majątku gdzie u nich szukać? Wprawdzie aptekarzowa ma śliczne meble, dywany, obrazy, srebro, klejnoty, konie i powozy; jakby kto wziął to wszystko do ręki, wyduśiłby z tego sześć tysięcy, może więcęj nawet, ale nim te weksle, które ja mam, będą płatne, inni wierzyciele gotowi wszystko zafantować, a wtedy ty, biedny Ochsenberg, dostaniesz figę!

Prezydent wstał, i książkę na stół rzuciwszy, tak, że się znalazła niedaleko Ochsenberga, zaczął trzeć czoło. Myślał. Po chwili zapytał:

— A kiedy aptekarzowa ma panu płacić?

— Za sześć tygodni.

— Za sześć tygodni? Hm, hm, to termin dość daleki; w tym czasie gotowi pana doprawdy inni uprzedzić... Zaraz, panie Ochsenberg, pójdę zajrzeć do kodeksu. . może się co wyszuka... Żal mi pana, serdecznie żal...

— Jak jaśnie pan prezydent zechce, to mnie pewnie poratuje!—zawołał Żyd rozpaczliwie.

— Proszę się tu chwilę zatrzymać, ja zaraz kodeks przyniosę, bom go w sypialnym pokoju zostawił—rzekł pan Turban, i drzwi za sobą zamknąwszy, udał się do dalszych pokoiów.

W gabinecie Żyd sam pozostał.

Minęła długa chwila, nim prezydent powrócił. Czoło miał zasępione.

— Gdzieś mi sługi kodeks tak zatraciły, że go nie mogłem odszukać. Ale mam drugi w biurze... Przyjdź pan więc wieczorem, a jeśli tylko będę mógł, chętnie panu dopomogę. Przecie nie mogę dopuścić, żeby człowieka uczciwego ludzkie nierzetelni pod mojem okiem krzywdzili.

— A prawda? Ja wiem, że jak jaśnie pan prezydent zechce, pewnie mi pomoże, bo kto ma tu większą władzę, niż jaśnie pan prezydent? W całym kraju nikt nie ma także delikatniejszego rozumu... Żeby taki rok miał!

— Dobrze, dobrze... Bądź teraz zdrow, panie Ochsenberg, a wieczorem zgłoś się, może co wymyślimy.

Żyd przystąpił, pana Turbana w rękaw od surduta pokornie ucałował i wśród głębokich ukłonów wyszedł z gabinetu.

Prezydent stanął przy oknie i dopóty z miejsca się nie ruszył, póki Ochsenberg nie ukazał się na ulicy. Wtedy od okna odstąpił, i zatoczywszy wkóło wzrok badawczy, jak ten, kto się chce upewnić, że go kto nie podpatruje, zbliżył się do stołu i wziął tę samą książkę, którą dawniej przeglądał.

Otworzył.

Między okładką a kartą tytułową leżało kilka biletów bankowych, każdy na 100 guldenów. Przeliczył. Było ich trzy. Szukał jeszcze, lecz nic więcej nie znalazł.

— O, jak ten parch mnie oszukuje!—mruknął z gorzkim uśmiechem, pieniądze do pugilaesu chowając.—Dostanie sześć tysięcy, a tu ledwie pięć procent... Ale może go jeszcze pociągnę...

To sobie powiedziawszy, zrzucił surdut domowy, a przywdział czarny, na dwie strony zapinały, wziął kapelusz, laskę, rękawiczki i krokiem wolnym, jak na tak wielkiego dygnitarza przystało, udał się do sądu.

Przechodnie kłaniali mu się na prawo i lewo, ten i ów rzucił spojrzenie na jego fazygnomię, by się upewnić, czy pan prezydent był dziś w dobrym humorze, czy też w złym humorze. Żydzi, a tych na ulicach było najwięcej, patrzali na niego jak na wielkość, której dotąd nikt nie doścignął. Prezydent szedł poważnie, wyraz jego twarzy był skupiony, a chociaż niejednemu się odkłonił, przed nikim nie stanął, do nikogo słowa nie przemówił.

Tak doszedł do sądu.

Tu umysły znajdowały się w stanie gorączkowego napięcia. Sprawa morderstwa w Lipińcu zaprzętała uwagę wszystkich. Wiedziano, że dr. Zwierzyński w imieniu hr. Tęczyńskiego odwołał się do pełnej rady, prosząc o pozostawienie jego klienta na wolnej stopie. Czy sąd przychylił się do jego żądania? Kto będzie senatowi przewodniczył: sam prezydent, czy jaki radca? Czy zostanie dr. Zwierzyński nadal obrońcą obwinionego? czy może ważne to stanowisko zajmie teraz przy nim adwokat Hocheisen? Takie pytania krążyły z ust do ust; a gdy prezydent, którego z gorączkową niecierpliwością wyglądano, nareszcie w sądzie się zjawił; szmery i szepty ucichły, by zrobić miejsce gorączkowemu oczekiwaniu.

Wkrótce zaczęli radcy ze swych biur wychodzić. Wszyscy szli do głównej sali posiedzeń, znajdującą się obok biura prezydenta. Gdy i on na korytarzu bez czapki się ukazał, łatwo można się było domyśleć, jaka uchwała na sesji zapadnie.

Skoro prezydent przewodniczy, więc Hocheisen nie jest obrońcą Tęczyńskiego, a gdy ten nim nie jest, więc Tęczyński będzie siedział.

Nikt się z tém głośno nie zdradził, ale prawie każdy w duchu tak argumentował. Ostatni wszedł do sali radca Życzyński.

Gdy dokoła zielonego stołu członkowie senatu usiedli, prezydent przystąpił najpierw do przejrzenia jeszcze owego pakietu, który pani Zielińska dała do przechowania hrabiemu, który go wręczył później radcy Darskiemu.

W woreczku znajdowało się niewiele gotowych pieniędzy: ledwie kilkanaście tysięcy w setkach i tysiącach; zato było w nich mnóstwo asygnat rozmaitych banków na łączną kwotę 360,000 guldenów i arkusz białego papieru, zapisany ręką kobiecą, a zatytułowany u góry: „Mój testament.” Prezydent zarządził odczytanie tego testamentu. I okazało się, że pani Zielińska swoim uniwersalnym spadkobiercą robiła w nim Mieczysława hr. Tęczyńskiego z tém zastrzeżeniem, by majątek po niej odziedziczony rozdzielił między obie swoje córki: Alicję i Zofię. Stanisława, którego nazywała „nicponiem, lekkomyślnikiem i utracyszkiem,” wykluczała od spadku zupełnie.

Gdy sekretarz przestał czytać, prezydent wziął testament do ręki, a obejrawszy go na wszystkie strony, położył przed sobą, mówiąc jakby od niechcenia:

— Szkoda, że nie zaczekał, aż umrze...

Kilku radców pochyliło głowy, inni uśmiechnęli się w sposób wiele znaczący. Ci już wiedzieli, jakie są życzenia prezydenta i czego oni sami powinni się trzymać. Radca Życzyński bardzo się zachmurzył i pióro, które trzymał w ręku, gryzł zapamiętale.

Zaczęto rozprawiać nad prośbą, wniesioną przez adwokata Zwierzynieckiego. Darski, wyłożywszy wyczerpująco stan rzeczy, wynarzył przekonanie, że jeśli hr. Tęczyński przed ukończeniem śledztwa będzie z więzienia wypuszczony i będzie z wolnej stopy odpowiadał, natenczas bez najmniejszej wątpliwości zatrze on wszelkie ślady zbrodni, ponieważ człowiek, rozporządzający takim, jak on, majątkiem i mający te, co on, stosunki, znajdzie dosyć narzędzi, powolnych jego skinieniu, które mu dopomogą wybrnąć z matni.

Radca Darski ani chwili nie wątpił, że to hrabia zamordował panią Zielińską, i dziś nie myślał już o udowodnieniu mu winy, jeno o karze, jaką mu za tę zbrodnię wymierzyć należy.

Kilku innych członków senatu było tego samego zdania. Prezydent kierował obradami, ale własnej opinii nie wyrażał. Kiedy nagadano się już dosyta, wtedy zabrał głos radca Życzyński i wśród ciszy głębokiej w te słowa przemówił:

— Sprawa, która się toczy, jest tak ważna, że nie można jej zbywać kilku słowy. Echo tragicznego wypadku odbiło się daleko poza granicami kraju, potomek jednej z pierwszych u nas rodzin jęczy w więzieniu pod zarzutem zbrodni pospolitej. Ale gdyśmy go do kaźni wtręcali, czy zapytaliśmy się wpierw spokojnie, azali to być może, by człowiek dotąd nieposzlakowany, dziedzic wielkiego imienia i pan znacznej fortuny, by taki mąż był zdolny dla grosza targnąć się na staruszkę, od pół wieku pod jego dachem mieszkającą? Sądzę, że gdybyśmy sobie byli zadali to pytanie, hr. Tęczyński nie znajdowałby się dziś u nas w więzieniu.

— Poszlak mamy dosyć, a paragraf wyraźnie powiada, że gúzie są takie poszlaki, tam powinno nastąpić aresztowanie—zawołał Darski.

— Poszlaki nie są dowodami, paragraf zaś to nie sprawiedliwość! Dla zwykłego biurokraty paragraf wystarcza; przeciwnie dla nas jest, a właściwie powinien być niczém, my bowiem stoimy na straży wyższej idei, która się sprawiedliwością nazywa.

— Dobrze kolega powiedział—przerwał Darski szydersko.—*Pereat mundus, fiat justitia!*

— Niezmiernie mnie dziwi, że radca Darski wypowiada sentencję, która jest z gruntu fałszywą—odrzekł pan Życzyński spokojnie.—Wszak w niej tkwi najwyższa niesprawiedliwość, bo skoro wszystko, cośmy na świecie zrobili, istnieje dla dobra ludzkości, więc czy można twierdzić, by dla jakiegóś tam sprawiedliwości abstrakcyjnej świat prze-

padal? Dla kogóżby ona wtedy istniała, czy dla duchów? Sprawiedliwość jest na to, by ludzie w społeczeństwach żyli bezpiecznie i szczęśliwie, i aby dzięki temu świat prawidłowo się rozwijał... Społeczeństwa jednak nie będą szczęśliwe i świat dozna drgań konwulsyjnych, jeżeli my, ilekroć sprawiedliwość wymierzamy, nie będziemy mieli na oku dobra powszechnego. Nim téż sędzia w jaki punkt ugodzi, niech wpierv dobrze zastanowi się nad wrażeniem, jakie cios przez niego wymierzony gdzieindziej wywoła... Pozwólcie, panowie, że myśl moję bliżej określę. Gdybyśmy naprzykład znaleźli się w tém przykrém położeniu, iżbyśmy karząc śmiercią pojmanego opryszka, narazili przez to samo setki innych ludzi na nieszczęście, to czyż prawdziwe poczucie sprawiedliwości nie kazałoby nam wstrzymać się wtedy od spełnienia na nim wyroku śmierci? W Paryżu, jak panowie wiecie, policya rokrocznie notuje po kilkanaście tysięcy takich osób, a znajdując się między niemi deputowani, wyżsi urzędnicy, hrabiowie, nawet księżniczki, które w magazynach dopuszczają się prostych kradzieży. Czemu ich jednak policya nigdy nie aresztuje? Bo zbyt surowe przestrzeganie sprawiedliwości w tym wypadku wywołałoby zbyt wielkie zamieszanie w społeczeństwie, w jednostkach, podkopałoby wiarę w uczciwość ludzką, i zamiast zmniejszyć liczbę złodziejów, raczjby ją pomnożyło, niejeden bowiem twierdziłby wtedy cynicznie: „Skoro tacy panowie kradną, czemu więc ja, biedak, miałbym się tego wstydzić?” Sprawiedliwość, raz jeszcze powtarzam, nie powinna nigdy sprowadzać klęski społecznej. Przypatrzmy się teraz faktowi, który mamy dziś sądzić. Arystokrata wtrącony do więzienia, jak prosty zbrodniarz. W kraju mamy krocie takich, którzy, czy to przez zazdrość, czy wskutek złych żądź i instynktów, nienawidzą tych wszystkich, co nad nim stoją. Ci radziby w każdym szlachcicu widzieć opryszka, w każdym arystokracie złoczyńcę. Jeżeli się zważy, że ład społeczny tego wymaga, by ci, którzy na czele narodu stoją, byli mężami sławy nieskazitelnej, więc téż wszyscy ludzie uczciwi, a najbardziej sąd, o to dbać powinien, żeby nie zaszło nic takiego,

coby ten ład mogło zburzyć, a spokój powszechny zamącić. Spójrzmy teraz dokoła siebie i zapytajmy: Nie stał się dotąd nie takiego, co powszechny spokój mać, a ład społeczny burzy? Ledwieśmy hrabiego uwięzili, wnet odezwały się w kraju głosy, że cała szlachta nawskróś przegniła i że między arystokratami jest więcej zbrodniarzków niż uczciwych. Ogół zaś jaki ztąd wysnuje wniosek? Że skoro najwyżsi są tak zdemoralizowani, przeto ludzkość cała potrzebuje przemiany. Mamy więc świeży pokarm dla wszystkich burzycieli ładu społecznego. Zważywszy to wszystko, wnoszę, byśmy przez wzgląd nie na paragraf, lecz na prawdziwą sprawiedliwość, uwolnili hrabiego z więzienia, gdyż, jak dotąd, prócz marnych poszlak, nie właściwie przeciw niemu nie świadczy, a czyniąc to, oddamy nie tylko moralności społecznej prawdziwą usługę, lecz staniemy również na straży całego sądownictwa; bo gdyby się później okazało, że hrabiego, jak o tém jestem głęboko przekonany, przez omyłkę o czyn zbrodniczy posądzono, klęska, jakąby przez to sąd poniósł, byłaby tak wielką, że nieprędko dałaby się powetować. Zastrzegam się równocześnie uroczyście przeciw przypuszczeniu, które kto wie, czy nie zrodzi się w tej tu sali, jakoby zamierzał faworyzować hrabiego. Przeciwnie, gdy zbrodnia będzie udowodniona, postąpimy z nim jak z prostym zbrodniarzem; ja sam będę wtedy pierwszy przeciw niemu głosował; ale dopóki to nie nastąpi, pozwólmy mu bronić się z wolnej stopy.

Prezydent, który tego dnia był nieco zmęczony, słuchał z początku radcy Życzyńskiego z pewnem zaciekawieniem, ale ponieważ radca nie posiadał daru wymowy, często chrząkał, urywał i lubił się powtarzać, więc prezydent zaczął powoli myśleć o czém inném, i ani spostrzegł, jak mu się powieki zwały. To samo stało się dwóm innym członkom senatu. Dopiero gdy radca Życzyński przestał mówić i w sali grobowa cisza zaległa, dopiero wtedy prezydent nagle się ocknął, lecz, że był mężem bardzo przytomnego umysłu, przeto zorientowawszy się szybko w położeniu, odchrząknął i rzekł:

— Hm... hm... tak więc doszliśmy szczęśliwie do kukuzyi... Czy chce jeszcze z panów kto głos zabrać?

Kilku spojrzalo na zegarki, inni ziewali. Radca Darski przypomniał sobie, że miał tego dnia wybrać się wieczorem ze swoim przyjacielem na borsuki.

— Nikt nie chce mówić, nikt!—odpowiedział prezydentowi.

— W takim razie zarządzimy głosowanie.

Pan Życzyński podniósł się gwałtownie.

— Jak widzę—zawołał,—panowie koledzy biorą tę sprawę zbyt lekko, tymczasem ma ona znaczenie pierwszorzędne. Więc też, nim do głosowania przystąpimy, powinniśmy się jęj ze wszystkich stron dobrze przypatrzeć, aby świat nie powiedział, że zamiast sądzić sprawiedliwie, grzebiemy lekkomyślnie ludzki spokój, ludzki honor, ludzkie szczęście!

— Hm, hm, zostaliśmy nawet grabarzami—bąknął prezydent, kręcąc głową.—Skoro nikt więcej nie myśli mówić, więc zarządzam głosowanie.

I nie trwało ono dłużej niż minutę. Wszyscy radcy, z wyjątkiem jednego Życzyńskiego, oświadczyli się przeciw podaniu. Prezydent nie głosował. Ten czynił to tylko wtedy, gdy głosy dzieliły się na dwie równe połowy.

— Ja ogłaszam *votum separatum*—rzekł pan Życzyński.

— Wolno, wolno, hm... hm...—odparł prezydent, i powstając, zamknął posiedzenie.

Los hrabiego był rozstrzygnięty.

Członkowie senatu, wyszedłszy na korytarz, zaczęli mówić o rzeczach obojętnych. Ten o partyi wista, na którą się wybierał, tamten o synu, który mu się nie chciał uczyć, a jeden wiódł nawet dłuższą dysputę z kolegą o kucharce swojej żony, która gotuje wysmienicie i doskonale prasuje, byłaby też wogóle niezłą służką, gdyby nie żołnierz, który codzień ją odwiedza i niepotrzebnie głowę jęj zawraca.

W godzinę całe miasto wiedziało, jaka uchwała w senacie zapadła.

W tym samym czasie Franuś Czapiński, siedząc na wysokim kozielku wózka na żółto pomalowanego i kierując

wprawna ręką swemi „folblutami,” pędził co koń wyskoczy z Krzywego do Wierzejowa. Od dwóch dni był w ruchu nieustannym. Jak tylko się dowiedział, co się w Lipińcu stało, zaraz tam pośpieszył, aby nieszczęśliwych pocieszyć; gdy mu zaś Konrad wszystko opowiedział, wpadł w gniew niepomamowany.

— Ja tego Darskiego rozniosę! Słowo honoru, porąbię go w kawałki!—wołał, cały się trzęsąc.—W oczy niby nas kocha, a w głębi serca każdego szlachcica utopiłby w łyżce wody! Jam go już dawno przejrzał! Jeżeli się nie opamięta, zbuntuję mną żonę, bo ona mnie słucha jak wyroczni, a w dodatku i jego samego wytłukę jak psa!

Przez półtora dnia Franuś jeździł po okolicy i odwiedził wszystkich sąsiadów, z wyjątkiem jednego pana Grzyw. Chciał on ich skłonić do zbiorowej manifestacyi na korzyść hrabiego, sądził bowiem w dobrej wierze, że gdy całe obywatelstwo stanie w obronie niesłusznie obwinionego, wtedy sąd, przez szacunek dla takiej opinii, będzie musiał hrabiego puścić na wolność.

Ci, którym plan swój przekładał, byli innego zdania. Jedni sądzili, że takie wystąpienie, zamiast pomódz hrabiemu, raczejby mu zaszkodziło, sąd bowiem rozżarłby się za to, że ktoś chce kontrolować jego czynności; inni odpowiedzieli, że im się do takich rzeczy nie wypada mieszać; a byli i tacy, którzy, acz hrabiego nie podejrzewali, jednakże chcieli, żeby sprawa wyjaśniła się bez ich współdziałania, gdyż „w tém wszystkim coś tam koniecznie być musiało.”

Franuś, mocno tém zirytowany, powiedział sobie, że w ostateczności sam jeden do sądu szturm przypuści. Wpierw jednak chciał jeszcze zajrzeć do Wierzejowa, ktoś bowiem mówił mu niedawno, że Goldeifer z żoną do domu wrócił. Zresztą, gdyby i tego nie było, mógł wziąć z sobą przynajmniej pana Trockiego.

Pędził tedy co koń wyskoczy, a w głowie szerokie plany układał.

Wierzejów był opuszczony. Wprawdzie służby było tam pełno, lecz dwór sam był głuchy, smutny. Lokaje nie wie-

dzieli, gdzie w téj chwili dziedzie się znajduje; a chociaź spodziewali się jego przyjazdu, nikt nie umiał powiedzieć, którego właściwie dnia przyjedzie.

Franuś musiał tedy wyruszyć do dworku pana Trockiego.

Gdy do niego dojechał, kazał chłopakowi stać z końmi na drodze, sam zaś wszedł do ogródka.

Tu było także smutno i głucho. Po pięknej Julii, która niegdyś tę ustron ożywiała, ani śladu nie zostało. Okna domu były otwarte. Spojrzał przez jedno do środka. Wewnątrz nie było żywej duszy.

— Hej! jest tam kto?—krzyknął.

Nikt mu nie odpowiedział. Niezmiernie go to zdziwiło. Przecie, jeśli nie było pana domu, musi być ktoś ze służby, czemu więc wszyscy milczą jak zaczarowani? Chwilę postął pod oknem, a nie mogąc się nikogo doczekać, obszedł dom z lewej strony i dostał się w podwórko. I tu nikogo nie ujrzał. Zdawało mu się tylko, że w poblizkiej stajence usłyszał jakiś głos męzki, niezmiernie do głosu pana Trockiego podobny. Staął.

— Hej! uważaj!... Przecie ja tu jestem!—dał się słyszeć tym razem już wyraźnie głos pana Trockiego, nosowy i arystokratyczny.

Franuś wbiegł do stajenki.

Przy pustym żłobie stała krowina, jak szkielet sucha, i tęsknym wzrokiem spoglądała na drabinę, za którą niegdyś miewała słodką koniczynę. Pod krową na małym stołku drewnianym siedział pan Trocki i, skopiec między kolanami trzymając, doił krowinę ze wszystkich sił swoich. Biedaczka podnosiła to jedną, to drugą nogę; ilekroć zaś ból zanadto jęj dokuczył, gniewnie wierzgała.

— Ależ uspokój się, moja kochana, uspokój! Przecie nie byle kto cię doi, tylko sam twój pan!

Tak jęj perswadował, spodziewając się, że przemówi do jęj ambicyi; ona jednak nie brała sobie tego do serca i nogami coraz złośliwiej wierzgała.

Pan Trocki musiał być niezmiernie przejęty zadaniem, które spełniał, skoro, gdy Franuś we drzwiach się ukazał, ani powstał, nawet głowy nie podniósł.

— Co pan robi najlepszego?—zawołał Franuś.—Słowo honoru, jakem Czapiński, jeszcze dotąd nie słyshał, żeby mężczyzna, i do tego szlachcic, karmazyn, sam krowę doił!

— Właśnie dlatego, żem szlachcic, sam doję, skoro nie mam fagasów, żeby mnie w tém zastąpili—pan Trocki spokojnie odpowiedział.—Dobry szlachcic powinien z godnością dźwigać wielki ciężar swego nazwiska. Jak się kochany pan Franciszek miewa?—dodał, ze stolka z trudnością powstając.

— Nieźle, słowo honoru, nieźle... Ale niech mi pan też powie, co go właściwie skłoniło do téj niewieściój czynności?

— Nic innego, kochany panie Franciszku, tylko zupełny brak służby niewieściój. Wszystka ta hołota gdzieś się rozsypała, a za nią powłókl się także mój chłopak. Pieniądze toby brali, ale nie daj im ich jeden miesiąc, a zaraz za służbę dziękują. Ale niech ich licho porwie, już ja sobie sam dam radę! Byle raz ten Goldeifer wrócił... Czy dałbyś wiarę, kochany panie Franciszku, żem się już stęsknił za tym czerwonoskórym?... Nie dziwota, przywyknę pies do budy, przywykłem i ja do niego.

Pan Trocki, z miną skwaszoną, a ze skopcem w rękę, w którym znajdowała się może kwaterka mleka, zabawnie wyglądał. Franuś zrobił także spostrzeżenie, że od ostatniego z nim widzenia mocno przychudł i nadzwyczaj spoważniał.

— Wejdzimy może do pokoju?—ośmielił się go zapytać.

— Ależ ma się rozumieć... ja kochanego pana zapraszam nawet na kawkę, którą zrobimy sobie sami, jak przystało na mężów, umiających szanować klejnot szlachecki. Niech hołota nie myśli, że szlachta kiedykolwiek się upokorzy... Proszę kochanego pana, bardzo proszę...

Weszli do pokoju i gospodarz zajął się natychmiast ugotowaniem kawy. Znalazła się maszynka, spirytus, kawa mielona; nie upłynęło pół godziny, a wszystko było gotowe.

Gdy pan Trocki pił kawę z wielkim apetytem, a Franuś udawał, że mu nadzwyczajnie smakuje, choć mleko tak w niej było przypalone, że ją ledwie mógł przełknąć, zaczęli rozmawiać o tém, co jeszcze tego samego dnia chciał Franuś uczynić.

— Pójdziemy do Darskiego, powiemy mu, że albo oszalał, albo ma na oczach kataraktę, skoro mógł taki błąd popełnić; jeśli nie przejrzy, wpłyniemy nań przez żonę, a gdyby i to nie pomogło, wywołam taki skandal, że o nim cała Europa będzie mówiła. Słowo honoru, jakem Czapiński!

— Rób, kochany panie Franciszku, co uznasz za stosowne; ja cię poprę, o ile to będzie w mojej mocy; ale gdy zaczniesz robić skandale, przestań na mnie liczyć, bo ci ludzie gotowiby nie uznać naszych dobrych chęci i mogliby nas jeszcze do kozy wpakować.

— Prawda... prawda—potwierdził Franuś.—Skobliwi są zdolni do wszystkiego.

— Ja temu mądrymu radcy tylko tyle powiem—rzekł po namyśle pan Trocki,—że chyba człowiek z rozumu obrany może przypuścić, aby szlachcie starą babę dusił, i to dla pieniędzy. Tylko ten, kto nie zna całkiem naszej natury, może w podobny nonsens uwierzyć. Potoccy topili niewiasty, jeśli im zawadzały, Kalinowscy strzelali baby na drzewach, ale dotąd żaden starych nie dusił... Prawda, panie Franciszku?—zakończył, dwuznacznie się uśmiechając.

— Ależ święta prawda!—potwierdził Franuś.—Jedźmy więc, póki czas, aby zrobić, co się da!

— Dobrze, jedźmy... może tymczasem wróci kto z téj hołoty, która mnie tak zdradziecko opuściła.

To powiedziawszy, pan Trocki ubrał się, a pozamykawszy okna i drzwi, żeby jaki gość nieproszony nie zakradł się do jego mieszkania, odjechał z Franuśem do miasta.

Gdy przyszli do radcy Darskiego, ten przyjął ich rzwartemi ramionami, jak starych a dobrych przyjaciół, i nie mógł się przed nimi dość nabiadać nad losem nieszczęśliwego hrabiego. Jeżeli go nwięził, uczynił to jedynie na kate-

goryeczne żądanie prokuratora, któremu dlatego nie mógł się oprzeć, że paragraf stanowczo przeciw hrabiemu przemawiał.

Ach! ten paragraf! Czegoby on nie dał za to, żeby mógł zawsze sądzić według sprawiedliwości, nie zaś według zimnego paragrafu. Ale, choć tego nie chce, musi się kodeksu trzymać, inaczej naraziłby się na śledztwo dyscyplinarne. Radca dalej opowiadał, że na sesyi przemawiał gorąco za pozostawieniem hrabiego na wolnej stopie, wszelako jego koledzy sprzeciwili się temu w sposób tak stanowczy, że o ich pokonaniu nawet mowy nie było.

— Niestety, wielkie nieszczęście!—kończył, głębokim współczuciem przejęty;—ale da Bóg, że wkrótce wszystko się zmieni. Chociaż do biura nie potrzebuję już iść, mimo to, aby wam okazać, jak bardzo ubolewam nad losem hrabiego i jak według sił radbym mu dopomódz, przesłucham go jeszcze dziś, aby śledztwo czémprędzej ukończyć, co gdy nastąpi, będziemy go mogli łatwo wypuścić za kaucyą.

Franuś, acz od dłuższego już czasu radcę o skrytą nienawiść do szlachty podejrzewał, słysząc go teraz, powiedział sobie w duchu, że jego posądzenie było niesłuszne, ponieważ tylko człowiek nawskróś ucziwy mógł tak jak radca mówić, czuć i myśleć. Pan Trocki był także zadowolony. Ten, odchodząc, prosił tylko gospodarza, żeby słowa dotrzymał i śledztwo kończył, gdyż było to prawdziwą hańbą dla całego świata, że taki zacny karmazyn w więzieniu jęczy.

Radca, gości pożegnawszy, wymknął się bocznem drzwiami z domu i krętą uliczką dostał się do mieszkania Krueglera. Tu miał broń i amunicyę. Opowiedziawszy przyjacielowi swoją rozmowę z Franusiem i jego towarzyszem, tak zakończył:

— Wpierw zje dyabła rogatego, nim go puszcę! Za taką sprawę czekają nas ordery... Zresztą niech ich tam wszystkich szlag trafi, a my tymczasem chodźmy na borsuki!

I wyruszył na całą noc do poblizkiego lasu.

Gdy Franuś i pan Trocki z pokoju radcy wychodzili, radczyni, która od swego famulusa dowiedziała się o ich przybyciu, zastąpiła im drogę w sieni, prosząc, aby raczyli u niej chwilę odpocząć. Franuś aż do ziemi przysiadł, tak elegancko jęj się uklonił i potrzykroć powtórzył, że „całuje jęj ruci,” pan Trocki zaś oblizal się na myśl, że radczyni może ich zatrzyma na kolacyę, która, ilekroć zostawał na niej kto z obywatelstwa, była u radczyni zawsze doskonała.

Nie omylił się stary wyga. Chwileczka, na którą ich zaprosiła, przeciągnęła się do późnego wieczoru, dzięki czemu przy herbacie zjawiała się kaczka z tak wysmienitym kompotem, jakiego pan Trocki nie jadł od wyjazdu Gold-eifera za granicę, i pasztet z dziczyzny, wprawdzie już odgrzewany, lecz jeszcze doskonały, sos bowiem, którego radczyni sama doglądała, dodał mu świeżości i smaku.

Pan Trocki, brodę sobie podwiązawszy, jadł za dziesięciu i wciąż językiem mlaskał, a ledwie półśłówkami mieszał się do rozmowy, którą z wielkiem ożywieniem wiódł Franuś z gospodynią domu. Rozprawiali o tém, czém w chwili obecnej całe miasto było zajęte.

— Nie, ja w to nigdy nie uwierzę, żeby hrabia mógł taką zbrodnię popełnić!—raz po raz radczyni zapewniała.— Tu zaszła jakaś omyłka, brzydka omyłka!

— I jam tego zdania—potwierdził Franuś.

— A pan Trocki co na to?

— Nieinaczęj, pani dobrodziejko, nieinaczęj... Ktoby tam osmdziesięcioletnią babę dusił?... Ale ta kaczka wysmienita! Czy to własnego chowu?

— Własnego. Ja drobiu mam dosyć i karmię go doskonale, bo nie żałuję czegoś dobrego ani sobie, ani gościom... Wspominałam o tém mężowi—ciągnęła, do Franusia zwrócona—ale on nie chciał mnie słuchać. Już to mężczyźni myślą, że tylko oni wszelkie mądrości pojedli, a przecie i babski rozum coś wart. Czy nie tak, panie Franciszku?

— Ach! któżby temu śmiał zaprzeczyć?—młodzieniec z emfazą zaprotestował.—Gdybyśmy zawsze szli za zdaniem

naszych pań i bogiń, nie popełnialibyśmy błędów i byli-
byśmy szczęśliwsii! Słowo honoru na to daję!

— Jak to zaraz poznać światowca i szykowca!—za-
wołała radczyńni z uniesieniem.—Gdyby wszyscy mężczyźni
byli tego co pan zdania, świat inaczejby wyglądał. Ale
niechby kto coś podobnego powiedział memu Michałowi,
miałby się z pyszna! Onby się gotów porwać zato do bicia.
Ach! nie uwierzy pan, ile ja z nim znoszę!.. Doprawdy, to
już nie do wytrzymania. Dla niego kasyno, polowanie, Grzy-
wa i Kruegler wszystkiem, a żona to nic!.. Jeśliby pra-
wdą było, co ludzie mówią, doprawdy godzinybym z nim
dłużej nie żyła.

— Co mówią ludzie?—Franus ciekawie bardzo pod-
chwycił.

— Dziś była u mnie panna Kunegunda, siostra naszego
kanonika, i tyle mi nagadała, że mnie aż głowa dotąd boli.
Otoż nietylko ona sama, ale także kanonik, starosta, pułko-
wnik i bardzo wielu innych jest przekonanych, że Michał
uwięził hrabiego bezpodstawnie, jedynie dlatego, że się
chciał zemścić za Grzywę. Ach! gdyby to się sprawdziło,
umarłabym ze wstydu! Chciałam żyć z obywatelami, bo
przecie kto ma dzieci i czuje pieniądze w kieszeni, ten
może bywać, gdzie mu się podoba, a teraz przez niego go-
towo się wszystko urwać! Doprawdy, jabym takięj hańby
nie przeżyła!

— Niepotrzebnie się pani dobrodziejka alteruje—Fra-
nus jęj perswadował.—Choć i jam już słyszał coś podobne-
go, jednak w to nigdy nie uwierzę. Słowo honoru, taka
zemsta byłaby nietylko nizezemną, ale i nieroztropną, bo
choć się teraz na hrabi zmełło, zato na radcy pewnieby
się skrupiło.

— Niewątpliwie!—zawołała radczyńni.—Jakby to się
sprawdziło, raz jeszcze powtarzam, godzinybym z nim dłużej
nie żyła. A ciekawam, jakby mu potęm był! Majątek za-
brałabym, bo to mój, on zaś musiałby z pensyi dzieci utrzy-
mywać. Nie wiem, czyby mu wtedy wystarczyło na kasyno
i na polowania! A panu co się zdaje?—dodała, do pana

Trockiego się obracając:—może to być, co siostra kanonika mówiła?

— Może i nie może... jak czasem!—odpowiedział zapytany, a ponieważ wątku rozmowy nie słyszał, bo był pasztetem zajęty, więc prędko zagadał:—Czy ten pasztet z kuropatw, czy ze słomek?

— Może panu nie smakuje?

— Ależ przeciwnie! Wyśmienity, przewyborny! Dawnom już takiego nie jadł, lecz po smaku nie mogę ptactwa rozróżnić.

— Są w nim kuropatwy, są i słomki.

— Więc się nie myliłem!—zawołał pan Trocki, nad wyraz tём uszczęśliwiony, że jego talent kulinarny tak świetny złożył dziś egzamin.—Wracając zaś do hrabiego—mówił dalej, gdyż nie wątpił, że hrabią jego towarzysze byli zajęci,—jestem zdania, żeśmy nie powinni zbytecznie niepokoić się jego losem, ponieważ prędzej lub później prawda, jak oliwa, na wierzch wypłynie.

— I ja się tego spodziewam—radczyni z westchnieniem odrzekła;—lecz gdyby się przytём okazało, że mój mąż tu zawinił, odwołałabym się do ludzi uczciwych, by ci wzięli mnie pod swoją opiekę, bo, doprawdy, wstydby mi było na dał Darską się nazywać!

To powiedziawszy, przysunęła się bliżej do Franusia i takie na niego rzuciła spojrzenie, że on, acz „szykowiec,” zamyślił się i w duchu zapytał: Dokąd baba zmierza?

Na jego szczęście pan Trocki, resztkami pasztetu zajęty, nic nie widział.

Kiedy oni, przy kolacyi siedząc, roztrząsają sprawy bieżące, w mieszkaniu pani inspektorowej niemniej ożywiona toczy się rozmowa.

Pan Tusowicz chodzi po pokoju, i paląc fajkę na długim cybuchu, żonie, która siedzi na sofie, półgłosem odpowiada.

— Więc doprawdy to on zabił?

— Ależ on.

— I co mu za to będzie?

— Powinien wisić, ale być może, że się urwie z szubienicy. Wiesz przecie, co mówi niemieckie przysłowie: „Małych złodziejów wieszają, wielkich puszczają.” Choćby się jednak wykręcił, zawsze ta historia tyle go będzie kosztowała, że przez nią z pewnością zbankrutuje. Przystawię i ja mu stolka.

— Cóż myślisz czynić?—żona ciekawie zapytała.

— Znalazłem dziś w papierach, że z dóbr swoich winien przeszło siedm tysięcy guldenów w podatkach, a ponieważ gotówki tam nie ma, więc w tych dniach wszystko mu zafantuję. Miałbym także ochotę sekwestracyę mu zaprowadzić, lecz starosta będzie jój przeciwny. Ten zawsze trzyma z arystokratami.. My, z urzędu podatkowego, jesteśmy sprawiedliwsi. Skoroś, bratku, winien, płać! Zafantuję go, zafantuję!—pan Tusowicz powtórzył i z wielkiego zadowolenia ręce zatarł.

— Jak widzę, tyś na niego bardzo zażarty—zauważyła żona.

— Zażarty nie jestem, ale i kochać go nie mam za co. Czyż to jemu kiedy przyszło na myśl, że w mieście żyje jakiś tam Tusowicz? Drzewa w zimie nigdy nie przysłał, konie moje jego owsa nawet nie wachały, a twoja krowa ani wie, jak siano z Lipinca smakuje. A może zaprosił mnie na obiad lub na polowanie? Skoroś mnie nie znał, więc i ja ciebie nie będę znał. Zafantuję go, zafantuję, a jak tak dalej pójdzie, to teraz wszyscy wierzycciele z pewnością się ruszą, cały jego Lipiniec z rąk mu wyleci.

— I kupi go Niemiec albo Żyd—żona dokończyła.

— Niech kupuje sam lucyfer! mnie to nic nie obchodzi. Ja mam tylko sumiennie przestrzegać, żeby podatki do kasy regularnie wpływały, a reszta mnie nie obchodzi. Grzywa da mu także za swoje! Ciekawym...

Pan inspektor nie dokończył, bo w téjże chwili drzwi się rozchyliły i w nich ukazała się uśmiechnięta twarzyczka panny Kunegundy.

— Czy wolno? nie przeszkadzam?

— Panna Kundzia! jakże mnie to cieszy, że panią widzę!—zawołała gospodyni domu, z sofy się zrywając.—Prosimy, bardzo prosimy! Mój mąż wybierał się właśnie do kasyna. Byłabym się sama na śmierć nudziła.

— Ja tylko na chwileczkę, kochana pani, na krótką chwileczkę—rzekła panna Kunegunda, do pokoju wchodząc.—Pana inspektora nie zatrzymuję, bo wiem, że preferansik przyjemniejszy od naszej konwersacyi.

— Ja tego bynajmniej nie twierdzę—odrzekł inspektor;—i gdyby nie to, żem się obiecał na partyjkę, zostałbym z wielką przyjemnością.

— Uwalniamy pana, uwalniamy!

Inspektor skłonił się i wyszedł. Panna Kunegunda usiadła obok pani inspektorowej.

Z początku, wśród głośnych „achów” i „ochów” mówiła o sprawie hrabiego, wystawiając ją w świetle dla niego jak najbardziej korzystnem, gdyż zamiarem jej było zmienić opinię inspektorowej, co w znacznej części już jej się udało, a gdy o niej wszystko powiedziała, zwróciła się w inną stronę.

— Czy zgadłaby też, kochana pani, co dziś przyszło do sądu?—zapytała, robiąc minę tajemniczą.

— Ani się domyślam.

— Jest coś nowego o Goldeiferze.

— O tym? Czyżby i on kogo zabił?

— Jeszcze gorzej! jeszcze gorzej!

Pani inspektorowa z wielkiego zaciekawienia usta otworzyła.

— Jeszcze gorzej? Więc może sam się powiesił?

— Jeszcze coś gorszego: Goldeifer wniósł podanie o rozwód!—zawołała panna Kunegunda, w dłonie klaszcząc.

— O rozwód?—powtórzyła inspektorowa.

I cicho się zrobiło, jak po gromie.

— Tak jest, zażądał rozwodu. Mówiłam o tém z referentem... może sobie kochana pani wyobrazić, jak mnie ta rzecz zaciekawiała. Ale referent nieznośny nudziarz, ani

sposób z niego co wydobyć. Ledwie tyle powiedział, że on żąda rozwodu, nie ona.

— Ale jaki tego powód?

— Nie innego, kochana pani, tylko to, com dawniej mówiła... Połapał się i nie chce z nią żyć.

— Ale zato będzie jój musiał zapłacić czterdzieści tysięcy, zastrzeżone w intercyzie ślubnej.

Panna Kunegunda drugi raz w ręce klasnęła.

— Prawda, zapomniałam! Toż go złapała!... Boże! Boże! wszak to Sodoma i Gomora!... Uczciwój panience podobna sztuka pewnieby się nie udała, ale takim wszystko wolno... Oszuka i jeszcze pieniądze weźmie. Ja już idę, bo się bardzo śpieszę, ale jeśli kochana pani przyjdzie jutro na mszę ranną, to może jój będę mogła udzielić nowych szczegółów... Aha, jeszcze coś. Idąc tu, spotkałam Ochsenberga, jak się skradał do mieszkania prezydenta. Ręczę, że poszedł się go radzić, co ma robić z aptekarzową. Bo nie wiem, czy kochana pani słyszała, że aptekarzowa jest już całkiem zgotowana.

— Mój mąż, który wie wszystko, opowiadał mi właśnie wczoraj, że u niej katastrofa lada dzień wybuchnie.

— Nastąpiło, com przepowiadała. Kto się wynosi, będzie poniżony!—panna Kunegunda westchnęła.

— Chwała Bogu, że choć w tym wypadku sprawiedliwość tryumf odniosła!—pani inspektorowa szepnęła, wzrok dziękczynny do góry podnosząc.

— Dobranoc kochanój pani!

— Dobranoc!

Panna Kunegunda wybiegła i, mimo zapadających ciemności, puściła się jeszcze w głąb miasta.

Że spotkała Ochsenberga, było to zgodne z prawdą: Żyd, stosując się do polecenia prezydenta, zgłosił się do niego.

Prezydent powiedział mu, że tylko w tym wypadku będzie mógł liczyć na powodzenie swój sprawy, jeśli mu burmistrz dopomoże.

— A dobrze pan z nim?—zapytał prezydent.

— Czy ja z nim jestem dobrze?—Ochsenberg takim tonem powtórzył, jakby się dziwił, że o coś podobnego prezydent mógł go pytać.—Ochsenberg jest dobrze ze wszystki^{em} państwem... My z burmistrzem żyjemy jak dwaj bracia. Jeśli jeden dzień u niego nie jestem, zaraz po mnie posyła.

— Skoroś pan z nim tak dobrze, więc postaraj się, by ci na piśmie poświadczył, że Przymkiewiczowa chce z miasta uciec i zamierza wywieźć swoje ruchomości. Mając w ręku taki dokument, wniesiesz prośbę do sądu, by ci pozwolił na tymczasowe fantowanie, a sąd, myślę, prośby nie odrzuci.

Żyd nie posiadał się z radości.

Ocalił sześć tysięcy!

V.

Z a o c e a n e m.

Antoś po widzeniu się z Zosią zajął się niezwłocznie wykonaniem swego planu. Nie miał żadnych trudności. Stryj, jakkolwiek go męczył, od ostatnich awantur rzadko się z nim widywał, a po odmowie, jaką otrzymał na swoją propozycję, by Antoś Konrada wyzwał, był nawet bardzo zagniewany. Co do pana Lisińskiego, ten do Antosia nigdy nie miał szczególnego nabożeństwa, teraz zaś, solidaryzując się ze swoim dziadkiem i dobrodziejem, unikał go bacznie, a ilekroć się spotkali, spoglądał nań jak na wroga.

Antoś niewiele sobie z tego robił. Postanowienie jego było niezłomne, chwilowe zatem przykrości nie robiły na nim żadnego wrażenia. Uporządkowawszy swoje rzeczy, zamknął się i napisał list następujący:

„Kochany stryju dobrodzieju! W przededniu wyjazdu mego ze Strzałkowic, który uważam za niezbędną, poczynając za swój obowiązek wytłumaczyć stryjowi ten krok niezwykły, który niejednemu wyda się może desperackim, lecz który ja uważam za konieczny.

„Niejednokrotnie mówiłeś mi, kochany stryju, że mężczyzna w moim wieku powinien już zajmować jakieś stano-

wisko w świecie. Twierdzeniu temu przyznaję całą słuszność. Człowiek, jak ja, młody, zdrow i z ukończonemi studjami, niech idzie w świat i chleba szuka. Gdy taki, zamiast pracować, żyje jak pasożyt, przy krewnych wisząc, staje się istotą pożałowania godną. Zrozumiawszy to nareszcie, szkoda tylko, że nieco zapóźno, postanowiłem wywalczyć sobie samodzielne stanowisko, a gdy mi się to powiedzie, nie wątpię, kochany stryju, że wtedy przebaczysz mi wyjazd terażniejszy, bo już nie będziesz potrzebował mnie się wstydzić.

„Nie wiem, zaiste, kochany stryju, jak ci podziękować za dobrodziejstwa, któremi osypywałeś moją matkę i mnie od samój kolebki. Że wdzięczność czuję głęboką, to Bóg widzi najlepiej, więc też gdziekolwiek się znajdę, myśli moje będą zawsze w Strzałkowicach i do każdego pacierza dołączę szczerą prośbę, byś, drogi stryju, żył jeszcze długo i szczęśliwie.

„Nie zapominaj, kochany stryju, o mojej biednej matce, ja bowiem jeszcze jakiś czas nie będę jej mógł dopomagać. Przebacz mi, jeśli czemkolwiek zawinił przeciw tobie i kochaj swego siostrzeńca, który z wdzięcznością całuje twoje dobroczynne ręce.— Antoni.”

List zostawił w pokoju na stole, rzeczy najpotrzebniejsze skreślił nakształt płaszcza wojskowego, ubrał się w uniform, i dosiadłszy wczesnym rankiem, gdy jeszcze wszyscy spali, ukochanego wierzchowca, puścił się najkrótszemi drogami do tój miejscowości, gdzie stał jego pułk.

Wyjechawszy za bramę, rzucił jedno spojrzenie na ten dwór zaniedbany i podwórze wiecznie zaśmiecone, tęskny wzrok puścił w dał, ku Lipińcowi, westchnął, zaciął wargi, koniowi wbił obie ostrogi i jak szalony pomknął ku zachodowi.

Wieczorem tegoż dnia stanął na miejscu.

Chociaż był porucznikiem rezerwowym i ledwie czternaście dni co rok w pułku spędzał, mimo to między oficerami w czynnej służbie miał kilku serdecznych przyjaciół i ci z uniesieniem go powitali. Chcieli go nawet dłużej u siebie

zatrzymać, Antos jednak nie dał się skusić. Sprzedawszy pułkownikowi, który właśnie szukał dobrego konia, swego wierzchowca, pożegnał się z przyjaciółmi i najbliższym pociągiem kolei żelaznej wyjechał do Wiednia, nikomu się nie zwierzywszy ze swych planów.

Celem jego podróży, jak to już wyznał Zofii, była Ameryka. Tam tylu ludzi porobiło miliony, czemu by więc on jeden nie miał sobie wywalczyć stanowiska niezależnego, może i majątku, zwłaszcza że miał studia politechniczne, a z temi nikt jeszcze za Atlantykiem nie zginął. Z ziem amerykańskich pociągała go najbardziej Brazylia, a to z dwójakiego powodu. W ostatnich czasach czytał niejednokrotnie, że ten bogaty kraj zaludnia się coraz bardziej europejskimi przybyszami, którym tam zakładają kolonie, budują miasta i kolejami żelaznymi przecinają tak stepy, jak puszcze leśne; prócz tego spodziewał się tam zastać Stasia, do którego formalnie tęsknił. Kochał go zawsze, ale odkąd pokochał jego siostrę i z jej ust usłyszał, że nie był jej obojętny, dawna przyjaźń dla kolegi zmieniła się prawie w namiętność, w rodzaj jakiegoś kultu, którego ani bliżej określić, ani nawet zrozumieć nie umiał. I nie można mu się dziwić. Bracia istot przez nas ukochanych są nam zawsze drodzy...

Pędził więc z bijącym sercem nad brzegi oceanu.

W Wiedniu musiał się kilka dni zatrzymać. Potrzebował zmienić suknie i pieniądze, prócz tego należało się zaopatrzyć w pasport.

Stolica naddunajska nie miała dla niego nigdy szczególniejszego powabu. Nudził się więc śmiertelnie i z utęsknieniem wyglądał chwili, gdy wsiądzie do wagonu.

Dnia pewnego udał się do Prateru.

W głównej alei, w której zatrzymują się powozy i kabriolety świata wytwornego, nie było dużo osób, więc z tém większą przyjemnością mógł się po niej przechadzać. Kiedy stanął obok karuzelu, gdzie dzieci, wśród objawów najwyższej radości, jeździły na koniach, nadjechał nowy ekwipaż i z niego wysiadły dwie osoby. Jakiś siwy jegomość o wy-

gładzie arystokratycznym i panienska może ośmnastoletnia, smukła jak topola, całkiem do niego podobna. Odrazu można się było domyślić, że była jego córką.

Antoś, gdy obok niego przechodzili, uważnie się przypatrywał, potem czas jakiś wzrokiem ich odprowadzał. Po chwili i on za nimi pośpieszył.

Nie uszedł jeszcze stu kroków, gdy od strony przeciwniej ujrzał ogromnego psa, pędzącego wprost na nich. Pies był pianą okryty, a język miał wywalony. Tuż za nim biegło dwóch policyantów z dobytymi pałaszami. Krzyczeli oni i publiczności dawali znaki, aby nabok ustępowano. Arystokrata, prowadzący córkę pod ramię, stanął, jakby się namyślał, co czynić. Nim atoli powziął postanowienie, podejrzane zwierzę było już przy nim. Ale, na jego szczęście, Antoś, który odrazu się domyślił, co nieznanym grozi, przypadł i silnym kopnięciem nogi tak psa szczęśliwie w bok uderzył, że ten, równowagę tracąc, na ziemię się zwałił. Równocześnie nadbiegli policyanci i psa pałaszami zabili.

Antoś ani spojrzął na tych, którym oddał przysługę. Już się oddalał, gdy usłyszał za sobą głos, mówiący łamaną niemiecczyzną:

— Przepraszam pana... bardzo przepraszam... tylko na chwileczkę.

Obrócił się.

Ku niemu biegł ów staruszek z dłonią wyciągniętą, córka zaś ledwie mogła za nim nadażyć, tak była blada, wystraszona.

— Pozwól pan, bym się choć dowiedział, komu zawdzięczamy nasze ocalenie... Zdaje się, że pies był niepewny... może nawet wściekły. Jestem Hieronim księżę Montpellier.

Już po pierwszych słowach i akcencie Antoś poznał w nim Francuza. Jakież jednak było jego zdziwienie, gdy usłyszał nazwisko, które znał tak dobrze! Wszak Staś w listach swoich wspominał mu o księciu; prócz tego cały kraj wiedział, że hrabia Tęczyński utrzymywał z nim stosunki przyjacielskie.

— To, com uczynił, jest rzeczą tak drobną, że o niej nie warto nawet wspominać—odpowiedział nasz przyjaciel poprawną francuzczyzną.—Nazywam się Antoni Grzywa.

Książę uśmiechnął się z prawdziwem zadowoleniem i Antosiewi serdecznie dłoń uściśnął.

— Zapewneś pan nie Niemiec, bo jego nazwisko brzmi inaczej, niż tutejsze.

— Jestem Polak.

— Polak? Ach, powinienem się był tego domyslić! Znam Polaków... Doprawdy, bardzo się cieszę z tak miłego poznania. Jeżeli to panu nie sprawi przykrości, chodź z nami. Pogadam chętnie o kraju, którego jeszcze nie znam, a do którego oddawna się wybieram.

Antoś uczynił zadość życzeniu księcia. Zresztą niespodziewane to spotkanie sprawiło mu tém większą przyjemność, że poznawszy księcia bliżej, mógł o nim wiadomości zawieźć Stasiowi.

Szedł tedy obok i w konwersacyi wziął żywy udział.

Wielkie znowu było zdumienie księcia, gdy już po kilku słowach dowiedział się, że nowy jego znajomy pochodzi z téj saméj okolicy, gdzie mieszka jego stary przyjaciel, hr. Tęczyński, że hrabiego zna osobiście, a węzły koleżeńskiej przyjaźni łączą go nawet z jego synem hr. Stanisławem. Gdy wśród rozmowy to imię było wymówione, Antoś spostrzegł, że księżniczka najpierw się zarumieniła, potem zbłądła... Ojciec, tém zaniepokojony, przeszedł na inny temat, i czas jakiś rozmawiali o rzeczach obojętnych.

Tak im było dobrze razem, że, na życzenie księcia, wstąpili do najbliższéj cukierni i tam długą chwilę spędzili; a gdy nareszcie Antoś uznał za rzecz właściwą powstać, aby ich pożegnać, książę ujął go za rękę i rzekł po przyjacielsku:

— Tak wielką sprawiłeś mi pan przyjemność, że nie mogę cię puścić, nie zaprezentowawszy księżnie... Mam nadzieję, że zechcesz nas odprowadzić do domu, poczem zostawię ci wszelką wolność.

Antoś był zażenowany tą grzecznością. Mimo to trzymał się mężnie, gdyż bał się jaką niezręcznością ubliżyć temu, który od pierwszego wejrzenia taką dla niego uczuł sympatyę. Co do księżniczki, ta bardzo się ożywiła, a gdy młodzieniec po zaprosinach księcia skłonił się głęboko, na znak, że spełni jego życzenie, podziękowała mu za to uśmiechem.

Wkrótce potem odjechali do miasta.

Księżna już gościa mogła przyjąć. Antoś zauważył, że, jakkolwiek tak ona jak jej mąż najwięcej mówili o mieszkańcach Lipińca, mimo to w obecności córki o Stanisławie wcale nie wspominali. Dopiero gdy księżniczka na chwilę wyszła z salonu, zaczęli gościa wypytywać o przyjaciela.

Ta wizyta nie była ostatnią. Księżę zaprosił Antosia nazajutrz na obiad i sam go w hotelu odwiedził, i tak go sobie ujął, że odtąd byłby Antoś na każde jego skinienie w ogień wskoczył. Niedziw też, że wśród przyjacielskiej rozmowy zwierzył się przed nim ze swych planów.

— Więc pan jedziesz do Ameryki?—zapytał zdziwiony książę.

— Tak jest. Odjeżdżam tam jutro wieczorem.

Księżę zamyślił się bardzo. Już oddawna nosił się z zamiarem wysłania kogo po Stanisława. Teraz nastęczała się do tego wyborna sposobność, lecz czy mógł przed młodzieńcem, którego dopiero co poznał, zwierzać się choć w części ze swoich zamiarów? Jeśli więc w głowie księcia na chwilę taka myśl powstała, natychmiast ją odrzucił i rzekł spokojnie:

— Zechęćj pan od nas pozdrowić hrabiego Stanisława i powiedz mu, że nie wiemy, czemu na starą Europę tak się pogniewał, że nie chce więcej do niej zajrzeć... Dam panu także list do niego, jeśli to zbytecznie nie obciąży pańskiej walizy.

Uśmiechnął się na to Antoś i zapewnił księcia, że każde jego zlecenie będzie sumiennie spełnione.

Trzeciego dnia po tój rozmowie siedział już w wagonie i pędził do Hamburga.

Przy końcu tygodnia o godzinie 3-jej z południa wsiadł na okręt i wypłynął na pełne morze.

Gdyby Antoś terazniejszą podróż odbywał dla przyjemności lub w celach nankowych, z jakimże zaciekawieniem przypatrywałby się ludziom, których setki przechadzały się po pokładzie „Schiller’a,” z jakąż radością robiłby znajomości, lub, o balustradę wsparty, w jak wielkiem skupieniu ducha badałby kolory tych fal wiecznie żywych, które uderzały o boki okrętu,—tę bezdenną otchłań morza, przepelnioną milionami stworzeń przeróżnych, i to powietrze świeże i przejrzyste, po którym mewy bujały! Antoś jednak ani ludzi nie śledził, ani natury nie badał. Wprawdzie stał przy balustradzie i w mroczną dal spoglądał, myślał wszakże o wszystkiem inném, tylko nie o tём, co go otaczało...

Zdawało mu się zawsze, że, należąc do pokolenia współczesnego, które żyje praktycznie i dalekie od marzeń romantycznych, niepotrzebnie nigdy się nie unosi, potrafi i on przebiegnąć życie spokojnie, prawidłowo, jak skazówka, posuwająca się bez zboczeń po tarczy zegarowej, że nic go nie roznamiętni, nic nie wykołei. Tymczasem cała jego filozofia życia prysnęła, po poznaniu Zosi, nakształt bańki mydlanej. Myśli mu się rozpromieniły; serce zadrgało, samo nie wiedząc czemu; duszę ogarnęła tęsknota bez granic. I wtedy pojął, że prócz rozumu jest w człowieku jeszcze coś potężniejszego, co go od ziemi odrywa i ku niebiosom podnosi, co z istoty do ziemi przykutęj robi ducha do Boga podobnego, co nas oczyszcza i uszlachetnia, a to coś nazywa się uczuciem.

I wcale za to się nie gniewał, że takięj przemiany dokonały w nim wesole oczka Zosi i jęj czarowne uśmiechy. Przeciwnie, błogosławił tój chwili, gdy ją poznał, bo chociaż cierpiał, chociaż był bez nadziei, czuł się jednak szczęśliwszym, niż ongi, gdy myślał tylko o sobie i tych, z którymi był węzłami krwi związany. Zresztą, choć się nie

spodziewał, żeby miłość jego była kiedykolwiek tak uwieczniona, jak tego pragnął, przecie doznawał szczerego zadowolenia, gdy pomyślał, że i on nie był jój obojętnym. Bo czyż mu się nie przyznała, że go kocha? A być kochanym przez istotę taką, jak Zosia, czyż to nie szczyt rozkoszy?

Bez przerwy o nięj myślał i, jak skąpiec, oglądający w ukryciu złoto i klejnoty, przypominał sobie wszystkie jój słowa, spojrzenia, ruchy—i to, co w nich niegdyś było mało znaczące, przed okiem jego duszy przybierało teraz kształty całkiem inne, rosło, potężniało. Pieszcząc się tym obrazem, nie miał nawet czasu zastanawiać się nad sobą, nad swoją przyszłością... Mógłże w takim stanie duszy zważać na to, co się dokola niego działo?

Płynął tedy coraz dalej, w strefę coraz bardziej gorącą, ale duch jego nie był z nim, lecz hen! w Lipińcu, pod szarą niebem Północy, bo to, na które teraz patrzył, nie miało ani jednę taką gwiazdę promienną, jak owe dwie, które jaśniały pod alabastrowym czołem Zosi Tęczyńskiej.

„Schiller” pruł modre fale i mknął szybko. Tak mijały dni, tygodnie.

Nareszcie usłyszał głos kapitana, który wołał:

— Rio de Janeiro!

— Ziemia! ziemia!—odpowiedzieli na to podróżni i, jak niegdyś towarzysze Kolumba, rzucili się wszyscy na przód okrętu, by po długiej wędrówce ujrzeć ziemię obiecaną.

Statek płynął coraz wolniej, brzegi występowały coraz wyraźniej; na morzu zrobiło się istne mrowisko, tyle łodzi ze wszystkich stron nadpłynęło, by podróżnych zabrać; nareszcie „Schiller” stanął na kotwicy.

Antoś wysiadł z innymi i udał się do miasta.

Chęć ujżenia Stasia jaknajprędzej była w nim tak wielka, że nie patrzył ani na okolicę, ani na miasto, tylko pierwszemu przewodnikowi, który mu się nawinął, kazał się wieźć do mieszkania przyjaciela. Zwiedzenie miasta odkładał na później, razem ze Stanisławem.

W pół godziny znalazł się przed domem o schludnej powierzchowności, położonym w tej części miasta, w której

przeważnie Francuzi mieszkają. Gdy u bramy zadzwonił, wyszła jakaś kobieta stara i brzydka, a że od niej nie mógł się nic dowiedzieć, bo mówiła tylko po portugalsku, więc nadszedł jej mąż, sam pan odźwierny, i łamaną francuzczyzną odpowiadał mu na pytania. „Dom Stanisław,” jak go nazywał, mieszkał w tym domu, był bardzo dobry i grzeczny, ale już od kilku miesięcy wyjechał i dotąd nie pisał. Tych, którzy się do niego zgłaszają, odźwierny odsyła do banku państwowego, tak bowiem Dom Stanisław przed odjazdem czynić polecił.

Antoś bardzo się zmartwił. Tyle tygodni płynął, tyle mil zrobił, a kiedy się spodziewał uściskać przyjaciela, spotkał go przykry zawód! Atoli nie namyślał się długo, co dalej czynić. Temu samemu przewodnikowi, który go tu przywiózł, kazał się wieźć do banku państwowego.

Dyrektor przyjął go uprzejmie, choć z wielką rezerwą. Na pierwsze zapytania Antosia dawał lakoniczne i wymijające odpowiedzi; dopiero gdy mu nasz przyjaciel wyznał, skąd i po co przybywa, stał się mówniejszym. Antoś zauważył, że w chwili gdy mu powiedział, iż jest inżynierem, dyrektor nagle się zmienił i gościowi swemu z większą niż przedtęm przypatrywał się ciekawością.

Dopiero wtedy Antoś się dowiedział, że o trzysta mil geograficznych od stolicy, w połowie drogi między oceanem Atlantyckim a Boliwią, w zachodniej stronie prowincyi San Paulo, w pobliżu rzeki Parany, nad jeziorem tam się znajdującem, odkryto pokłady złota, które przeszły na własność banku państwowego. Ponieważ eksploatacja tych skarbow jest w tamtych stronach wielce utrudniona, a głównie dla tego, że dokola snują się hordy dzikich Indian, przeto rząd wysłał silniejszą ekspedycję, do której Stanisław przyłączył się jako pełnomocnik banku, za co, prócz rocznej a wysokiej pensyi, otrzyma także wysoką tantiemę od wydobytych skarbow.

— Wybornie się układa!—wesoło zawołał młodzieniec.— Skoro macie tam panowie kopalnie, przeto może i mnie w nich pomieścicie? Pracować umiem, trudów się nie lękam.

Jak się zdaje, dyrektor tylko na to czekał, bo z uśmiechem odpowiedział:

— Z ofiarowanych nam usług chętnie będziemy korzystali, i jeśli tylko warunki przez pana stawiane nie będą wygórowane, za trzy lub cztery dni będziesz mógł wyruszyć do swego przyjaciela, gdyż właśnie posyłamy tam nowy oddział robotników europejskich.

Antoś tak był tém uszczęśliwiony, że chciał natychmiast targu dobić, dyrektor jednak odłożył układy do dnia następnego. I nie nastroczały one dla żadnej strony jakiegokolwiek trudności. Pensya, zaproponowana przez dyrektora, była przyzwoita; warunek, aby Antoś podpisał kontrakt na rok, nie należał do uciążliwych; słowem sprawa poszła tak gładko, że jeszcze tegoż dnia wieczorem młody nasz przyjaciel był przedstawiony innym członkom ekspedycyi, jako inżynier banku. Wyjazd morzem do portu Santos, ztamtąd do San Paulo miał nastąpić za dni cztery.

Ten czas obrócił Antoś na zwiedzanie miasta i najbliższej okolicy. Prócz tego potrzebował zaopatrzyć się w rozmaite narzędzia, a przede wszystkim w broń i amunicyę, gdyż bez tego w Brazylii nikt się w daleką podróż nie wybiera. Robotników, z którymi miał jechać, także w broń zaopatrzone.

Gdy godzina odjazdu wybiła, Antosiowi z wielkiej radości serce omal z piersi nie wyskoczyło. Śpieszył do przyjaciela, zaczynał pracować, prócz tego miał poznać owe dziewicze lasy brazylijskie, o których cuda w Europie opowiadają, i te okiem nieprzejrzane łąki, na których krocie zwierząt bujają swobodnie.

Oddział, z którym się połączył, liczył trzydzieści kilka głów. Składali go przeważnie robotnicy, z pochodzenia Niemcy, ośmiu żołnierzy z podoficerem na czele i jeden z niższych urzędników banku. Moralnym tedy kierownikiem ekspedycyi był Antoś, co go w szlachetną ambicyę wzbijało. Ekspedycyja prowadziła z sobą także kilka psów i mułów.

Podróż, z początku bardzo przyjemna i wesoła, póki byli na pełnem morzu, prędko się zmieniła. W porcie San-

tos, najniezdrowszym ze wszystkich brazylijskich, czterech robotników nabawiło się żółtej febry, skutkiem czego musiano ich zostawić w San Paulo. W dalszej podróży, wskutek niesłychanego gorąca, które właśnie panowało, Europejczycy coraz bardziej z sił opadali, co ich wielce demoralizowało, i sami tylko krajowcy z Antosiem (ten się dzielnie trzymał) czuli, że podolają trudom, które ich jeszcze czekały.

Prawdziwie szczęśliwym był dla nich ów dzień, gdy razem z psami i mułami wsiedli na wielkie łodzie, które po Rio Parana-Parema miały ich zawieźć prawie aż do punktu, gdzie ta rzeka wpada do Parany.

Łodzie były wygodne, kupieni w San Paulo niewolnicy wybornie wiosłowali; rozbite namioty chroniły od skwaru słonecznego, a siatki na twarzach od zjadliwych moskitów; pożywienia było dosyć i napojów podostatkiem.

Rzeka wiała się między lasy i pola, robiąc znaczne zakręty, co drogę niezmiernie przedłużało.

Antoś spoglądał na otaczającą go naturę i nie mógł wyjść ze zdumienia. Wszystko tu było niebotyczne, potworne. Europa, którą za sobą zostawił, wydawała mu się karłem w porównaniu z olbrzymem. Drzewa o koronach rozłożystych rzucały cień szeroko; powoje, bluszcze i inne pasożyty, które się po nich wspinały, prędkiej były podobne do lin okrętowych, niż do słabych roślin. Po gałęziach skakały małpy o przeróżnych kształtach; w powietrzu świeciły jak gwiazdki lśniące kolibry; tysiące papug, od najbielszych do najjaskrawszych, napełniały lasy hałaśliwym rozgwarem; gdzie niegdzie było widać straszego boa, jak dokoła gałęzi okręcony pożądliwem okiem badał ciemne zarośla, by się rzucić na pierwsze zwierzę, które, się w nich nkaże; niekiedy przemknął jaguar; często w pobliżu brzegu wypływały na powierzchnię wody to żółwie o kształtach olbrzymich, to potworne łby aligatorów, które gdyby nie bojaźń przed tylu ludźmi, byłyby z wielkim gustem pokosztowały mięsa czarnych niewolników. Żołnierze i Antoś strzelali do nich kilka razy, jednego z nich nawet zabili, nikogo atoli nie nęciła chęć wleczenia za sobą ohydneho cielska.

Między niewolnikami znajdował się jeden, który bardzo dobrze mówił po francuzku. Pochodziło to ztąd, że przez lat kilkanaście był własnością pewnego francuzkiego plantatora na San Domingo i dopiero po jego śmierci był do Brazylii sprzedany. Niewolnik nazywał się Puko i miał lat czterdzieści. Od pierwszego spotkania z Antosiem powziął do niego wielką sympatyę i przez cały czas podróży starał się być zawsze przy jego boku. Nasz przyjaciel odwzajemniał mu się także szczerą życzliwością. Było mu przyjemnie, że mógł się z kimś rozmówić, w ekspedycyi bowiem, prócz urzędnika bankowego nikt więcej po francuzku nie mówił, a co do robotników Niemców, ci byli tacy prostacy, że rozmowa z nimi człowiekowi przywyklemu do lepszych form nie sprawiała najmniejszej przyjemności.

Puko, przeciwnie, acz pochodził z rasy prawie całkiem dzikięj, i urodził się nad brzegami Aruwamini, dokąd promień cywilizacyi jeszcze nie dotarł, tyle miał w sobie uczuć delikatnych, a rozumiejąc własne nieszczęście, tak odczuwał własną niedolę, że robił wrażenie człowieka od dziecka starannie wychowanego. Ilekroć przy wiosle inny niewolnik go złuzował, przychodził zaraz pod namiot Antosia, i usiadłszy u jego nóg, bądź wypytywał go o Europę, bądź opowiadał mu bolesne koleje swojego życia. A były one podobnusięńkie do tych, które jego współbracia od wieków przechodzą.

Pewnego ranka na osadę, w której mieszkał, napadli, na czele szczepu sąsiedniego, handlarze arabscy; starców i dzieci wymordowali, a młodzież, tak mężką, jak żeńską, wzięli do niewoli. Pod pokładem okrętu, gdzie kilkaset ludzi w jeden kłęb zbitych, dusiło się jak śledzie, odbył Puko podróż przez Atlantyk, a gdy statek przybył do San Domingo, okazało się, że między niewolnikami było przeszło stu nieboszczyków. Ale to nikogo nie zdziwiło. Handlarzom było tylko przykro, że dużo towaru im się popsulo, zato pocieszali się tém, że reszta, która została, była doborowa. Kto taką podróż wytrzymał, ten napewno mógł żyć sto lat, jeżeli nie więcej.

W San Domingo Puko dostał się najpierw do jakiegoś plantatora, Hiszpana, który obchodził się z nim stokroć gorzej, niż z psem, zato później, gdy go nabył Francuz, los jego był już wcale znośny: człowiek ten bowiem uważał niewolników za sługi, o które dbał po ojcowsku. Po śmierci Francuza jego spadkobiercy przywieźli Puka do San Paulo, gdzie go razem z innymi kupił urzędnik banku państwowego, prowadzący ekspedycję.

Gdy Puko historję życia swego w krótkości opowiedział, dodając przy końcu, że nie wie, jaki go jeszcze los czeka, Antos rzekł na to:

— Bądź o przyszłość spokojny. Póki ja tu będę, nie puszcę cię od siebie; a jeśli do Europy będę wracał, zabiorę cię z sobą i wysadzę na brzegu afrykańskim.

Murzyn wpatrzył się w Antosia i szklące białka jego oczu łzami zaszyły. Potem rzucił mu się do nóg i zaczął je całować.

— Nie opuszczaj mnie—szepnął,—a będziesz miał we mnie psa wiernego!

I tak zawiązał się między tymi dwoma ludźmi—lubo różnili się między sobą kolorem twarzy, mową, religią, wszystkiém—stosunek przyjacielski. Antos czuł, że na tego człowieka, jedynie za to, iż nań spojrział jak na człowieka, będzie mógł zawsze liczyć.

Gdy ekspedycya na łodziach się znalazła, jój przywódca niejednokrotnie wynurzał przekonanie, że wszyscy dotrą szczęśliwie do miejsca przeznaczenia; tymczasem w ciągu pierwszego zaraz tygodnia umarło znów trzech na żółtą febrę, którą zarody wywieźli z portu Santos. Inni, widząc to, chcieli koniecznie wracać, i dopiero perswazye Antosia odwiodły ich od tego postanowienia. Wracać, znaczyło jechać znów do Santos, tego prawdziwego siedliska żółtej febry, gdzie wszyscy mogli łatwo wyginać, gdy przeciwnie, im dalej na zachód, tém zdrowszy był klimat. Po dłuższych perswazyach postanowili wytrwać. Ale wtedy rzekł jeden z nich:

— Płyniemy na kraniec świata, narażamy życie, a Bóg wie, na co... Wielkie jeszcze pytanie, czy ci, z którymi mamy się połączyć, żyją tam jeszcze.

Antoś doznał wrażenia, jakby go kto pchnął nożem w samo serce. Wprawdzie niejednokrotnie zadawał i on sobie takie pytanie, lecz odtrącał je zawsze, jako ciężką zmożę, która niepotrzebnie go trapi. Teraz jednak, gdy prócz niego inni takie same wynurzali obawy, postanowił we cztery oczy rozmówić się z kierownikiem wyprawy. I po długich zachodach, Portugalczyk bowiem był podejrzliwy, tyle z niego wydobył, ile potrzebował.

Dowiedział się tedy, że strony, dokąd jada, są dotąd mało znane, ale przed rokiem poznał je bliżej pewien uczony geolog, który na koszt banku podróżuje po Brazylii. Ten odkrył owe kopalnie złota, które teraz bank postanowił eksploatować. Pierwsza ekspedycja odeszła przed dwoma miesiącami.

— A jakie mieliście o niej wiadomości?—Antoś zapytał.

— Dotąd żadnych.

— Jakto, żadnych?—ze zdziwieniem powtórzył.

— W rzeczy samej, żadnych; a to z tego powodu, że podróż tam i napowrot trwa dłużej niż dwa miesiące, więc posłaniec, choćby natychmiast ztamtąd wysłany, nie byłby dotąd zdążył do Rio de Janeiro.

— Ale powinniśmy go byli przynajmniej teraz spotkać—zauważył nasz przyjaciel.

— Niekoniecznie. My płyniemy z biegiem rzeki, gdy przeciwnie on, nie mogąc płynąć przeciw prądowi wody, musiał wybrać drogę lądową. Zresztą—kończył Portugalczyk—na co my się tém wszystkiém dziś niepokoimy? Za sześć dni najpóźniej staniemy na miejscu, a wtedy nam powiedzą, co się z nimi przez ten czas działo.

Była to pociecha, lecz niewielka. W każdym razie Antoś byłby wolał, żeby co do losu przyjaciela był już teraz uspokojony. Niepewność rozdrażniła go w wysokim stopniu, tak dalece, że stracił humor i apetyt. Tylko wino ezerwone podtrzymywało w nim siły słabnące.

Puko, widząc w nim tę zmianę, spytał go, jakaby jój była przyczyna. Antoś wyznał mu prawdę. Wtedy Murzyn zrobił minę bardzo poważną i rzekł:

— Nie bój się, skoro Puko jest z tobą!

I w rzeczy samej to go trochę uspokoiło. Pewność, że między tymi ludźmi miał przynajmniej jednego, na którego bezwarunkowo mógł liczyć, napępiała go otuchą, gdyż bardzo łatwo mógł jego pomocy potrzebować.

W ciągu kilku dni następnych umarło znów pięciu ludzi: trzech Niemców, jeden niewolnik i podoficer, dowodzący żołnierzami. Strata tego ostatniego była największą, człowiek ten bowiem był żołnierzem dobrym i roztroptym. Teraz musiał Antoś sam objąć dowództwo nad siłą zbrojną. Wprawdzie trudno mu było porozumiewać się z żołnierzami, ale ponieważ wiele ten czyni, co musi, więc i on, prędzej niż się spodziewał, nauczył się najpotrzebniejszych wyrazów, prócz tego wszystkie ich miny i znaki odgadywał samą intuicyą, którą mu natura bynajmniej nie poskąpiła.

Stanęli nareszcie w miejscu, gdzie mieli opuścić drogę wodną i obrać znów lądową.

Nieopodal brzegu znajdowała się faktorya, opasana wałami i ostrokołem i robiąca zdaleka wrażenie małej twierdzy. Jój właścicielem był rodowity Portugalczyk z Oporto. Utrzymywał on handel z przestrzeciami, zwanymi Sertao Camapuan, i wszystkie płody surowe, które mu ztamtań przywożono, odsyłał do San Paulo. Na zapytanie kierownika wyprawy, czy wie co o tych, którzy poszli kopać złoto dla banku państwowego, odrzekł, że przed dwoma tygodniami widział z nich jednego: przybył on do faktoryi z listami, które następnie do stolicy wysłano; ale odtąd nie miał o nich więcéj wiadomości.

Kierownik ekspedycyi wziął z faktoryi przewodnika, który przez *campos* bezbrzeżne, ciągnące się tu na przestrzeni kilkuset mil kwadratowych, miał ją do kopalni zaprowadzić.

Gożąco było wciąż nieznośne. Właśnie kończyła się susza letnia, po której spodziewano się deszczów obfitych.

Step cały wyglądał jak jedno wielkie pole śmierci. Nigdzie najmniejszego śladu życia. Wkoło głucho i pusto. Niezmierzone przestrzenie, na wiosnę i z początkiem lata bujną trawą pokryte, były teraz promieniami słońca doszczętnie spalone. Nigdzie śladu zieleni. Zwierzęta uciekły wgląb puszczy odwiecznych i nad brzegi wody; na tę krainę umarłych nie odważyłyby się teraz nawet wąż wypełznąć. Tylko góra, świeżego żeru wiecznie łaknący, przelatywał niekiedy sęp z szczyła wyciągniętą, i okiem pożądliwem tych mierząc, którzy zuchwale ośmielili się puścić w te strony, pytał ciekawie: który z nich stanie się pierwszy jego zdobyczą.

Przodem, tuż za przewodnikiem, szły muły, obciążone żywnością i wodą w sakwach baranich; za nimi postępowali niewolnicy, niemniej od nich obciążeni; potem robotnicy; na końcu maszerowali żołnierze.

Pochód przez step trwał niedługo, ledwie cztery dni, a mimo to porwał kilka ofiar. Tak więc zastęp zmalał do połowy.

Czwartego dnia o wschodzie słońca ekspedycya znalazła się w miejscu, z kąd przewodnik spodziewał się ujrzeć budynki poszukiwaczy złota. W rzeczy samej na widnokręgu ukazała się masa ciemna, niewyraźna, bezkształtna. Orszak przyśpieszył kroku. W miarę jak się zbliżał do owego punktu, masa, tworząca wpierw jedną całość, rozerwała się na kilka mniejszych cząstek, a każda była nizka i niezmiernie ciemna, zupełnie jak plamy atramentu, rozlane na karcie żółtego papieru.

Antoś wyjął lunetę. Ledwie jednak przez nią spojrział, krzyknął przerażony:

— Boże! tam wszystko spalone!

— Spalone?—powtórzył kierownik w ojczystym swoim języku.

Wszyscy stanęli. Każdy chciał popatrzeć przez lunetę, każdy pragnął już teraz wiedzieć, co się tam stało. Niemcy zaczęli płakać. Antoś czuł, że trzeba coś stanowczego uczynić, inaczej ci ludzie gotowi się zbuntować i z rozpaczcy popełnić jakie szaleństwo.

— Naprzód! marsz!—zakomenderował i pierwszy on, a za nim Pnko, ruszyli ku pogorzeliisku.

I nie było ono snadź dawne. Im byli bliżej, tém bardziej było czuć zapach świeżej spalenizny, a gdzieniegdzie wznosił się także szary dym.

Jeszcze chwila, a będą na miejscu.

I doszli szczęśliwie. Ale jak straszny uderzył ich tu widok! Wszystkie budynki były doszczętnie spalone, pośród węgla i popiołu leżały zwłoki ludzi pozabijanych; wszystkie głowy były nagie, bez włosów.

— Indyaniel—zawołał przewodnik.

W rzeczy samej napadu niewątpliwie dokonała horda dzikich Indyan, ci bowiem poczytują za swój obowiązek oskałpować każdego pojmanego.

Antoś, przerażony, jak dotąd nigdy w życiu, biegł od trupa do trupa i wpatrywał się w każde oblicze. Na swoje szczęście, nie znalazł tego, którego szukał. Staś mógł być jeszcze ocalony. Może go tu podczas napadu nie było? może umknął? może dostał się do niewoli? To ostatnie byłoby najgorsze, Indyanie bowiem niewolników zawsze zabijają. Kiedy tak chodzi i przyjaciela szuka, słyszy głos przytłumiony, jakby go wydawały usta człowieka konającego:

— Boże!

Antoś zachwiał się przerażony. Wszak to nie mógł być nikt inny, tylko Staś. Biegnie między zgliszcza, z kąd się głos podnosi, i tu, z czaszką zakrwawioną, w odzieży napół spalonej, widzi człowieka z długą, ciemną brodą.

Chociaż straszny to był widok, wolniej odetchnął. Przynajmniej nieszczęśliwym nie był Staś...

— Coście za jeden, człowiecze? coście tu robili?—zapytał, nad rannym się pochylając.

Ten szeroko rozwarł źrenice i szepnął:

— Swój?

— Swój! A wy z kąd?

— Z Wielko...polski...

— A gdzie się podział Tęczyński, który tu był z wami?

— Po... porwali go... tam...

I tu oczy skierował w tę stronę, gdzie na horyzoncie było widać czarną linię ciągnącego się lasu.

— Boże!—jęknął znów ranny, raz jeszcze szeroko rozwarł powieki, jakby chciał się przypatrzeć rodakowi, którego losy aż tu przygnały, ciężko westchnął i oczy zamknął na zawsze.

Co mieli teraz robić ci biedni przybysze, którzy na to przewyciężyli wszystkie trudności, żeby być na pogrzebie tych, z którymi do wspólnej pracy chcieli się połączyć?

Niemcy, zrezygnowani, pousiadali i widać było z ich min, że bez względu na to, co ich mogło spotkać, nie myśleli się z miejsca ruszyć. Żołnierze czekali na rozkazy; kierownik wyprawy stał niemy, przerażony i ani wiedział, co począć.

Antoś zwrócił się do niego.

— Zdaje mi się—rzekł,—że powinniśmy niezwłocznie śladem tych pośpieszyć, którzy prawdopodobnie dopiero wczoraj tu byli. Kto wie, czy pomiędzy nimi nie znajdziemy jeszcze choć kilku naszych.

— I pan myślisz, że oni za nami pójdą?—odpowiedział Portugalczyk, Niemców wskazując.

— Jeżeli nie pójdą, zostawimy ich losowi; że zaś żołnierze pójdą, o tém nie wątpię.

— I Puko pójdzie—dodał Murzyn.—Daj nam tylko broń tych, którzy pomarli, a zobaczycie, jak was wesprzemy.

Antoś skierował na niego wzrok pytający.

— Nie bój się, Puko cię nie zdradzi—mówił do niego tonem przekonującym.—Tyś dobry, Pukowi dałeś wódki i tytanu. Puko pójdzie z tobą.

— A za swoich ręczysz?—Antoś go zapytał.

— Jak za siebie.

Tyle szczerości brzmiało w jego głosie, że Antoś postanowił nie wahać się dłużej, i nie zwracając więcej uwagi na zakłopotanego Portugalczyka, rozdzielił czempredzję broń między Murzynów, na trzy dni zabrał z sobą zapasy żywności, i puściwszy psy przodem, ruszył śladem tych, którzy tu dnia poprzedniego wyprawili krwawą ucztę.

— Wyraźne ślady na stepie wskazywały drogę, którą Indianie obrali. Prowadziła ona przez *campos* prosto do *catingu*, czyli do jednego z tych lasów, które nakształt oaz zielonych są porozsiewane wśród stepów brazylijskich.

Wieczorem zbliżyli się do jego krawędzi. Rozłożyli ognie. Murzyni pozatykali dziury gadów złośliwych, które się w pobliżu gnieździły, i oprócz kilku żołnierzy, rozstawionych na czatach, reszta położyła się spać.

Nazajutrz, ze wschodem słońca, wyruszyli w dalszą drogę. W tej podróży naoslep kierowali się jednak nie tyle samym instynktem, co doświadczeniem Puka i innych Murzynów, ci bowiem, wciąż z naturą żyjąc, umieli lepiej niż ktokolwiek inny iść za śladem ludzi, przedzierających się przez zarośla. Kiedy Antoś, przed siebie patrząc, nie widział, wtedy oni dostrzegali trawy pochylone, żadna gałązka skrzywiona lub złamana nie uszła ich uwagi; nawet kora na niektórych drzewach, jakby ostrzem narzędziem podrapana, była dla nich dostateczną wskazówką, że właśnie tędy Indianie przeszli ze swoją zdobyczą.

Znów minął cały dzień.

Nad wieczorem Puko podszedł do Antosia i zapytał:

— Pozwolisz mi wleźć na to drzewo najwyższe, które oto tam stoi?

— Pozwolę.

— Bądź spokojny, Puko wróci.

To rzekłszy, Murzyn strzelbę położył na ziemi i ze zręcznością jaguara, ścigającego antylopę, puścił się ku drzewu, które pośród kniei odwiecznej strzelało jak obelisk prosto ku niebu. Miało ono gałęzie niezmiernie gęste i pierzaste, więc nikt nie widział, co się na nich działo.

Dobra godzina upłynęła, nim Murzyn wrócił. Antoś poznał go nie po twarzy, w lesie bowiem było już czarno, jak w beczce z mazią, lecz po szybkich krokach i ciężkim oddechu.

— I cóż?—zapytał.

— Są!

— Są? Gdzie? Prowadź nas tam!

— Cicho a ostrożnie... Są niedaleko, ale musi ich być dużo, skoro łuna, która się z ich ognisk podnosi, spory kawał lasu oświeca.

Odbyli ważną naradę i na tém stanęło, że Puko pójdzie przodem, sam jeden na wzwiady, inni zaś będą się za nim posuwali jaknajciszej, aby ile możności koczujących Indyan podejść zblizka i zniecka ich napaść. Wtedy wśród nocy jeden mógł łatwo pokonać dwudziestu, zwłaszcza że każdy, prócz karabinka odtylcowego i szabli, miał także za pasem rewolwer sześcioprzętowy. Psy wzięto na sznury. Puko pomknął przodem.

Pochód był niezmiernie uciążliwy. Ale mimo ciemności, Murzyni, których tym razem na czoło wysłano, posuwali się cicho jak koty, nie sprawiając najmniejszego szelestu. Zolnierze z Antosiem to szli, to peltali za nimi, a serca były im w piersiach tempem przyspieszonym, czuli bowiem wszyscy, że nadeszła godzina stanowcza, która rozstrzygnie o ich życiu.

Było już dobrze z północy, gdy na przedzie dało się słyszeć psykanie. To Puko wracał.

— Ja wezmę czarnych i z nimi wdrapię się na drzewa... Przechodząc z gałęzi na gałąź, dostaniemy się do samego koczowiska. Wy idźcie dołem, a gdy pierwszy strzał od was padnie, damy ognia do tych, których sobie upatrzymy.

Antoś plan ten pochwalił, i znów cicho, bez najmniejszego szelestu, postępowali środkiem kniei nie wydawały, tylko nerwowym drżeniem zdradzały swój niepokój.

Przyczółgali się nareszcie do miejsca, zkad było widać koczowisko Indyan. Otaczał je w kołowieniec z ognisk, dzięki czemu Antoś i jego towarzysze mogli wybornie widzieć, co się wewnątrz obozu działo, gdy przeciwnie Indyanie nie widzieli nic zgoła poza ogniskami. Zresztą czuli się oni w tém miejscu tak bezpieczni, że im z pewnością nie przeszło przez myśl, że im cokolwiek może teraz zagrazać.

Antoś kazał swoim ludziom utworzyć łańcuch, aby strzały równocześnie ze wszystkich stron padły, i polecił im wyraźnie, żeby, jego wołanie usłyszawszy, rzucili się w ścieśnioną kolumnie z bagnietami w rękę. Spodziewał się on także, iż Murzyni, manewr ten ujrzawszy, pójdą za jego przykładem i z góry rzucają się na Indyan.

W pośrodku koczowiska, obok kilku mężczyzn, leżących w grupie malowniczej, siedziało dwóch białych. Byli obdarci, pokaleczeni, a jeden z nich miał nawet głowę obwiązaną. Chociaż ich twarze nie mógł dojrzeć, gdyż je mieli w dłoniach ukryte, w tym smuklejszym, z włosami jasnemi, Antoś poznał Stanisława.

Sercu nakazał milczenie i jeszcze się czołgał.

Nagle, gdy się najmniej spodziewał, usłyszał za sobą krzyk jakby sowy. To Puko nadciągnął już górą ze swymi towarzyszami. Wybiła zatem godzina stanowcza.

Antoś wziął na cel tego Indyanina, którego głowa była ustrojona w pióra okazalsze niż innych, pociągnął za cyngiel i dał ognia. Na to hasło strzały ze wszystkich stron się posypały, a w górze, na drzewach, wśród nieustanną strzelaniny, rozpoczął się taki hałas, że zdawało się, jak-gdyby wszyscy czarci naraz z piekieł na ziemię się wysypali.

W obozowisku kilkunastu z nóg się zważyło, wszelako inni rzucili się do swoich strzelb i łuków, chcąc napastnikom czoło stawić. Antoś, widząc to, głosem gromkim krzyknął na swoich, aby się z nim łączyli, a gdy to nastąpiło, nie wstrzymując ognia ani na chwilę, w ścieśnioną kolumnie uderzył w sam środek obozowiska. Indyanie, zaatakowani od frontu przez ludzi dobrze uzbrojonych, w których od razu regularnych żołnierzy poznali, prażeni przytém z góry przez Murzynów, upadli na duchu i czémprędzej zaczęli cofać się wgląd kniei. Teraz Antoś przyskoczył do białych, i podając jednemu z nich własny karabin, zawołał:

— Stachu! broń się!

Staś skoczył, ramiona rozwarł szeroko, tego, który do niego przemówił, chciał chwycić w objęcia, ale nie widząc

przed sobą nikogo—Antoś bowiem z rewolwerem w ręku pędził teraz uciekających—rzucił się w ślad za tymi, których poczytywał za duchy, zesłane przez Boga na jego ocalenie.

Walka nie trwała już długo. Indianie pierzchli na wszystkie strony, zostawiając w ręku zwycięzców broń, amunicję i zapasy żywności.

Panem pobożowiska był Antoś.

Staś znalazł się nareszcie w objęciach swojego zbawcy. Antoś ścisnął go jak brata i na jego zapytania wciąż jedno odpowiadał:

— Nie cudem tu się znalazłem, mój drogi, ale w sposób przypadkowy, co w życiu jeszcze częściej zdarza się, niż w romansach, a żem ci dopomógł do wydobycia się z pomiędzy tych dyabłów, więcj w tém szczęścia, niż mojej zasługi.

— Antosiu! Antosiu! Mnie to wszystko wydaje się tak niespodziewanem, tak cudownem, że zaiste boję się zmysły stracić.

— Uspokój się, mój Stasiu, i zamiast o cudowności pomyślmy raczej o tém, co nam teraz należy czynić. Te psy czerwone gotowe opamiętać się i wrócić. A wtedy co będzie? Jak tylko spostrzegą, że mała garść na nich uderzyła, nabiorą odwagi i do nogi nas wyduszą. Aby im tedy nie sprawiać téj przyjemności, musimy czémprędzej ognie pogasić i cofnąć się ku téj stronie, zkądśmy przyszli. A więc opowiadanie odłożmy na jutro, teraz zaś w drogę, póki czas!

Staś tym wywodom przyznał całą słusność i u boku przyjaciela ruszył w głąb lasu.

Téj nocy żaden z nich oka nie zmrużył. Dopiero nad ranem, gdy od zagrożonego miejsca znacznie się już oddalili, odpoczęli kilka godzin, poczem znów szli dalej.

Teraz Antoś mógł już spokojnie opowiedzieć Stasiowi swoje przejścia z kilku ostatnich miesięcy. Nie zataił przed nim ani jednego ważniejszego szczegółu, krom swojej miłości dla Zosi, a gdy wspomniał o księciu Montpellier i jego córce, spostrzegł, że przyjaciel bardzo posmutniał.

— Nie martw się, mój Stasiu!—zawołał na to wesoło— bo gdyby mnie taka istota kochała, byłbym najszczęśliwszym między śmiertelnikami.

— Gdyby kochała!—Staś na to odpowiedział i umilkł.

— I ty wątpisz, niewdzięczniku, że ona ciebie kocha? Czy chcesz, żeby ci się sama na szyję rzuciła? Zresztą kto wie, czyby tego nie uczyniła, gdyby nie Atlantyki i nie te pustynie brazylijskie. Ale wróć tylko do Europy, a zobaczymy, jak to będzie. Teraz przeczytaj list papy, który mam przy sobie: może on cię oświeci.

Staś wziął list skwapliwie, i w drżących rękach go trzymając, każde słowo wzrokiem pożerał. Księżę pytał go, jak się ma, co porabia, i po ojcowsku radził mu, aby do Europy wracał. Widać było, że gorąco tego pragnął, aby Staś wrócił.. Czyż człowiek z tém co księżę stanowiskiem, przytém mający córkę dorosłą, mógł więcej powiedzieć?

Ale wśród tej obumarłej roślinności, na stepach brazylijskich, nie czas było oddawać się słodkim marzeniom o miłości. Czekala ich ciężka walka o życie, więc też nią trzeba się było zająć. Serce musiało milczeć..

Na ich szczęście robotnicy, którzy zostali na pogorzeli-sku, byli jeszcze przy życiu. Nikt ich nie napadł, a ponieważ żywności mieli podostatkiem, więc żaden z nich przez ten czas nawet nie schudł.

Kierownik wyprawy, ulegając już od dłuższego czasu wpływowi Antosia, radził go się teraz, co mu czynić wypada. Nasz przyjaciel był zdania, że pozostawać na tém miejscu byłoby prostém szaleństwem. Wszak nie mieli ani narzędzi górniczych, te bowiem Indianie do szczytu ponie-szyli, ani żywności na dłuższy czas; a co do amunicyi, tej mogło im także lada dzień zabraknąć. Rozum tedy nakazywał rozpocząć natychmiast odwrót do faktoryi, i bądź tam czekać na dalsze posiłki i rozkazy, bądź też starać się dostać do Rio de Janeiro.

Stanęło na tém, a gdy po największych wysiłkach do-tarli szczęśliwie do faktoryi, okazało się, że jój właściciel mógłby u siebie pomieścić, w najlepszym razie, ledwie kilku

ludzi. Zostawili więc u niego trzech chorych; sami z resztą oddziału puścili się drogą lądową do stolicy.

Po sześciu tygodniach, zbiedzeni, obdarci, bardziej doszkieleatów niż do żywych ludzi podobni, stanęli w Rio de Janeiro.

Dyrekcya banku nietylko nie wzięła im tego za złe, że cofnęli się bez rozkazu, przeciwnie—Antoś zasłużył sobie na jój najwyższe pochwały, a gdy w obszernym memoriale wyłuszczył jój swoje zapatrywanie na sprawę eksploatacyi złota w górném San Paulo, czego bez zorganizowania znacznej wyprawy nie można dokonać, postanowiła zając się pracami przygotowawczemi, by dopiero wtedy do dzieła przystąpić, gdy się zbierze najmniej trzystu ludzi, zaopatrzonych należycie we wszystko, czego taka ekspedycja wymaga.

Antoś myślał, że misya jego już się skończyła, wszelako dyrektor odmiennego był zdania. Pracami przygotowawczemi miał on sam kierować, Staś zaś był mu przeznaczony do pomocy. Tak więc przyjaciele mieli być razem, aby się więcej nie rozłączać.

Teraz, wypoczywając w stolicy po trudach dalekiej podróży, opowiadali sobie wszystko, co im na sercu ciążyło; a chociaż należeli do natur otwartych, Staś jednak okazał się tym razem bardziej szczerym od Antosia bo kiedy on przyznał się przyjacielowi, że księżniczkę kochał, a tylko bał się jój to powiedzieć, gdyż czuł się jój niegodnym, Antoś, przeciwnie, zataił przed nim swoją miłość dla Zosi; nie przyznał się do niej nawet wtedy, gdy go Staś wziął na konfesatę.

— Powiedz mi, Antosiu—zapytał go raz, niby od niechcenia,—co to może znaczyć, że w każdym liście Zosia więcej o tobie pisze niż o innych?

— Doprawdy? nie wiedziałem o tém—Antoś odpowiedział, rumieniąc się nieznacznie.

— Źeś o tém nie wiedział, rzecz prosta, boś przecie jój listów nie czytał, ale może mi to teraz wytłómaczysz...

Staś, mówiąc to, wpatrywał się z uśmiechem w zakłopotaną twarz przyjaciela.

— Zawiele żądasz ode mnie... przecie nie jestem wszystkowiedzącym.

Staś zbliżył się do niego i wziął go za rękę.

— Powiedz mi szczerze: nie bałamucilesz ty mi siostry?

— Ach, Stasiu! jak możesz mówić coś podobnego! — młodzieniec energicznie zaprotestował. — Cały twój dom to świątynia, którejbym nawet myślą nie umiał sprofanować.

— No, miłość, mój drogi, nie jest jeszcze profanacją; i gdybyś w Zosi się zakochał, wcalebym się temu nie dziwił.. Ja sam, gdyby mi siostrą nie była, szalałbym za nią.. I cóż, powiesz mi prawdę?

Antoś w żart to obrócił.

— Proszę cię bardzo, Stachu, nie drwij ze mnie!

— Ależ ja wcale nie drwię; sądzę nawet, że byłoby nam z tém do twarzy, gdybyśmy sobie byli szwagrami.. Ocalilesz moją cześć, uratowałeś mi życie, jesteś dzielnym chłopcem, czegoż więcéj żądać? Wiesz co, Antosiu, gdyby ci to kiedyś przyszło do głowy, licz na mnie, jak na brata.

Antoś ust więcéj nie otworzył. Przystąpił tylko do przyjaciela, objął go za szyję i do piersi przycisnął. Ten niemy uścisk więcéj Stasiowi powiedział, niż słowa najwymowniejsze.

W kilka dni po téj rozmowie obadwaj młodzieńcy znajdowali się w pierwszej kawiarni stolicy, gdzie, prócz mnóstwa dzienników ze wszystkich stron świata, znajdowały się także gazety polskie, wychodzące na ziemi amerykańskiej. Antoś, jedną z nich przeglądając, znalazł następującą notatkę:

„*Ohydna zbrodnia.* W Galicyi, we wsi Lipiniec, zamordowano bardzo bogatą, ośmdziesięcioletnią staruszkę, panią Zielińską, która mieszkała w domu miejscowego właściciela, Mieczysława hr. Tęczyńskiego. Śledztwo sądowe, energicznie prowadzone, wykryło mordercę. Jest nim sam hr. Tęczyński. Dopuścił się on téj zbrodni w zamiarze ograbienia nieboszczki. Pieniądze mu odebrano. On sam znajduje się

w więzieniu, i, jak wieść niesie, przyznał się już do zbrodni.”

Antoś, słowa te przeczytawszy, nie mógł się wstrzymać od okrzyku oburzenia. Zmiał gazetę i na stół ją rzucił.

— A to potwarz!—zawołał.

— Co takiego?—Staś zdziwiony zapytał.

Antoś, spostrzegłszy zapóźno, w czyjém towarzystwie się znajduje, chwycił gazetę, aby ją ukryć przed przyjacielem, ten atoli z rąk mu ją wyrwał i z gorączkowym pośpiechem zaczął sam przeglądać.

Nareszcie znalazł ustęp fatalny. Antoś wpatrywał się w przyjaciela z najwyższym niepokojem. Bał się, żeby straszna ta wiadomość zmysłów go nie pozbawiła. Jednak się omylił. Staś, przeczytawszy, zwrócił się do niego z najwyższém zdumieniem i zapytał:

— Czy oni oszaleli?

— Istotnie, tylko człowiek szalony mógł coś podobnego wymyślić!—Antoś potwierdził.—To humbug amerykański, nie innego.

Staś czoło zachmurzył i chwilę pomyślał.

— Pewnie, że humbug—rzekł po chwili,—ale w każdym razie coś w tém musi być, bo zkądby tu ludzie wiedzieli, że mój ojciec mieszka w Lipińcu i że w naszym domu bawi pani Zielińska?... Tak jest, w tém musi coś być!—dodał, powstając.

— Dokąd idziesz, Stasiu?—zapytał go przyjaciel.

— Pójdę do biura telegraficznego, wyszlę depeszę do kraju... Najpóźniej jutro otrzymam odpowiedź...

— Więc i ja z tobą pójdę!—rzekł Antoś, i aby go samego nie puścić, udał się z nim niezwłocznie do zarządu telegrafu podmorskiego.

Lubo Stanisław był z początku spokojny, po jakimś czasie równowaga zaczęła go opuszczać. Bądź co bądź, w Lipińcu musiało stać się coś nadzwyczajnego i pani Zielińska niewątpliwie padła ofiarą zbrodni. Ale jak śmieli źli ludzie targnąć się na cześć jego ojca, którego on za świętego poczytywał? Jeśli kiedy, to teraz serce go bolało, że nie był

w domu,—sądził bowiem w dobrej wierze, że każdej katastrofie potrafiłby zapobiedz.

Niepokój wzmagał się w nim z każdą chwilą, a chociaż Antoś perswadował mu, jak mógł, sam jednak widział, że najrozumniejsza perswazyja niewiele tu pomoże. W stanie gorączkowym przetrwał Staś do dnia następnego. W samo południe przynieśli mu depezę z odpowiedzią.

Osoba, do której się zgłosił, donosiła, że panią Zielińską w Lipińcu w rzeczy samej zabito, a chociaż hr. Tęczyńskiego uwięziono, nikt przecież w kraju nie wierzy, żeby on mógł być sprawcą tój zbrodni, przeciwnie—wszyscy są głęboko przekonani, że sąd wpadł na mylne tory i rzecz musi być rychło naprawiona.

— A więc uwięzili mego ojca, jak prostego zbrodnia-rzał—zawołał syn w największej boleści, i lzy gorzkie, a długo tłumione, z oczu mu buchnęły.—O! jeślim dotąd wahał się jeszcze, teraz moje postanowienie jest niezłomne—dodał po krótkim namyśle.—Wracam do kraju, jeszcze dziś, natychmiast... wśród takiego nieszczęścia syn musi być przy ojcu!

— I ja z tobą jadę!—rzekł Antoś.

— Jedziesz? Dzięki ci, drogi przyjacielu! Dziś widzę, że na świecie są jeszcze ludzie szlachetni, a skoro oni są, czemuż więc ja jeden nie miałbym się poprawić i stać się ich godnym? Antosiu, po raz trzeci zaciągam wobec ciebie dług, który obym kiedyś choć w części mógł spłacić!

VI.

Majster nad majstrami.

Franuś Czapiński leżał na sofie w swoim pokoju sypialnym, i cygaro paląc, przerzucał spokojnie karty herbarza. Była to najprzyjemniejsza jego lektura. Z téj książki czerpał całą swoją wiedzę. Ona go uczyła dziejów, a właściwie historii poszczególnych rodzin, ona mu wskazywała drogę, po której powinien był kroczyć, jeśli miał przejść do nieśmiertelności.

Od czasu uwięzienia hrabiego Tęczyńskiego nudził się, jak nigdy. W okolicy rzadko gdzie bywał; Goldeifer dotąd nie wrócił; pan Trocki osowiał; miasta unikał, a jeśli kiedy tam przyjechał, zachodził tylko do jednéj radczyni, wybierał zaś zawsze te godziny, które jéj mąż spędzał bądź w biurze, bądź w kasywie, albo na polowaniu.

Do Darskiego, choć mu za ostatniéj u niego bytności wydał się bardzo zacnym, nawet szlachetnym, stracił zaufanie; zato znajdował coraz większą przyjemność w towarzystwie jego żony, a pochodziło to prawdopodobnie ztąd, że radczyni unosiła się nad nim całkiem szczerze, poczytując go za niedościgniony ideał światowca i „szykowca.” A któremuż mężczyźnie to nie pochlebia, gdy się kobieta nad nim unosi?

Choć nudził się w domu, przesiadywał w nim teraz dłużej niż dawniej i wielce był uradowany, jeśli go kto w Krzywem odwiedził. Ucieszył się więc niezmiernie, gdy i dziś w bramie usłyszał trzask z bata, a potem wśród przeraźliwego ujadania psów turkot kół zajeżdżającego powozu.

Zerwał się, oknem wyjrzał i z wielkiej radości aż krzyknął.

Przed gankiem stał wózek na kołach niezmiernie wysokich, na którego koźle siedział dziedzic Wierzejowa z przyległościami, a szczęśliwy małżonek pięknej Julii, pan Roman Goldeifer. Za nim, na siedzeniu o metr niższem od kozielka, zajęły miejsce dwie figury z rękoma na piersiach skrzyżowanemi, obie ogolone, w sutěj liberyi. Byli to stau-gret i lokaj.

Franuś wybiegł na ganek bez kapelusza.

— Romcio! Dalipan, Romcio! Wszelki duch chwali Pana Boga!

— Pewnie, że Go chwali... no i ja Go chwale, co mam robić?—odpowiedział dziedzic Wierzejowa i powoli a ostrożnie zaczął z koźła na ziemię zstępować.

— Coś ci nogi nie dopisują—zauważył Franuś.

— Niedziwota, podbiłem się—odpowiedział. — Kto tyle co ja zrobił mil po świecie, ten doprawdy mógł się podbić—dodał z westchnieniem.

Gospodarz dotknął się swoją twarzą policzków gościa, i do pokoju go wprowadzając, mówił wesoło:

— Gdzieżeś był? coś widział? Niedawno zapewne przyjechałeś, bo jeszcze przedwczoraj nie umiano mi w Wierzejowie powiedzieć, kiedy wrócisz.

— Przyjechałem wczoraj wieczorem.

— A dziś jesteś już u mnie? Doprawdy, Romciu, to zaszczyt nielada! Słowo honoru, muszę ten fakt zapisać w annalach rodu Czapińskich.

— A do kogóż miałem najpierw przyjechać, jeśli nie do tego, który mnie ożenił?

— I cóż, jesteś kontent?—Franus zapytał, uśmiechając się w sposób znaczący.

— Nawet bardzo!—Goldeifer westchnął.—Tak jestem szczęśliwy, że mi to szczęście aż bokiem wyłazi.

Franus, widząc pocieszoną minę gościa, dopiero teraz sobie przypomniał, że w mieście od pewnego czasu krążyła pogłoska, iż Goldeifer podał o rozwód. Wtedy nie chciał w nią wierzyć i brał ją za plotkę, jednakże w tej chwili rozpaczliwy wyraz twarzy młodego żonkosia zdawał się ją w zupełności potwierdzać.

— Więc niebardzoś zadowolony?—dalej badał.

Goldeifer padł na fotel najbliższy.

— Niech moje wrogi będą tak zadowolone!—jęknął.

— Słowo honoru, nie pojmuję cię!... Kobieta ładna, wykształcona, dystygowana! Inny na twojem miejscu myślałby, że jest w siódmém niebie, a ty wyglądasz, jakbyś wracał z własnego pogrzebu...

— Bo téż z niego wracam!—Goldeifer potwierdził tonem rozpaczliwym.—Tobie się może zdaje, że męczyć się pół roku to nic, że mój honor to nic, że czterdzieści tysięcy stracić gotówką także nie! A bodaj piorun spalił i takie małżeństwo i takie przyjemności! Czemuż, zamiast żenić się, nie zostałem lepiej Kamedulą? Miałbym przynajmniej pieniądze, a dziś i żony nie mam, i pieniądze dyabli wzięli.

Rozpaczający Goldeifer tak zabawnie wyglądał, że Franus nie mógł wstrzymać się od uśmiechu. Gość to dostrzegł.

— Tobie dobrze się śmiać—zawołał,—bo ciebie nikt nie męczył, nikt nie obrabował; ale gdybyś był w mojej skórze, pewniebyś się nie śmiał! Posłuchaj, Franusiu, posłuchaj, a jak ci wszystko opowiem, ręczę, że ci włosy na głowie staną. Wiesz, wziąłem ślub: tyś mnie ożenił, a Trocki mnie wyswatał; no, tyś może musiał tak zrobić, ale tam tego, za to, że mnie łąpał, niech Pan Bóg skarże! Zje teraz wpierw dyabła, nim co ode mnie dostanie... Otoż ożeniłem się, przed ślubem kupiłem jój brylanty za sześć tysięcy, słyszysz, Franusiu: za całych sześć tysięcy! a kiedy była już moją żoną, to jest, kiedym ją od ołtarza przywiozł do

domu, pytam się: „Śliczna Julein, czego ty chcesz?” — „Jedźmy zaraz do Włoch, bo tylko tam mnie zrozumiesz, a ja ciebie; tylko tam możemy być szczęśliwi!” — Pomyślałem: czemu to koniecznie ma być pod włoskiem niebem, czemu nie w domu? ale dobry ton zaraz mi odpowiedział: „Wielcy panowie zawsze tak robią, trzeba więc być delikatnym i jechać pod włoskie niebo.” No, i pojechalśmy pierwszą klasą najbliższym pociągiem.

— I nie byłeś tam szczęśliwy? — Franuś mu przerwał.

— Zupełnie tak byłem szczęśliwy, jak ten pies, którego na slotę z domu wypędził. Przyjechalśmy do Wenecyi. Ona w hotelu kazała sobie dać pokój osobny, a dla mnie osobny. Niech i tak będzie, pomyślałem. Wielcy panowie pewnie tak robią, a ona pochodzi z wielkiej rodziny... Mieszkaliliśmy tedy osobno, ale na obiady, do teatrów, na koncerty, tośmy chodzili razem, no i do sklepów po sprawunki także razem. A miała ich codzień tyle do zrobienia, że mnie aż głowa bolała.

— Nic w tém niema dziwnego — przerwał mu Franuś. — Gdybym ja miał żonę kochającą, słowo honoru, jakby tego zażądała, zdjąłbym ję gwiazdkę z nieba!

— Możeby i ja to był zrobił, mój Franusiu; lecz czemu ona nie żądała gwiazdki, tylko jedwabiów i klejnotów? Zresztą tybyś to uczynił dla żony kochającej, ale czy myślisz, że ona mnie kochała? Ilekroć chciałem ją pocałować, zawsze mi się wykręciła. Raz miała migrenę, drugi raz ję nerwy były bardzo rozstrojone, a znów kiedyindziej dostała smutny list od matki i pół dnia płakała. Piękna żona, prawda, ale i mąż ładny!... Trwało to kilka miesięcy. Nareszcie pewnego dnia powiedziałem sobie: „Przecie tyś mąż i pan, ona zatem powinna ciebie słuchać, nie ty ję!” Wchodzę do ję pokoju, chcę przy niej usiąść, a ona krzyczy: „Idź precz! bo Żydem śmierzisz!” Słyszysz, Franusiu? ona powiedziała, że ja Żydem śmierzę... Powąchaj mnie, Franusiu, powąchaj, a sam się przekonasz, że to nieprawda.

To rzekłszy, porwał się z sofy, przystąpił do gospodarza, i brzuch pocieszenie wydymając, jeszcze raz powtórzył:

— No, powąchaj mnie, Franusiu!

— Ależ ja jestem głęboko przekonany o bezwonnosci twojej osoby!—Franus, śmiejąc się, zawołał.

— Widzisz, a ona nie chciała w to uwierzyć i dopóty mnie maltretowała, pókim nie podał o rozwód.

— Więc to prawda, co ludzie mówią?

— Pewnie, że prawda. Przejechała ze mną pół świata, przedtém była chuda, teraz za moje pieniądze stłuszciała jak gaska na św. Marcina, zabrała mi brylanty, jedwabie i do Wiednia pojechała.

— I jeszcze jój zapłacisz czterdzieści tysięcy—dorzucił Franus.

— Co robić? Wolę dać czterdzieści tysięcy, choć mnie serce boli, niż żeby mnie potem na wekslach podpisywała; bo żona, jak męża nie kocha, zaraz weksle fałszuje.

— Dobrze ci, Romciu; mogą inni całkiem bankrutować, możesz i ty trochę krwi wypuścić, a ręczę, że ci z tém nawet będzie zdrowo, boś i tak zanadto czerwony. Słowo honoru, nowe życie przed tobą się roztwiera. Pierwsze małżeństwo, jak ze wszystkiego się okazuje, zawarłeś dla koligacyi, teraz ożenisz się jedynie z miłości i będziesz szczęśliwym!

— Niech się moje wrogi żenią, nie ja!—pan Goldeifer gniewnie zawołał.—Ja mam już dosyć tego geszeftu. Ja teraz chcę być tylko obywatelem i szlachcicem; jak Bóg da, pozwolę się także wybrać do sejmu i do rady państwa, no i zostanę mężem stanu.

— I aby tém łatwiej zrobić karyerę, powinienbyś zmienić nazwisko i na przykład od Wierzejowa przewać się Wierzejowskim.

Pan Goldeifer aż głowę przechylił, tak mu się ta myśl podobała.

— Wierzejowski? Doprawdy, Franusiu, ty masz doskonałe koncepta. Wierzejowski brzmi po książęcemu, jak ten „od ognia i miecza,” Wi... Wi... jak to on się nazywał, Franusiu?

— Wiśniowiecki.

— Aha, Wiśniowieckil... Wierzejowski całkiem do niego podobny.

— Istotnie, podobieństwo jest wielkie—potwierdził Franuś;—a jak tylko pozwolą ci zmienić nazwisko, o co u nas nietrudno, zrobię ci zaraz herb z mitrą książęcą, przykryty paliuszem, który dla przechowania tradycyi familijnej każemy podbić tchórzami.

— Na co takie brzydkie żarty, Franusiu? Czy ty myślisz, że ja się ciebie boję?

— Ależ ja ciebie tchórzem nie nazywam, mój Romciu! Paliusz dlatego tchórzami podszyjemy, że dziś gronostaje nie są już w modzie; zresztą, jeśli się nie mylę, twój dziadek nosił także to futro.

— Na co ruszać nieboszczyków? Dziadek dawno nie żyje!—pan Goldeifer odpowiedział, i aby zmienić przedmiot rozmowy, zaczął Franusia wypytywać o hrabiego Tęczyńskiego.

Sprawę morderstwa w Lipińcu znał tylko z gazet. Franuś opowiedział mu więc wszystko szczegółowo; a gdy skończył, Goldeifer zawołał:

— O! my szlachta nie damy mu krzywdy zrobić! Choćbym miał Wierzejów stracić, muszę znaleźć prawdziwego mordercę. Najmę tajnych agentów, będę sam śledził, i zobaczysz, Franusiu, że hrabiego ocalę. Tu nie trzeba czekać, aż Pan Bóg sam pomoże; tu należy spekulować delikatnie, po żydowsku...

— I nie wątpię, że ci się uda, bo będziesz w swojej roli.

— Ja wiem, Franusiu, że ty musisz zawsze podchwytwać. Gdybym ciebie nie znał, doprawdy mógłbym się rozgniewać. Ja ci jednak wszystko przebaczam, bo wiem, że serce masz dobre, a tylko język zły.

Po téj rozmowie pan Goldeifer sprawą hrabiego tak gorliwie się zajął, jak nikt ani przedtém, ani potém. Codzień był na wózk, jeździł do stolicy, najał dobrych agentów, chwili nie spoczął, wciąż wypytywał się, badał, spekulował. Ci, którzy go bliżej nie znali, byli przekonani, że,

czyniąc to, miał coś na widoku, najprędzej pannę Zofię; tymczasem on wszystko robił poczęści z dobrego serca, bo mu hrabiego szczerze było żal, poczęści może i w tój myśli, że w ten sposób najłatwiej wkupi się do tój sfery obywatelskiej, która dotąd nie chciała uznać go za swego.

Ilekróć był w mieście, zachodził do mieszkania państwa Palińskich, i, jak umiał, starał się biedne kobiety pocieszać. One mu serdecznie były za to wdzięczne, nie bowiem w nieszczęściu tak nie ujmuje, jak współczucie.

Siostry mieszkały razem, pod strażą Paszuty, który wśród katastrofy doznawał przynajmniej tój wielkiej pociechy, że u boku państwa był znów sam, Dyonizego bowiem, którego Konrad nie potrzebował teraz na wsi, oddalono.

Konrad z Lipińca często przyjeżdżał, wszelako stale nie mógł w mieście zamieszkać. Rozległe gospodarstwo wymagało jego obecności na miejscu.

Obie kobiety przywdziały ciężką żalobę, postanowiwszy dopiero wtedy ją zrzucić, gdy ojciec będzie z więzienia uwolniony. Z domu wychodziły rzadko, chyba do kościoła; z obcych przyjmowały jednego tylko pana Olskiego, który często zachodził do nich na kwaśne mleko z ziemniakami, poczem następował długi traktat polityczny, kończący się zawsze sojuszem z Żydami i klęską Bismarck'a. Starowina ubolewał nad hrabią, nieraz, gdy o nim mówił, miał łzy w oczach, wszakże rozczulenie nie trwało u niego długo, i byleby kto wspomniał o polityce, o wszystkim zaraz zapominał, a jój się oddawał.

Pewnego dnia, Zosia, skorzystawszy z nieuwagi siostry, która właśnie dzieci czyła, ubrała się w przyległym pokoju, osłoniła twarz gęstą woalką, i wzięwszy z sobą Paszutę, ten bowiem należał do zmywy, puściła się z nim uliczkami mało zwiedzanemi do gmachu sądowego. Biegła tak szybko, że Paszuta ledwie za nią mógł nadążyć. Trzymał się jednak jak mógł, i ani razu w drodze nie ustał.

Wiedział on lepiej niż ktokolwiek, którędy się do sądu idzie.—Trzy razy na dzień rano, w południe i wieczorem—nosił z domu jedzenie hrabiemu i często przy tój sposo-

bności widział swego pana. Z początku, naczynia, w których potrawy się znajdowały, radca z wielką dokładnością sam rewidował, niejednokrotnie wzywał do pomocy także Krueglera, powoli jednak znudził się tą czynnością i zdał ją na dozorcę więzienia. Odtąd Paszuta zbliżał się do samych drzwi owój kaźni, w której jego pan siedział; ilekroć zaś go zobaczył, prostował się, i śmiało mu w oczy patrząc, stawał się mężnie. Hrabia poklepał go czasem po ramieniu, raz czy dwa pocałował go także w głowę, lecz nigdy słowa do niego nie przemówił.

Po każdym takim spotkaniu widziano potem Paszutę, jak stojąc na dworze pod murem więziennym, płakał łzami gorzkiemi. Raz zastał go w takiej pozycyi radca Darski.

— Jak cię jeszcze raz tu zobaczę beczącego, nie pozwolę ci więcej wchodzić do sądu!—stanowczo zawołał.

Paszuta otarł łzy rękawem, resztę łez przełknął i odtąd już nigdy nie płakał. Ale gwałt, który sobie zadawał, oddziaływał zgubnie na jego organizm. Czuł się rozstrojonym, siły go opuszczały. „Boże! Boże!—szeptał—obym choć dożył tej chwili, gdy mój pan wyjdzie niewinny!” Śledztwo wlokło się w nieskończoność, codzien nowych świadków przesłuchiowano, nikt nie wiedział, kiedy to się skończy.

Paszuta poszedł jednego dnia do stolarza i kazał sobie zrobić trumnę, za którą z góry zapłacił. Zamtąd udał się do grabarza, nakoniec zgłosił się do proboszcza i w kancelaryi parafialnej uiścił należytość za suty pogrzeb. Zdziwił się proboszcz, ujrawszy przed sobą człowieka zdrowego, który o śmierci mówił ze spokojem, więc go zapytał:

— A z kąd wy możecie wiedzieć, że śmierć na was już czyha? Wszak życie i śmierć w boskich ręku...

— Prawda, proszę jegomości, ale pan Jezus nieraz grzesznego człowieka naprzód ostrzega, kiedy go zabierze... Ja czuję, że mnie tam już niedługo; a że nie chcę, by moi państwo mieli ze mną kłopot, więc wolę sam o sobie pomyśleć. Oni tam i bez tego biedni!...

Dziś starowina dreptał za Zosią, a gdy do sądu dobiegli, wtedy, oddech chwytając, rzekł:

— Niech panienka trochę zwolni... jeno odsapnę... Ja panienkę muszę sam zaprowadzić, bo wiem, gdzie jego kancelarya...

Zosia stanęła, a gdy Paszuta odetchnął raz i drugi, wolnym krokiem udała się na pierwsze piętro.

Jak strasznie jęj serce biło, gdy szła tym korytarzem długim, ponurym, mającym po obu bokach drzwi czarne, z napisami u góry! Biednemu dziewczęciu zdawało się, że weszła na ów szlak, po którym idzie się prosto w krainę śmierci.

Paszuta zatrzymał się przed jednemi drzwiami i rzekł:
— Tu, proszę panienki.

Zosia stanęła, krótką chwilę toczyła z sobą walkę zaciętą, nareszcie, nie zapukawszy, drzwi otworzyła.

Pod oknem, na lewo, nad stosem papierów pochylony, siedział radca Darski. Podniósł głowę, a widząc wchodzącą kobietę, skrzywił się, jak po zażyciu gorzkiego lekarstwa. Radca nie lubił, gdy go kobiety napadały. Wolał on już mężczyzn, gdyż z tymi nie potrzebował być grzecznym.

Zosia, zbliżywszy się do stołu, twarz odsłoniła. Radca osłupiał.

— Darnj, panie radco, że weszłam, nie spytawszy wpierw o pozwolenie; sprawa jednak, z którą przychodzę, nie cierpi zwłoki.

— Ależ proszę, niech pani siada, bardzo proszę!—odrzekł, i szybko powstawszy, krzesło jęj przysunął.—Gdyby mi pani była dała znać, że chce się ze mną widzieć, byłbym ją chętnie sam odwiedził... Boże! aż się lękam, co panią do mnie mogło sprowadzić?

— Nie innego, panie radco, tylko sprawa mego ojca nieszczęśliwego... Mój tatko niewinny! niewinny!

I tu, oczy sobie zasłoniwszy, zaczęła płakać.

— Ależ ja o tém nie wątpię—radca zapewnił.—Ilu nas tu jest w sądzie, wszyscy to zdanie podzielamy; dopóki jednak rzecz się nie wyjaśni, musimy trzymać się ściśle paragrafu. Niestety, jak dotąd, wszelkie pozory przeciw niemu przemawiają.

— A gdyby się znalazł istotny winowajca?—Zosia zapytała.

— W takim razie, rzecz prosta, że pana hrabiego puścilibyśmy zaraz na wolność.

— Skoro tak, to panu powiem, że winowajca już jest.

— Jest? Któż to taki?

— Ja!

— Pani?—zdziwiony zapytał.

— Tak jest... Cioci Zieliński nikt inny nie zabił, tylko ja, tak jest, ja sama!.. Wiedziałam, że tatko potrzebował pieniędzy, Konrad nie mógł sobie dać rady, bałam się, żeby nam Lipińca nie sprzedał, poszłam tedy w nocy sama jedna, chwyciłam ją za gardło i zadusiłam. Teraz niech mnie pan radca każe zamknąć, a tatka wypuści, bo on niewinny!

Jój płacz zrobił się w tém miejscu jeszcze gwałtowniejszy, prawie spazmatyczny.

Radca w pierwszej chwili nie wiedział, co o tém myśleć, ale gdy Zosia mówić przestała, uśmiechnął się z politowaniem. Zbyt dobre miał ucho, żeby nie zrobić spostrzeżenia, iż panna Tęczyńska recytowała swoje wyznanie szybko, bez żadnej modulacyi głosu, jak student, gdy lekyi na pamięć się wyczy.

— A po zabiciu pani Zielińskiej cożś pani dalej zrobiła?—radca spokojnie zapytał.

— Zabrałam pieniądze.

— I gdzieś je pani schowała?

— Oddałam je tatce.

Radca znów się uśmiechnął.

— Skoro tak, więc tatko jest winien jako współnik pani i puszczonym być nie może.

Zosia rozpaczliwie załamała ręce.

— Boże! jaka tu sprawiedliwość, skoro nawet tego, który się własnowolnie do winy przyznaje, nie chcą uznać winnym, a niewinnego więżą i męczą! Zamknij mnie, panie radco, skaż mnie nawet na śmierć; ja chętnie umrę, bom na świecie na nie niepotrzebna, ale tatkę wypuść! Może

i ty masz, panie radco, ojca, matkę, więc zważ, jakąby ci to boleść sprawiło, gdyby z nich które było dla błażych poszlak do więzienia wtrącone! Zlituj się nad nami, panie radco, i nie opuszczaj biednych sierot!

To rzekłszy, padła na kolana i za nogi go chwyciła. Radca porwał się z krzesła. Był wzruszony.

— Proszę powstać, proszę—rzekł, z ziemi ją podnosząc.—Ja panią rozumiem... kochając ojca, chcesz go ratować, i winę, której nie masz na sumieniu, radabyś wziąć na siebie... ale my, sędziowie, wiemy, jak prawda brzmi... Wracaj więc pani do domu i ufaj, że wszystko uczynię, aby sprawę wyjaśnić. Jeszcze dziś będę się starał śledztwo ukończyć, poczem za kaucyą pan hrabia będzie na wolność puszczony.

— Ach! uczyn to, panie radco, uczyn, a Bóg cię na twoich dzieciach pobłogosławi! Ludzie i tak mówią, że śledztwo mogło być dawno ukończone...

— Mówią, bo nie wiedzą!—przerwał opryskliwie.

— O! ja wiem, że to plotka!—Zosia zaprotestowała.—A skoro mam teraz pańskie przyrzeczenie, odejdę uspokojona. Więc pan radca dziś jeszcze śledztwo ukończy?

— Z pewnością!

— Dziękuję, dziękuję!—zawołała, i za rękę go chwyciwszy, chciała ją koniecznie ucałować.

Radca atoli rękę cofnął i wielce zakłopotany do drzwi Zosię odprowadził. Gdy wyszła, zaczął chodzić po kancelaryi, myśląc o tém, co mu teraz czynić wypadało.

To dziewczę ucziwe rozczuliło go bardzo. Mimo całej niechęci do szlachty, musiał także przyznać, że była piękna, uprzejma i miała w sobie tyle dystynkeyi, iż nawet wtedy, gdy się przed nim korzyła, imponowała mu bardziej niż sam prezydent sądu. To jedno trochę go bolało.

Aby uczynić zadość danemu przyrzeczeniu, chciał natychmiast wezwać hrabiego; przypadek jednak zrządził, że w téjże chwili wszedł do niego jeden z kolegów, z którym zostawał na stopie poufałej, prawie przyjaznej.

— Cóż, idziemy?—zapytał nowoprzybyły.

— Dokąd?

— Do Seweryna. Przecie zamówiliśmy się do niego na partycę wista.

— Jeszcze czas.

— Jakto czas? Popatrz: już szóstal

— Na moim zegarku dopiero trzy kwadranse, twój się śpieszy. Zresztą nie wiem, czy będę mógł pójść...

— Musisz! Wszak wczoraj zabrałeś nam w kasynie trzy papierki, więc dziś należy nam się rewanż.

— Nie myślę go odmawiać, ale mam jeszcze dużo do czynienia.

— Mój kochany, jak nam będą lepiej płacili, będziemy dłużej w kancelaryi siedzieli. Za tę nędzną pensycę już i tak dość się męczymy.

— Prawda, prawda, i ja, jak wiesz, nie jestem zbyt gorliwym pod tym względem. Dziś jednak radbym już zakończyć śledztwo z Tęczyńskim. Możebyśmy go potem puścili na wolną stopę, ma się rozumieć, po złożeniu dobrej kaucyi.

— Oszalałeś, czy col—kolega zawołał.—Siedzi już tyle, więc może jeszcze posiedzieć. Skoro możemy chłopów trzymać w śledztwie po roku, czasem jeszcze dłużej, więc czemu z hrabiami mamy robić wyjątki? Równosc wobec sądu to moja pierwsza zasada. Zabieraj się i chodź, bo Seweryn będzie się niecierpliwił. Widziałem dziś rano, że nieśli do niego beczukę piwa. Dobry chłop, będzie nam rad, a jego żona przygotuje nam z pewnością taką kolacyę, że palce będziemy po niej oblizywali. No, szkoda czasu!

Radca Darski głową pokręcił, poskrobał się za ucho, wziął kapelusze i poszedł na wista.

Zosia tymczasem, uszczęśliwiona otrzymaną obietnicą, biegła do domu. Spodziewała się wprawdzie bury od siostry, ale wiedziała także, że gniew jej minie, skoro się dowie, gdzie była.

Ponieważ nie potrzebowała się tak ukrywać, jak wtedy, gdy do sądu śpieszyła, przeto obrała drogę krótszą, przez rynek. Tu, obok apteki pana Przymkiewicza, ujrzała

tłum ludzi. Nie zwróciwszy jednak na to uwagi, puściła się prosto do domu.

Zofia nie pytała, co ten tłum znaczy. Zato interesowały się nim wielce panna Kunegunda z panią inspektorową. Te, stojąc na chodniku, o kilkanaście kroków od gawiedzi, gapiąc się na drzwi aptekarza, przez które najemnicy rozmaite sprzęty wynosili i wkładali je na wozy, były zajęte żywą rozmową.

— Widzi kochana pani to zwierciadło w czarnych ramach, przed którym codzień godzinami stawała? Już nie będzie się miała do czego mizdrzyć.

— Mój mąż, który wie wszystko, mówił mi niedawno, że ona to zwierciadło sprowadziła na kredyt i dotąd go nie zapłaciła.

— Boże, co to za kobieta! — panna Kunegunda westchnęła. — A ciekawam, czy wezmą jęj także konie i powóz?

— Ochsenberg zabrał to jeszcze rano. Panna Kandzia może być spokojna... już on jęj nie zostawi ani na owinięcie palca.

— Więc i garderobę zabierze?

— Mój mąż, który wie wszystko, mówił mi, że prócz sukien najpotrzebniejszych, wszystkie inne, jako zbyt kowe, zabierze i sprzeda.

— Chwała Bogu! Chwała Bogu! — panna Kunegunda szepnęła i wzrokiem roziskrzonym śledziła dalej bolesny akt przenosin ruchomości pani aptekarzowej.

Odbywał się on pod dowództwem samego Ochsenberga, który w sieniach domu stojąc, wydawał rozkazy i ostrzegał tragarzów, by z jego meblami, a zwłaszcza z fortepianem, uważnie się obchodzili, bo „one go drogo kosztują.”

Nagle we drzwiach ukazała się sama pani Przymkiewiczowa. Była czerwona, oczy miała od płaczu zapuchłe. Ochsenberg na jęj widok szybko w bok się usunął. Ona, do nikogo słowa nie przemówiwszy, wybiegła na rynek.

— Dokąd też ona idzie? — zapytały równocześnie panna Kunegunda i pani inspektorowa.

Nieszczęśliwa kobieta puściła się prosto do sądu.

Dla prezydenta był to dzień feralny. Rano, po kawie, stłukła mu się fajka ukochana; na obiad do sztuki mięsa dała mu żona przez zapomnienie ćwikły, której on antypatycznie nie lubił; wreszcie teraz szedł z biura do domu, jak zwykle, przez rynek, choć powinien był wiedzieć, że właśnie tego dnia Ochsberg zabierał ruchomości jego dawniej bogini.

Był już u wylotu ulicy Pańskiej, gdy niespodzianie zastąpiła mu drogę pani aptekarzowa. Cofnąć się lub w bok skrócić było zapóźno, uciekać nie wypadało. Rad nierad musiał tedy przeciwnikowi czoło stawić. Z początku udawał, że jej nie widzi, lecz gdy ona głośno zawołała: „Panie prezydencie!” musiał na nią spojrzeć.

— Czego pani sobie życzy?—sucho zapytał.

— Szłam właśnie do pana prezydenta poskarżyć się na tego łotra Ochsberga! Oa mnie łupi, rozbija!

— Ależ nie tu miejsce na wytaczanie takich spraw... od tego jest sąd...

— Cożem jednak winna, że pan prezydent już wyszedł? a do kogo się udam, jeśli nie do niego?... Popadłam w długi, prawda; wszelako razem ze mną są i ci winni, którzy u mnie codzień jedli i pili.

— Ja o tém nic nie wiem... zgola nic—prezydent odparł, ramionami ściągając.

— Zafantował mnie, dobrze, ale niech przynajmniej na wstyd ludzki nie zabiera mi moich gratów! Nim rozpiszą licytację, może do tego czasu postaram się o pieniądze i zaspokoję tego molocha. Niech mu pan prezydent każe się zatrzymać, przecie ja nie uciekam!...

— Ja o tém wszystkiém nie nie wiem... sąd jednak otrzymał doniesienie od reprezentacyi miasta, że pani masz właśnie zamiar wyjechać.

— I sprzęty z sobą zabierać?

— Ja nic nie wiem... ale dziwić się tóż nie można, że wierzyciel chce się zabezpieczyć. Proszę pani bardzo nie robić na ulicy skandalu—dodał z naciskiem,—bo musiałbym zażądać interwencyi władzy.

To powiedziawszy, skinął na woźnego, który właśnie szedł ulicą. Woźny stanął.

— Panie prezydencie, zaklinam cię na wszystko, nie opuszczaj mnie! Przecież byłeś moim przyjacielem!.. codziennym gościem w moim domu!—zawołała pani Przymkiewiczowa głosem podniesionym.

— Ja o tém nic nie wiem... zgola nic... Hej, Chrzaszcz!—krzyknął na woźnego — odprowadź panią aptekarżowę do domu, bo drogę zmyliła.

To powiedziawszy, założył w tył ręce, i laską kołysząc, skierował się krokiem wolnym, poważnym, jak na pierwsze-go w mieście dygnitarza przystało, ku téj stronie, gdzie stała okazała willa, w której mieszkał.

Zosia dobiegała już do domu, gdy postępujący za nią Paszuta stanął i głośno zaklął.

— A to co?—zapytała, niespokojnie się oglądając.

— Nic, proszę panienki, nic... tylko ten zawałidroga Dyonizy znów mi wlaźł w oczy. Widać, że człowiek nie-dobry, skoro tak długo wałęsa się bez służby. A młody pan wolał jego, niż mnie, i Paszuta tak długo był w poniewierce!..

— Hej! z drogi!—dał się słyszeć nieco charczący głos pana Goldeifera, i w téj chwili ukazały się jego bułanki, za niemi wózek na wysokich kołach, a na nim on sam.—Całuję rączki panny hrabianeczki, całuję rączki!—zawołał, Zosię ujrzawszy.

Zofia ukłoniła mu się grzecznie i weszła do domu. Za nią Paszuta. Ten jednak w sieniach się zatrzymał i wzrokiem niechętnym odprowadzał Dyonizego, który po drugiej stronie ulicy przechadzał się, jak próżniak, niewiedzący, co z czasem zrobić.

Gdy Goldeifer do niego się zbliżył, ściągnął konie.

— Hej! kochanku!—zawołał—jeśli się nie mylę; służyłeś w Lipińcu?

— Tak jest, służyłem, proszę jasnie pana —odpowiedział Dyonizy, kapelusz zdejmując.

— A teraz tam nie służyysz?

— Nie, proszę jaśnie pana.

— Dlaczego?

— Bo tam bankructwo, a ja lubię tylko wielkie państwo!— odrzekł i ręką machnął.

— A możebyś u mnie przyjął służbę? ja właśnie potrzebuję kamerdynera.

— Czemu nie... jeżeli się zgodzimy...

— Ależ napewno się zgodzimy! Ja płacę dobrze i nie wymagam ciężkiej pracy. Siadaj tylko tu koło mnie, a w domu pogadamy o warunkach.

Dyonizy uradowany skoczył na kozieł i zajął miejsce po lewej ręce pana Goldeifera, ku wielkiemu niezadowoleniu siećzącego z tyłu lokaja, który miał pretensję zostać teraz kamerdynerem we dworze wierzejowskim.

Pan Goldeifer nie zatrzymał się w mieście, choć w takim zamiarze tu przyjechał, lecz do domu nawrócił. W drodze rozmawiał z Dyonizym po przyjacielsku, nawet poufałe, jak równy z równym. Wypytywał go, gdzie dotąd służył, ile u kogo brał pensyi, czy mu w Lipińcu było dobrze, i czy był w domu owęj nocy, kiedy panią Zielińską zamordowano. Dyonizy odpowiadał na wszystko jasno, każdy szczegół wybornie pamiętał, a dopiero wtedy utknął, gdy miał mówić o pani Zielińskiej. Ani rusz nie mógł sobie przypomnieć, gdzie był owęj nocy.

Pan Goldeifer zerknął na niego raz i drugi, lecz Dyonizy tego nie zauważył. Siedział chmurny, w sobie skupiony. Goldeifer przestał mówić o tym przedmiocie, a zaczął go znów wypytywać o księcia Czartoryskiego, u którego Dyonizy służył dość długo, czém się zawsze chwalił.

Tak dojechali do Wierzejowa.

Tu dziedzic wziął Dyonizego do gabinetu i zgodził bez targu.

— Widzisz, ja pieniędzy nie żałuję, bo ja wiem, że dobry sługa to skarb, którego nie można dość dobrze wynagrodzić—rzekł przy końcu.—Jeść będziesz u mnie doskonałe, płacić ci będę, ileś sam żądał, ale pamiętaj, że za to masz mi służyć wiernie.

— Jaśnie pan może być spokojny, ja wielkim panom zawsze wiernie służę—Dyonizy odpowiedział i, zbliżywszy się do swego chlebobawcy, w rękę go pocałował.

Pan Goldeifer poklepał go po ramieniu.

— Bądź mi nietylko sługą, ale i przyjacielem, a pewno tego nie pożałujesz.

I w rzeczy samój od tego dnia tak postępował, jakby w nowym kamerdynerze chciał mieć zaufanego przyjaciela. A nie kazał mu robić wiele, jedzenie dawał mu ze swego stołu, wśród reszty sług widocznie go wyszczególniał, co lokajom i strzelcowi wielce się nie podobało; prócz tego zamykał się z nim często w swoim gabinecie i całemi godzinami poufale rozmawiał. Dyonizy rósł w pychę. Powoli przyszło do tego, że pan Goldeifer, gdy byli sami, sadzał go obok siebie i cygarami częstował. I aby mu się to dziwném nie wydawało, przemówił raz do niego w te słowa:

— Ja ci muszę prawdę powiedzieć, Dyonizy, czemu ja ciebie tak lubię. Tyś człowiek delikatny, służyłeś u wielkich panów, u książąt, a ja jestem sobie jeszcze zawsze Żydek... Wprawdzie książdz proboszcz mnie ochrzcił, no i wielcy panowie także już ze mną żyją, jak swoi ze swoim, ale ja wiem, że oni tylko politykują, bo ja nie we wszystkiém jestem im dotąd podobny. A jabym się chciał tego nauczyć.. Ty mi więc będziesz mówił, jak było u księcia, a ja ciebie zawsze usłucham i zrobię, co powiesz. Widzisz, Dyonizy, ja chcę ciebie mieć nie za sługę, lecz za nauczyciela.

Podobało się to kamerdynerowi, a że był zarozumiały, więc wszystko, co mu jego pan powiedział, wziął za dobrą monetę. Pan Goldeifer utwierdzał go w tém przekonaniu coraz bardziej, gdyż kilka rzeczy, które mu Dyonizy poradził, zaraz wykonał.

Później, siedząc we dwójkę w gabinecie, ciągnęli nieraz wino ze wspólnej butelki, a nigdy się nie zdarzyło, żeby Dyonizy, bądź przez skromność, bądź przez szacunek dla swego chlebobawcy, wymówił się od libacyi.

A mimo takiego zafania, pan Goldeifer, kładąc się spać, zamykał zawsze na klucz drzwi od swojej sypialni, choć tego dawniej nigdy nie czynił, i w rewolwerze, który leżał na szafce obok jego łóżka, naboje co wieczór oglądał.

Pewnego wieczora, a było to już w miesiąc po przyjęciu Dyonizego, dziedzic Wierzejowa wrócił z sąsiedztwa w złym humorze. Wybrał się faetonem odkrytym, tymczasem z powrotem napadł go deszcz i przemoczył do nitki.

Przebrawszy się w domu, kazał natychmiast przynieść do swego gabinetu samowar i sporą flaszkę rumu. Gdy Dyonizy wszedł, rzekł do niego:

— Siadaj, Dyonizy, i powiedz mi co ciekawego. A nalej sobie także szklankę herbaty, przecie i ty masz na nią apetyt.

Kamerdyner nalał szklankę najpierw panu, potem sobie. Dziedzic wziął flaszkę z rumem i kilka kropli wpuścił do swojej herbaty, a zaś dobry kieliszek do szklanki Dyonizego.

Zaczęli pić.

— Powiedz mi prawdę, mój kochany, jak tobie się u mnie podoba?—zapytał p. Goldeifer ciekawie.

— Mnie się tu bardzo spodobało.

— A dlaczego ci się podoba, dlaczego?

— Bo tu wielkie państwo, a ja tylko takie lubię, no i jaśnie pan umieją uszanować kogo należy.

Dziedzic skrzywił się na to, lecz niezadowolonia swego niczém więcéj nie okazał.

— Pewnie, że umiem—potwierdził.—Tyś grzeczny, więc i ja grzeczny; tyś dobry, więc i ja dobry. Ciekawym, czemu nie mielibyśmy z sobą żyć jak dwaj dobrzy przyjaciele. Ale ty, Dyonizy, nie nie pijesz. Proszę cię, pij! Zaraz nam będzie wesele!

Sługa pociągnął haust herbaty.

— Idź, mój kochany, do salonu i przynieś mi to album z podkową, które leży na małym stolyczku pod oknem.

Kamerdyner poszedł rozkaz spełnić, pan tymczasem znów mu do szklanki dolał rumu. Gdy przyniósł album,

dziedzie wziął je na chwilę, przerzucił kilka kart, jakby czegoś w niem szukał, potem album odłożył.

— Pij, Dyonizy, pij!

Kamerdyner nie dał sobie tego powtórzyć. Z dawien dawna lubił on herbatę z rumem, lecz nie wazędzie mógł jój używać.

— U księcia Czartoryskiego piłem ją codzień z arakiem—mówił, odrazu pół szklanki wychyliwszy, —ale w Lipniecu dawali mi taką lurę, żem jój nie mógł przełknąć. W życiu mojem nie widziałem większego skąpstwa, niż tam.

— Nie dziwota, biedacy—pan Goldeifer potwierdził.— Zato u mnie możesz pić, ile sam zechcesz. Nalój sobie drugą szklankę. Albo poczekaj, ja ci wpierw dam rumu, a ty herbatą go dolejesz.

To powiedziawszy, gospodarz wlał do szklanki dwa razy tyle rumu co przedtém i przysunął ją do kamerdynera. Ten uśmiechnął się z zadowoleniem, a gdy szklankę herbatą wypełnił, zaczął ją pić ze wzrastającym apetytem.

Przy końcu drngiej szklanki był już czerwony jak bu-rak, a oczy mu się świeciły blaskiem fosforycznym. Nie był jednak wesół, przeciwnie—zrobił się chmurny i jakby zły. Dziedzie mimowolnie spojrział na biurko, na którym leżał rewelwer. Mimo to, trzecią szklankę nalał mu sam; tym razem rumu było już w niej pół-na-pół. Gdy Dyonizy wsparł głowę na łokciu i, ponuro przed siebie zapatrzony, zaczął pić ze swobodą człowieka, znajdującego się we własnym domu, wtedy p. Goldeifer, schowawszy ukradkiem rewelwer do kieszeni, wyszedł do przyległego pokoju i tam ze sługami odbył krótką naradę. Potém wrócił, usiadł na dawném miejscu, dolał Dyonizemu rumu i rzekł wesóło:

— Pij, mój kochany, pij, jeśli ci smakuje, i niech ci będzie na zdrowiel!

— Co mi tam z tego, że dziś mnie pan częstuje, skoro może jutro dostanę w kark i będę się musiał ztąd zabierać—Dyonizy odpowiedział.—Z panami zawsze tak: dziś cię lubią, jutro czubią...

— U mnie tak nie będzie, ja zostanę do śmierci twoim przyjacielem. Pij, Dyonizy, pij! przecie ja tobie nie żałuję.

— Prawda, że mi pan nie żałuje, ale człowiek wolałby pić za swoje pieniądze, niż być na cudzej łasce. Hej, hej!— zawołał, rękę do góry podnosząc,—gdyby się tak było udało!

— Co gdyby się było udało?—pan Goldeifer podchwycił.

Dyonizy spojrział na swego chlebobawcę błędnemi oczyma, ale nic nie odpowiedział.

— Niech cię to nie martwi, że nie pijesz własnej herbaty. Co się przewlecze, to nie uciecze; co nie jest dziś, może łatwo być jutro. Na świecie nie ten ma, kto zasłużył, ale ten, kto szczęśliwy, lub kto...

Urwał. Dyonizy zwrócił na niego wzrok pytający.

— Kto?—powtórzył.

— No, ten, kto umie to zdobyć, czego nie ma... Czy ty myślisz, Dyonizy, że jabym był dziś taki bogaty, gdybym był szedł zawsze drogą uczciwą? Ręczę ci, że byłbym z głodu zdechl pod płotem. Wierz mi, uczciwość nie popłaca. Musiałem więc i ja spekulować, no i szczęśliwie mi się udało.

— A jakieś spekulował?—Dyonizy zapytał poufale, na stole cały się rozwalając.—Możebyś mnie nauczył téj spekulacyi, to i jabym był bogaty.

— Owszem, nauczę cię chętnie, ale wpierw wypij tę szklaneczkę i naléj sobie jeszcze jedną... Przy szklance lepiej się mówi i człowiekowi weselój. Tak, dobrze... A teraz, jeśli chcesz się dowiedzieć, jak się robi majątek, to ci powiem, jednakże pod wielkim sekretem, bo gdybyś mnie zdradził, poszedłbym na całe życie do kryminału, może nawet na srubienicę.

— Och! aż tak?

— A tak... ale ja wiem, że ty to zachowasz w tajemnicy, boś ty mój przyjaciel. Powiem ci więc, że jeszcze temu lat piętnaście byliśmy z ojcem biednymi Żydkami, aż raz nocował u nas pewien kupiec z Rosyi, który miał

przy sobie milion rubli. Wieczorem naradziliśmy się z ojcem, no, a w nocy...

— Cóżście zrobili w nocy?

— Jam go przytrzymał, a ojciec brzytwą tylko raz pociągnął po gardle, no i pieniądze zaraz się znalazły w naszej kieszeni... Potem pokrajaliśmy go ładnie na kawałki i wrzucili do kanału. On tam leży do dziś, a ja, dzięki Bogu, jestem sobie pan i szlachcic.

— Nie każdy taki szczęśliwy!—mruknął Dyonizy.

— Czemu nie każdy?

— Bo czasem pieniędzy szukasz, a nie znajdziesz...

— Prawdęś powiedział, Dyonizy!—pan Goldeifer zawołał, i ujawszy pijanego za rękę, dodał:—Ja wiem, że tobie się nie udało; ale wierz mi, to nic nie szkodzi. Nie dziś, to jutro się uda.

— A co mi się nie udało?

— Dyonizy, ja wiem wszystko.. Przecie wtedy, jak hrabia do Wiednia pojechał, tyś poszedł do pani Zielińskiej, wziąłeś ją delikatnie za gardło, rzuciłeś ją na ziemię i wszystko przeszukałeś, a pieniędzy nie było. Czy może nie tak?

— A tobie kto to powiedział?

— Kto mi powiedział? Na co mi miał kto mówić, kiedy ja sam wiem. Przecie musiałeś nieraz słyszeć, że Żydzi wszystko wiedzą.

— Pewnie ci coś gadał ten rudy kasztan na ulicy Długiej, któremu pierścionek za dwa reńskie sprzedałem!

— To on tobie dał tylko dwa reńskie? A to gałgan, jak on ciebie oszukał, mój Dyonizy! Pewnie to był ten pierścionek, który pani Zielińska na palcu nosiła. Patrz-no, jaki z niego szachraj! Taki złoty pierścionek wart najmniej dziesiątkę, jeżeli nie więcej.

— Dobrze, że choć tyle dał... człowiek przynajmniej nie męczył się całkiem darmo.

— Więc tyś się męczył? A jam myślał, żeś ją zadusił odrazu, jak kureczkę.

— Tak ci się zdaje! Człowiek, gdy ginie, to się broni... Baba, choć mała, wrzeszczała: „Dyonizy! Dyonizy! Co ty

robisz?!” Ale wtedy mocniej przycisnąłem i ani pisnęła więcej.

— Zuch z ciebie, wielki zuch! No, napij się jeszcze, Dyonizy, a jak Pan Bóg da do jutra szczęśliwie doczekać, to się prześpisz w kryminaliku.

Dyonizy porwał się z krzesła i wzrok błędny wkoło zatoczył.

— Hej! Żydzie, coś powiedział!—wrzasnął.—Ty łapiesz, podchwytyjesz, a jam nic nie mówił, nic!

Pan Goldeifer przypadł do drzwi i wpuścił służbę, która tam stała zebrana.

— Weźcie tego łotra, zwiążcie go, niech ginie na szubienicy!—krzyknął, z gniewu się pieniąc.—To on zamordował panią Zielińską, a teraz hrabia za niego cierpi. O! my, szlachta, musimy się wspierać i ratować, inaczej przez takich zbójów moglibyśmy wszyscy wyginać! Dalej, wiązać go!

Dyonizy chciał się bronić, chwycił nawet stółek i na samego dziedzica się zamierzył, ale nim miał czas uderzyć, już lokaj ze stangretem za ręce go ujęli i przygotowanymi sznurami w tył je skrępowali.

Morderca wytrzeźwiał. Kąsał na prawo i lewo, pianą twarz mu się okryła, złorzeczył chwili, w której Goldeifer przywiózł go do Wierzejowa. Pan Goldeifer tymczasem ręce z radości zacierał.

VII.

Errare humanum est.

Pan Olski wstał, jak zwykle, ze wschodem słońca, wyszedł na ganek i usiadł na drewnianej ławeczce.

Ranek był ciepły i jasny. Mgła, która do dnia naksztalt szarěj opony osłaniała pola i lasy, na dół opadła; złote słońce wypłynęło ponad góry, widne na dalekim horyzoncie; kapela z ptaków przeróżnych zagrała w ogrodzie hejnał na cześć Ojca wszelkiego stworzenia.

Pan Olski słuchał, pełną piersią pił świeże powietrze, ciekawe spojrzenie kierował to w prawo, to w lewo, a uśmiechał się z zadowoleniem.

Był szczęśliwy.

Wczoraj nastroił w mieście trzy fortepiany i dostał trzy guldeny; w domu nie było żadnego braku: żona i córka miały dobre trzewiki; on sam przed tygodniem dał sobie buty podszyć, więc mógł w nich chodzić najmniej pół roku, a Marynia powiedziała mu pod wielkim sekretem, że ten pan, który do nich wieczorami przychodzi, Ludwik mu na imię, wczoraj jěj wyznał, że ją kocha. Będzie więc wesele, będzie!

Czegóż mu jeszcze do szczęścia mogło brakować?

Ach! człowieka całkiem szczęśliwego niema na tym świecie! Kiedy tak patrzy na cudną naturę i z uśmiechem słucha ogrodowych muzykantów, czoło dotąd pogodne zaczyna się chmurzyć, wzrok się zasępia i uśmiech gaśnie na bladą twarz. O! bo mimowoli bolesne wspomnienia obudziły się w głębi jego duszy. Pani aptekarzowej, która go co miesiąc do siebie wzywała, Żyd zabrał fortepian i prawdopodobnie sprzeda go do Lwowa, lub może jeszcze dalej. W Lipieńcu głucho, dwa fortepiany stoją nietknięte, i wielkie pytanie, czy kiedykolwiek będzie je stroił.

Źle się przyszłość zapowiadała, bardzo źle...

Ale prawdę powiedziawszy, ze wszystkich klęsk najbardziej go bolała ta, która spadła na Lipiniec i jego mieszkańców. I nie szło mu tu o fortepiany, bynajmniej! On żałował ludzi, nie rzeczy. Wszyscy tam byli dla niego tacy uprzejmi, przyjacielscy. Sadzali go przy swoim stole, dawali jeść i pić, wypytywali troskliwie o żonę i córkę, a ilekroć zaczął z nimi politykować, zawsze mu rację przyznawali. A na balu u pana Grzywy kto pamiętał o jego Maryni? Nikt, tylko pan Konrad. Zaczny to obywatel, wszyscy tam zacni, niech im Bóg pozwoli w szczęściu niezamąconém doczekać późnej starości. I na takich ludzi zacnych, na tego hrabiego, który wyglądał jak król, padło podejrzenie, że on dla pieniędzy panią Zielińską zabił! Ach! oszaleli ci sądziowie, czy co?...

Pan Olski schylił głowę i tak się teraz zamyślił, jak dotąd może jeszcze nigdy; nareszcie w czoło się uderzył:

— Doprawdy, byłbym zapomniał, a to może ważne!...

Podniósł się szybko z ławeczki, i we drzwiach od pokoju stanąwszy, zawołał:

— Maryniu! wstajesz?

— Jam już ubrana, tatuńciu, i właśnie kawę gotuję—
sórka odpowiedziała.

— Chodź tu, moje dziecko, chcę ci coś powiedzieć.

— Idę, tatuńciu.. a tu mateczka może łaskawie przypilnuje śmietanki, żeby nie wykipiiała.

Z temi słowy zbliżyła się do ojca, i w rękę go pocałowała, rzekła:

— Słucham, tatuńciu!

— Chcę ci coś, Maryniu, powiedzieć... Miałem dziś w nocy sen wiele znaczący... Opowiem ci go, a ty osądzisz, czy on ważny. Otoż śniło mi się, że byłem w Lipińcu, siedzieliśmy przy kolacyi, pana hrabiego na chwilę wywołali, a kiedy wracał, tośmy się już rozchodzili. Widzę go jeszcze, jakby stał przede mną, poważny, trochę smutny. Ja miałem mój zwykły pokój, tuż obok pani Zielińskiej. Rozebrałem się, zmówiłem pacierz i położyłem się spać... ot, jak zwykle. Ledwie zasnął, coś mnie bndzi, otwieram oczy, ciemno... siadam na łóżku... Wyraźnie słyszę szelest za ścianą, potem wołanie: „Dyonizy! Dyonizy! co robisz!” Wtém coś upadło... I znów zrobiło się cicho. Ponieważ nie mi już nie przeszkadzało, więc położyłem się i znowu zasnąłem.

Córka słuchała, oddech wstrzymując. Gdy ojciec skończył, spytała:

— Czy tatuńcio jest pewny, że się to tatkowi dziś śniło?

— Pewnie, że dziś, bo zkądbym to wiedział?

— Niech sobie tylko tatuńcio dobrze przypomni.

Ojciec zaczął trzeć czoło.

— Ależ nieinaczej, wszak wszystko mam jak na dłoni.

— A czy przypomina sobie tatko, jak to w roku ubiegłym opowiadał nam raz tatko pewną historyjkę, która mu się wtedy niby śniła, a tymczasem tatuś od kogoś ją słyszał kilka tygodni przedtém, a tylko zapomniał?

— Prawda.. przypominam sobie.

— Otoż ja myślę, że i teraz to samo się stało. Tatuńcio pamięta rzeczy dawne doskonale, a tylko świeże z pamięci mu wybiegają. Łatwo tedy być może, że sen dzisiejszy jest przypomnieniem tego, co owéj nocy, gdy panią Zielińską mordowano, w Lipińcu się działo, a czego tatko wówczas całkiem zapomniał.

— A może i tak.. Mnie doprawdy pamięć się popsuła, i nieraz co rano usłyszę, już po południu zapomnę.

— I wyraźnie tatko pamięta, że za ścianą ktoś wołał: „Dyonizy!?”

— Najwyraźniej w świetle... Przysięgnę na to.

— A był w Lipińcu wtedy jaki Dyonizy?

— Był lokaj. To ten sam, o którym Paszuta zawsze utrzymywał, że mu z oczu źle patrzy.

— Skoro tak, więc nie mamy chwili do stracenia!— córka zawołała.—Trzeba, tatuścu, natychmiast iść do sądu. Takie zeznanie może sprawę rozjaśnić.

— Do sądu, powiadasz?—powtórzył z zakłopotaniem.— Ja tak sądu nie lubię... Pamiętam, jak i mnie sądzili... trzeba będzie świadczyć, przysięgać.. a kiedy ja tam będę drogi czas tracił, wpadnie tymczasem ze Lwowa jaki furfant i pozabiera mi wszystkie fortepiany.

— Więc tatuś chce, żeby pan hrabia dalej siedział w więzieniu?

— A cóż ja mu pomogę?

— Nadzwyczaj wiele! Wszak nie ulega wątpliwości, że to Dyonizy mordował panią Zielińską, skoro ona wołała go po imieniu.

— Prawda... prawda... o! chodźmy do sądu, chodźmy! Biedny pan hrabia! Ale i ty, Maryniu, chodź ze mną, to mi będzie odważniej.

Na tę rozmowę przyszła matka z kuchni, a usłyszawszy, co sobie mąż przypomniał, prędko zawołała:

— Ależ idź, stary, idź! przecie to nasi dobrodzieje, nie godzi się ich opuszczać!

— Idę, matko, idę... podaj mi tylko, Maryniu, moją łaskę, bo mi coś nogi nie statkują.

I wyszedł z córką do sądu.

Biegli ile możności prędko. Na skrócie pierwszej ulicy spotkali pana Lisińskiego. Znał on stroiciela dobrze, więc też przystanął i zapytał:

— A gdzie to jegomość tak pędzi?

— Śpieszę do sądu, świadczyć za hrabią.

— Oho, aż tak?

— Nieinaczéj — Marynia za ojca odrzekła z pośpiechem kobiety, pragnącéj jaknajprędzéj z innymi tém się podzielić, co jéj piersi wypełniało, i opowiedziała, z czém szli do sądu.

— Przywidzenie, czyste przywidzenie—rzekł na to pan Lisiński.

Chciał się uśmiechnąć niby z politowaniem, ale mu się nie udało.

— Takie historye — mówił daléj — nie mają dla sądu żadnéj wartości.

— Zobaczymy! Chodźmy, tatuńciu!—Marynia odparła, i ujawszy ojca za rękę, puściła się z nim najbliższą drogą do sądu.

Pan Lisiński zatrzymał się na chodniku. To, co usłyszał, okropnie go przeraziło. Wina hrabiego była dla niego ostatnią deską ratunku. Odkąd ten siedział w więzieniu, pan Grzywa odzyskał rezon i wierzył w swoją rehabilitacyę; przeciwnie, gdyby hrabia wyszedł cało, dla dziedzica Strzałkowiec z przyległościami nie byłoby już ratunku. Wtedy i on, Lisiński, nie miałby co robić przy swoim dziedzicu.

Pocieszał się jeszcze nadzieją, że to, co stroiciel powiedział, bądź było urojeniem, bądź téż w oczach sądu nie będzie miało żadnéj wartości.

Chciał iść daléj, gdy wtém spostrzegł ekwipaż pana Goldeifera. Na koźle siedział sam właściciel, w tyle zaś pomiędzy dwoma mocnymi chłopami widać było człowieka związanego. Pan Goldeifer wołał: „Z drogi! z drogi! mam go, mam!” a wołał tak głośno, z taką uciechą, że ludzie ze wszystkich stron się zbiegali, a ten i ów pytał:

— Kogo pan wieziesz?!

— Mordercę pani Zielińskiéj! Już go mam! Hrabia niewinny! Wiwat hrabia Tęczyński!

I ten sam tłum, który wczoraj zlorzeczył szlachcie, mordującéj dla pieniędzy bezbronne kobiety, biegł teraz za ekwipażem Goldeifera, ze wszystkich sił wołając:

— Wiwat hrabia Tęczyński! Wiwat!

Dojechał do domu, w którym mieszkała pani Alicya z Zosią; ale nim miał czas wejść do nich i powiedzieć,

jaką zdobycz wiezie, już gawieź go w tém wyprzedziła, bo każdy krzyczał do otwartych okien, że złapano właściwego winowajcę.

Paszuta stał w bramie domu, a jak tylko spostrzegł Dyonizego z rękoma na plecach związanemi, natychmiast wszystkiego się domyślił. Nie czekał też, aż mu powiedzą, co się stało, tylko bez czapki, bez laski puścił się do sądu. Biegł jakby młodzik jaki, ani razu się nie potknął; chociaż peruka z głowy mu spadła, nie uznał za potrzebne po nią się schylić; aniołowie skrzydła mu przypięli—pędził coraz szybciej, a nie był znużony.

Wbiegł do sądu—sam nie wiedział, kiedy na górę się dostał; na jego szczęście klucznik właśnie wchodził do kaźni hrabięgo; nie pytając tedy o pozwolenie, wpada za nim, rzuca się do nóg swemu panu, chwyta go kurczowo za rękę i woła:

— Jaśnie panie!... mówiłem... Dyo... Dyonizy! To on!...

Hrabiemu w głowie się rozjaśniło. Choć stary sługa nie więcej nie powiedział, hrabia domyślił się, z jaką przybiegł wiadomością.

Pochylił się, aby go z ziemi podnieść. Nie mógł... ciało było ciężkie, jakby ołowiane.

Paszuta nie żył.

Hrabia przyklęknął i wiernego przyjaciela w głowę pocałował.

A kiedy to się działo w więzieniu, w mieście kipiało. Od przedmieścia do przedmieścia, od rogatki do rogatki biegła lotem błyskawicy wiadomość o pojmaniu zbrodniarza; a chociaż niejedni byłby wołali, żeby nim był hrabia Tęczyński, nie jakiś tam sługa, mimo to napozór wszyscy byli zadowoleni, bo nawet najgorsi wołali, gdy ich świat ma za lepszych, niż są w istocie.

Panna Kunegunda przybiegła bez tchu do pani inspektorowej, i drzwi otworzywszy, zawołała:

— A nie mówiłam kochanej pani.. niewinny! niewinny!

— Ależ, panno Kundziu, jam już dawno była tego samego zdania; mój mąż, który wie wszystko, przepowiadał to od dwóch tygodni.

— Cudownie się stało, cudownie!

— Dzięki Bogu, że sprawiedliwość tryumf odniosła!— pani inspektorowa westchnęła, oczy w górę podnosząc.

Wszyscy tedy byli zadowoleni, krom jednego pana Lisińskiego. Ten przeczekał w mieście godzinę, a gdy się trochę uspokoiło, poszedł do sądu. Tu odwiedził najpierw radcę Darskiego, potem samego prezydenta. Ale to, co usłyszał, nie sprawiło mu wielkiej przyjemności, skoro, z sądu wychodząc, miał twarz zaszępioną. Nie zatrzymując się w mieście dłużej, wsiadł na wózek i odjechał do Strzałkowie.

Przez drogę myślał, co swemu dziedzicowi powie i jakich sztuczek użyje, by się nadal przy nim utrzymać. A potrzebował tego koniecznie, jeśli miał żyć. Majątku nie złożył dotąd żadnego; pan Grzywa sprawami zawsze tak kierował, że nawet na tych interesach, które wspólnie prowadzili, on sam zarabiał, nie zaś Lisiński; do żadnego specjalnego zawodu nie był uzdolniony, słowem mógł być tylko tęp, czém był w rzeczywistości: totumfackim, trochę faktorem a trochę intrygantem, zawsze zaś najniższym sługą tego, który mu przy sobie żyć pozwalał.

Nie ułożywszy nic praktycznego, zajechał przed dwór strzałkowiecki.

Dziedzic znajdował się w swoim pokoju i z jakimś chłopem wiódł żywą rozmowę. Chłop przyniósł pieniądze, które mu był winien; pan Grzywa wyjął już nawet klucz od kasy ogniotrwałej, która w pokoju stała, ale przy obliczeniu okazało się, że dłużnik dawał o trzydzieści guldenów mniej, niż wierzyciel żądał. Chłop przeciwnie twierdził, że tyle oddaje, ile jest dłużny.

Pan Grzywa zaczął na nowo liczyć, a gdy skończył, zawołał:

— A widzisz, gałganie, że tak jest, jak ja mówię! Wzięłaś dwie „porcye,” nie zapłaciłaś procentów, nie odra-

białeś, kiedym wołał, więc po sumiennym obrachunku należy mi się o trzydzieści papierków więcej, niż dajesz! Jeżeli nie zapłacisz, zaskarżę cię jutro do sądu.

— Niech mi tét wielmożny pan powiedzą, za co ja właściwie winien te 30 reńskich?

— Za „sztrafy!”—pan Grzywa gniewnie odpowiedział. Chłop głową pokręcił:

— E, ja za „sztrafy” nie będę płacił.

— Nie będziesz?—pan Grzywa krzyknął, ze stolka się zrywając.

Zirytował się tak straszliwie, że twarz jego zrobiła się prawie granatowa.

— Pewnie, że nie będę, bo mi mówił adwokat w mieście, że pieniądze za „sztrafy” nie są sprawiedliwe.

— Co?... co!... niesprawiedliwe?... I ty mi śmiesz to mówić w żywe oczy?... Lisiński, dobrze, żeś przyjechał...

Coś go za gardło dławilo. Plecami oparł się o kasę... W prawej ręce trzymał klucz od niej, lewą macał dokola siebie, pragnąc chwycić się jakiego przedmiotu. Twarz z granatowej zrobiła się siną, oczy były błędne.

Lisiński przestraszony skoczył, aby go podtrzymać, ale nim to się stało, już dziedzic Strzałkowie z przyległościami z nóg się zsunął i jak kłoda na ziemię się zwałił.

Chłop, widząc to, wymknął się z pokoju, wskoczył na wóz i dalej do domu.

Lisiński, jako człek przezorny, zorientował się w jednym oka mgnieniu. Przypadł do drzwi, zamknął je na klucz, potem schylił się nad panem Grzywą.

Dziedzic żył jeszcze, Lisińskiego widział, ale nie mógł przemówić.

— Daj klucz!—zawołał Lisiński, i umierającego za rękę chwyciwszy, chciał mu z niej klucz wyrwać.

Ale pan Grzywa klucza nie puścił. Zaczął charcząć, rękę jednak zaciskał coraz mocniej.

— Daj klucz, łotrze!—wołał przyjaciel i ze wszystkich sił starał się rozchylić palce, które zamykały się nakształt kleszczy żelaznych.—Przecież zdychasz, pieniędzy z sobą

nie weźmiesz, a jeśli ma kto majątek zabrać i jeszcze tańcować na twym grobie, to wolę ja, bom przecie nie mało lat przy tobie zmarnował!

Widać było, że pan Grzywa wszystko słyszy i rozumie, bo twarz jego przybierała wyraz coraz straszliwszy. Lisiński dobywał reszty sił, ale napróżno. Wtedy gniewem uniesiony podniósł rękę do góry.

— Łotrze! masz!—wrzasnął.

I byłby go może uderzył, gdyby nie to, że w tej samej chwili przed domem zaturkotały koła wozu, na którym przyjechał pisarz prowentowy.

Lisiński skoczył do drzwi, aby je otworzyć. Czas był najwyższy.

Umierający odprowadził go jeszcze wzrokiem, potem zaczął bardziej charcząć i wydał ostatnie tchnienie.

Ale klucz trzymał dalej, jak żelaznemi kleszczami.

Czy przeczuł kto w mieście o tej godzinie, że pan Bartłomiej Grzywa skończył we własnym domu, na podłodze, dla marnych trzydziestu guldenów?...

O nim nikt tam nie myślał, bo zaczawszy od prezydenta sądu, a skończywszy na ostatnim sędze magistrackim, wszyscy tam byli zajęci hrabią Tęczyńskim i prawdziwym bohaterem dnia, panem Romanem Goldeiferem. Wypadek zrządził, że nawinął się także Franus Czapiński. Ten wziął przyjaciela zaraz w swoją opiekę, i odtąd widziano ich wciąż razem, rozmawiających głośno o krzywdzie, jaką radca Darski z Krueglerem wyrządzili hrabiemu, i domagających się reformy kodeksu karnego i wielu innych rzeczy. Chodzili po kawiarniach, cukierniach, restauracyach, aby wszyscy ich widzieli i podziwiali. A kiedy nagadali się już dosyta, Franus osądził, że niezbędną jest rzeczą, aby prezydent, celem dania choć jakiej takiej satysfakcyi skrzywdzonemu, urządził jeszcze tegoż dnia u siebie herbatę i na nią zaprosił hrabiego razem z wybitniejszymi matadorami miasta. Gdy pan Goldeifer plan ten pochwalił, udali się obadwaj do prywatnego mieszkania pana Turbana.

Prezydent był wielce zakłopotany. Wogóle w całym sądzie panowała konsternacja. Usłyszawszy, z czém przyszedli ci panowie, z początku chciał się od tego wymówić, Frannś jednak tak energicznie stanął w obronie swego projektu, że prezydent, nie mogąc zwalczyć jego argumentów, uległ i niezwłocznie rozesał bilety z zaproszeniami.

Dyonizy nie wypierał się swego czynu. W Wierzejowie, chociaż był pijany, chciał się bronić i wszystko odwołał, ale gdy się przespał i gdy mu w sądzie wyperswadowano, że wszelkie wykręty na nicby się mu nie przydały, bo nie tylko ów Żyd się znalazł, któremu za dwa reńskie sprzedał pierścionek zamordowanej, ale i pan Olski 'złożył właśnie zeznanie, wielce go obciążające,—dał pokój walce bezużytecznej, i przyznawszy się do spełnionego czynu, z rezygnacją poddał się losowi.

To sytuację wielce wyjaśniło. Prezydent zwołał sesję nadzwyczajną, a gdy na nią zapadła uchwała, żeby hrabiego niezwłocznie na wolność puszczono, udał się ze wszystkimi radcami do jego kaźni, i wynurzając nadzieję, że sądowi tego za złe nie weźmie, iż tak długo niewinnie go więziono, prosił go jednocześnie do siebie na herbatę.

Hrabia przyjął ich w milczeniu, za zaprosiny uśmiechem podziękował, ale ust nie otworzył. W towarzystwie swoich dzieci, które po niego przybiegły, udał się do ich mieszkania, a ztamtąd natychmiast odjechał do Lipińca. Do miasta mieli wszyscy przybyć dopiero trzeciego dnia, na pogrzeb Paszuty.

Tak więc herbatka odbyła się bez współudziału tego, na czyją cześć była dana. Prezydent miał minę wielce zwarzoną, pan Goldeifer nie był także w dobrym sosie; Frannś udawał, że jest w najlepszym humorze; a co do panów radców i innych urzędników, ci byli kontenci, że jest herbatka z preferansikiem, a o resztę nie dbali.

Między zgromadzonymi znajdował się także radca Darski. Ten przyszedł umyślnie, żeby okazać, iż z tego, co się stało, nic sobie nie robi.

Radca Życzyński zbliżył się do niego i sucho zapytał:

— A co?

Darski zarzucił nogę na nogę i, cygara z ust nie wyjmując, odparł:

— Ja się trzymam paragrafu, a o resztę nie dbam...
Zresztą *errare humanum est.*

VIII.

Rozwiązanie.

Długą jak wieczność wydawała się naszym przyjacielom podróż z Rio de Janeiro do Europy.

Ból, który ich z Nowego Świata wypędził, był tak dojmujący, że, aby go nie jątrzyć, w pierwszych dniach nie mówili. Dopiero gdy serca uspokoiły się nieco, a myśl zrobiła się jaśniejsza, dopiero wtedy zaczęli roztrząsać fakt, który ich tak przeraził, i obaj, acz każdy z osobna, doszli w głębi duszy do jednej konkluzji, mianowicie: że w Lipieńcu popełniono zabójstwo, hrabiego zaś uwięziono przez omyłkę.

Mimo to pragnęli na skrzydłach do domu dolecieć, każdy z nich bowiem wierzył, że gdy na miejsce przybędzie, wtedy może nietyle swoim rozumem i przenikliwością, co poświęceniem, przyczyni się do rozcięcia węzła gordyjskiego. Że Antoś był przejęty temi samemi co Stanisław uczuciami, nie można mu się dziwić. Miłością szalonemu zdawało się, że rodzina Tęczyńskich to jego własna, którą nietylko kochać, lecz i ochraniać powinien...

Gdy nareszcie do Europy przybyli, wsiedli do wagonu z postanowieniem niezatrzymywania się prędej, aż w Wie-

dniu, gdzie Stanisław chciał się zgłosić do księcia de Montpellier, by mu za pamięć podziękować. U niego także spodziewał się zasięgnąć bliższych wiadomości o ojcu.

Jak mu serce biło, gdy wysiadłszy z wagonu w stolicy naddunajskiej, jechał do mieszkania przyjaciela swój rodziny!

Książę był w domu. Wprawdzie młodzieńca przyjął z wielką radością i ze łzami w oczach, ale mimo to nie taił przed nim boleści, która nim ogarnęła od wypadku w Lipíncu. O samym fakcie dowiedział się najpierw z gazet, następnie od Konrada Palińskiego, który na życzenie hrabiego opisał mu wszystko szczegółowo. Książę tak się zmartwił, że ciężko się rozchorował, a z nim i jego żona. Gdyby nie to, byłby natychmiast pojechał do Galicyi, aby obecnością swoją dodać otuchy nieszczęśliwemu przyjacielowi i przyczynić się, o ileby to było w jego mocy, do rozjaśnienia tragicznej zagadki. Ponieważ nie mógł się z łóżka dźwignąć, przeto doniósł tylko sądowi, w jakim celu po hrabiego telegrafował, i kiedy ten był u niego w Wiedniu. Na to otrzymał odpowiedź, że szczegół ten, jakkolwiek ważny, nie jest rozstrzygający; zresztą będzie o nim mowa dopiero podczas ostatecznej rozprawy, za kilka miesięcy...

— Teraz jednak jesteśmy już zdrowi, więc też wszyscy razem pojedziemy!—książę kończył.—Nie w szczęściu powinniśmy być przyjaciółmi, ale w nieszczęściu! Zresztą niech ci ludzie bez przeszłości, którym się zdaje, że arystokracja już ginie, przekonają się na własne oczy, że ilekroć idzie o naszą cześć, łączymy się wszyscy solidarnie. Tracimy majątki, prawda; opuszczamy dobrowolnie stanowiska, które nam społeczeństwo zajmować pozwala, prawda; ale mimo to trzymamy się przynajmniej wiecznie jednego sztandaru i w jego obronie zginiemy, a tym jest nasz honor!

Książę już od kilku dni był spakowany i do podróży gotów, więc też mogła ona jeszcze tego samego dnia nastąpić.

Antoś, kierując się wrodzoną delikatnością uczuć, chciał teraz usunąć się i sam odjechać. Ledwie Staś to przejrzał, powiedział zaraz księciu, przyczem ten zjawił się sam w hotelu, by młodzieńca do siebie zaprosić.

— Nie sądz pan—mówił książę,—że go samego puścimy. Moja rodzina chce cię bliżej poznać; wie już bowiem od pana Stanisława, z jak bohaterskiem poświęceniem życie mu ocaliłeś.

Antoś spojrział na Stanisława z wyrzutem, ten jednak uśmiechnął się na to i rzekł:

— Pierwszy raz widzę, że się chcesz prawdy zapierać, a to przecie nieładnie.

Antoś rad nierad musiał tedy kapitulować. I niebardzo tego żałował, bo kiedy do księstwa przyjechał, najpierw księżna powitała go jak dobrego znajomego, następnie księżniczka, rękę mu podając, rzekła:

— Dziękujemy panu serdecznie, żeś nam uratował pana Stanisława.

Jakiemi oczyma, choć jemu dziękowała, spojrzała w téj chwili na Stasia! A jak się rozbawiła, jaka była mowna i wesola! I całej téj przemiany dokonał jego powrót...

Kiedy patrzył na tych młodych ludzi, zajętych tylko sobą, czego rodzice zdawali się nie uważać, jakaż boleść serce mu targala! Czyż i on nie mógłby być szczęśliwym, gdyby nie fatum złowrogie, które mu kazało wznieść oczy zawysoko?.. Czemuż nie ukochał kobiety sobie równéj? Czemu, nieszczęsny, zamarzył o takiéj, którój zły świat nie mógł mu nigdy oddać?

A chociaż o tém wiedział, myśl o Zosi na chwilę go nie opuszczała, pragnienie zaś oglądania jéj jaknajprędzej, zwłaszcza wśród terażniejszego nieszczęścia, stało się w nim tak gorączkowém, że już nie dni, nie godziny, ale prawie minuty liczył, kiedy ją zobaczy i jéj srebrny głos usłyszy.

Niedarmo mówią, że po burzy słońce, po boleści radość. Czy przeczuwali nasi znajomi, co ich spotka za kilka godzin w Krakowie? Gdy tu stanęli, a Staś kupił miejscowe dzienniki, ledwie z nich jeden otworzył, okrzyk największej radości wyrwał mu się z piersi.

— Ojciec wolny! Morderca złapany!—zawołał tak głośno, że cała sala na niego oczy zwróciła.

Książę, nie rozumiawszy polskich wyrazów, zapytał,

co go tak ucieszyło. Staś powtórzył mu swoje słowa po francuzku i z płaczem na szyję mu się rzucił.

Wszyscy do łez byli wzruszeni.

Gdy się uspokoił, rzekł ksiązę:

— Najbardziej to mnie cieszy, że sąd pojmał istotnego sprawcę zbrodni. W tego rodzaju wypadkach tylko zupełna jasność honor nasz ocala. Dziś nikt już nie powie: „Coś tam w tém musiało być!” dziś każdy musi przyznać, że człowieka jak łza czystego skrzywdził biurokratyczny pedantyzm. Podziękujmy więc Bogu, że w miłosierdziu Swojem dał nam zadośćuczynienie zupełne!

Odtąd ich podróż równała się pochodowi tryumfalnemu.

A jaka była radość w Lipieńcu, jaki gwar, jakie śmiechy wesole, chociaż je co chwila płacze przerywały, gdy goście drodzy a niespodziewani zjechali się ze stron dalekich, by uściskać hrabiego, który gratulacye ze wszystkich stron przyjmując, z wielkiego wzruszenia nie mógł słowa przemówić! Wilgotném okiem spoglądał tylko to na syna, to na księcia, przyjacielowi dłoń ścisnął w milczeniu, a syna marnotrawnego do piersi tulił...

— Wiercie mi... jam taki szczęśliwy, że boję się zmysły stracić. Zostawcie mnie samego!

Odeszli tedy, ażeby mógł uspokoić swoje uczucia i uporządkować myśli skolatane; a kiedy, sobą zajęci, o Antosiu całkiem zapomnieli, wtedy ten, przypomniawszy sobie, że w tym domu, do którego Staś i ksiązę przemocą go przywieźli, jest zbyt czysty, zaczął cofać się do dalszych pokojów, aby niepostrzeżenie wyjechać.

Znalazła się atoli jedna osoba, która, acz gościmi gorliwie była zajęta, na chwilę z oka go nie spuściła. Ta w kilka minut wszystko wybadala, a gdy spostrzegła, że młodzieniec myśli uciekać, skorzystawszy z ogólnego zamieszania, za nim się wymknęła, dopadła go przy samych drzwiach, dwoje białych ramion zarzuciła mu na szyję i cicho szepnęła:

— Ani mi się pan waź odjeżdżać! To za księżniczkę!— tu go pocałowała.—To za Stasia!—całus nowy, gorętszy.— A to za siebie!—całus trzeci, najgorętszy.

Młodzieniec nie miał nawet czasu zdać sobie sprawy z tego, co się z nim stało. W głowie mu się zakręciło, w oczach pociemniało—myślał, że śni... Gdy oprzytomniał, chciał ją za rękę ująć, przemówić, ona jednak, raz jeszcze zawoławszy: „Ani mi się waź!” przyczem paluszkami mu pogroziła, wybiegła do drugiego pokoju.

Nie widział jęj więćej, ale słyszał jęj głos srebrzysty, pelen życia i czaru.

O! Antoś nie był jeszcze nigdy tak szczęśliwym!..

Drugiego dnia po przyjeździe drogich gości zjawił się w Lipińcu pan Roman Goldeifer w karecie wiedeńskiej, ponsowym adamaszkiem wybitęj, zaprzężonęj w te same konie, które kupił u hr. Baworowskiego. Dziedzic Wierzejowa z przyległościami był niezmiernie głośny, rozrzucający się, „plował” po wszystkich salonach, księstwu „szyku” zadawał, starając się równocześnie zaskarbić sobie ich względy; słowem zachowywał się jak w domu najlepszych przyjaciół. Nikt mu tego nie brał za złe,—jeśli kto bowiem, to ten człowiek oddał temu domowi równie bezinteresowną, jak wielką usługę.

Po obiedzie i czarnej kawie pan Roman wziął pod ramię Konrada i udał się z nim do jego gabinetu.

— Słuchaj, Konradzie! mam coś doskonałego!—rzekł, z bocznej kieszeni list wyjmując.—Czytaj, a jeżeli od śmiechu nie umrzesz, będziesz żył sto lat, co daj Boże!

Konrad czytał:

„Kochany Romciu! Zapewne musisz się dziwić, że, mimo solennęj obietnicy, iż lada dzień do ciebie wpadnę, dotąd nie przyjechałem; lecz gdy rzucisz wzrok na datę niniejszego listu, przestaniesz się dziwić, zamiast bowiem krzywić się w Krzywém, bujam nad brzegiem modrego Dunaju i całemi funtami zjadam winogrona reslauskie, które mi niezmiernie smakują.

„Chcesz wiedzieć, co mnie z domu wypędziło? Posłuchaj.

„Pamiętasz, jakeśmy się śmiertelnie wynudzili na tęg herbatce u prezydenta, na której skobliwi siedzieli z nosami pospuszczanemi na kwintę? Gdym onęj nocy do domu

wrócił, myślałem, że albo skamienieję, bądź téż, jak żona Lota, w słup soli się zamienię. Nie wiem, czym tego jego-
mości, którego żona ciekawością zgrzeszyła, dobrze zapamiętał (ja pamiętam tylko nazwiska szlacheckie); ty będziesz go lepiej znał, boś ode mnie bieglejszy w Starym Testamencie, zresztą możeś z nim w kuzynowstwie...

„Otóż wyobraź sobie, kogo u siebie wtedy zastałem... Naszę kochaną radeczynię, panią Darską. Ledwie mnie zobaczyła, zaczęła płakać, ręce łamać, a kiedym ją delikatnie zapytał, co ją właściwie do mnie sprowadziło, odpowiedziała wśród łez gorących, że się czuje przez męża śmiertelnie skompromitowaną, a skoro on targnął się złośliwie na Tęczyńskich, których ona czciła, więc z nim żyć nie będzie. Otworzywszy śluzę swęj wymowy, błagała mnie, bym jęj nie opuszczał i żebym ją wywiózł jaknajprędzj za granicę, gdzie, jako osoba bogata, może żyć spokojnie. Usłyszawszy to, pomyślałem sobie, że rycerskość znamionowała zawsze wszystkich Czapińskich; skoro więc błaga mnie o opiekę, więc jęj nie opuszczę! Jak powiedziałem, tak się stało. Chociaż, jak wiesz, nie należę do zasobnych, przyjąłem jednak babinę gościnnie, słowo honoru, bardzo gościnnie, a nazajutrz, drogami ubocznemi, aby nas jaki skobliwy nie zobaczył, wywiozłem ją do kolei. Teraz od tygodnia znajduję się z nią w Wiedniu, i wierz mi, kochany Romciu, dość mam tego dobrego. Baba kapryśna, nieznośna: raz płacze i prosi, żeby ją do Ameryki wywieźć, to znów grozi mi, że do męża wróci i powie mu, że ją wykradł. Wyborna sobie, słowo honoru, wyborna!... W dodatku okazało się, że nie ma monety. Wszystkiego przywiozła z sobą pięćset galdenów i chciałyby, aby one nietylko ją, lecz i mnie uszczęśliwiły. Wierz mi, Romciu, niezmiernie się wstydzę, pisząc o tęp, bo odkąd Czapińscy Czapińskimi, żaden z nich jeszcze nie zrobił takiego mezaliansu. Jest jednak i na to rada. Skoro mi mężem grozi, więc, aby mogła prędzj przed nim się poskarżyć, odeszlę mu ją zaraz jutro, a, o ile go znam, nie rozgniewa się za to. W głębi duszy będzie nawet rad, że jego żona przejechała się tro-

chę z dobrym szlachcicem. Zawsze to honor dla niego... A teraz, mój Romciu, coś dla ciebie. Wczoraj na Ringstrasse kogo spotykam? Piękną Julię, wzdychającą niegdyś do ideałów bezcielesnych, której później ty byłeś niefortunnym małżonkiem. Wyobraź sobie, szła pod ramię z poręcznikiem od dragonów, uśmiechnięta, uszczęśliwiona. On chłop jak dąb, wąsiska miał jak dwie miotły, bary na dwa łokcie, a kark jak u byka. Podziękuj losowi, mój Romciu, że tak szczęśliwie wszystko się skończyło; bo gdyby ci był ten wlaź w drogę, to choćbyś mu dawał sto razy słowo honoru na to, że go się nie boisz, pewnieby ci nie uwierzył... Ponieważ kaucya oficcerska wynosi 24,000 guldenów, więc niech cię także i to pocieszy, że owe 40,000, któreś wypłacił niedoszłej swojej żonie, wystarczą na pokrycie kaucyi, dzięki czemu będziesz miał teraz spokój.

„Całuję cię, kochany Romciu, w twoje tłuste policzki. Spodziewaj mnie się lada dzień w Wierzejowie, bo mi już tęskno za wami.—Twój Franuś Czapiński.”

— A co, dobry sobie?—śmiejąc się serdecznie, zapytał pan Goldeifer Konrada, gdy ten list przeczytał.

— Wyśmienity!

— Prawda? Wiesz co, Konradzie, dużo znam ludzi, ale drugiego takiego figlarza, jak Franuś, dotąd nie poznałem. Serdeczny chłopiec!

.....
Więc już koniec?

A cóż wam jeszcze powiedzieć? Chyba to, że księżniczka wyszła za Stanisława i jest najszczęśliwszą małżonką, w tej chwili nawet matką ślicznego chłopczyka; że, dzięki kapitałom, odziedziczonym po pani Zielińskiej, Lipińcowi nie więcej nie grozi; że Konrad i pani Alicya mieszkają wciąż z ojcem, a chmurka najmniejsza nie zasłania nigdy jasnego widnokregu ich życia; że książę Montpellier postanowił każdego roku spędzać lato u swojej córki, która w pobliżu Lipińca nabyła rozległe dobra; że pan Olski został ich nadwornym stroicielem z pensją 600 guldenów; że jego Marynia wyszła nareszcie za pana Ludwika; że pan

Goldeifer o żeniaczce więcej nie myśli, zato przygotowuje się do występów na arenie politycznej; że prezydent pełni dalej swoje obowiązki, a radca Darski, żyjąc teraz z żoną szczęśliwiej niż przedtym, zażywa wciąż reputacyi zdolnego i prawego sędziego; że pan Lisiński gdzieś zniknął, ale jest nadzieja, iż niezadługo wypłynie w jakimś procesie kryminalnym; że panna Kunegunda, pani inspektorowa, pan Tusowicz i reszta „skobliwych” pędzi żywot jednostajny; na koniec, że pan Trocki, straciwszy zupełnie łaskę u swego pupila, sprzedał wszystko, co posiadał, za uzyskane pieniądze kupił wózek i parę koni, poczem puścił się, jako karmazyn, nieszczęściami zrujnowany, w objazdżkę po Galicyi. Obliczywszy, że jest w niej jeszcze około 2,000 rozmaitego gatunku szlachciców i że każdy da mu choć 2 guldeny, gdy do niego przyjedzie, nie wątpi, że rokrocznie będzie miał 4,000 guldenów, z których, przy łasce Bożej, może jakoś wyżyje!

A Antos?

Z tym mamy większy kłopot. Chociaż cały majątek po panu Grzywie spadł na niego, taki bowiem znaleziono testament, sporządzony w tym samym dniu, w którym Antos potajemnie Strzałkowice opuścił, mimo to jest on wciąż nieśmiały i wątpiący. Do Lipińca jeździ, bo go tam zapraszają; a chociaż Zosia, ilekroć sposobność po temu się nadarzy, mówi mu: „Postawię na swoim!” — mimo to nie ma on odwagi o nią się oświadczyć, głównie zaś dlatego, że nie jest szlachcicem.

Franus pędko się tego domyślił, a ponieważ mu żal, by dwoje tak pięknych i młodych ludzi umarło bezpotomnie, przeto od kilku tygodni szpera po różnych archiwach i już trafił na ślad jakiegoś Grzywy, który był nobilitowany przez króla węgierskiego Macieja Korwina.

Niech was więc to nie zadziwi, jeśli lada dzień usłyszycie, że śliczna Zosia Tęczyńska wychodzi za Antosia de Grzywa Grzywieckiego,—co daj Boże! Amen.

K O N I E C .

TREŚĆ CZĘŚCI II-ÉJ.

		<i>Str.</i>
Rozdział	I. Wybory	1
"	II. Walka	35
"	III. Katastrofa	64
"	IV. Grabarze	93
"	V. Za oceanem.	125
"	VI. Majster nad majstrami	152
"	VII. Errare humanum est	174
"	VIII. Rozwiązanie	1

**INSTYTUT
BADAN LITERACKICH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42



2887

1-2